

MRO CZNA  
SERIA

ALEKSANDRA

MARININA

kolacja  
z zabójcą



ydawnic  
two  
wab

Aleksandra Marinina

# Kolacja z zabójcą

przełożyła Margarita Bartosik

Wiersze w przekładzie Ewy Rojewskiej-Olejarczuk

WAB

Wydanie I  
Warszawa 2007

Tytuł oryginału: *Стечение обстоятельств*

Copyright © by A. Marinina, 1993

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Copyright © for the Polish translation by Wydawnictwo W.A.B., 2007

Redakcja: Ewa Rojewska-Olejarczuk

Korekta: Elżbieta Jaroszuk, Magdalena Stajewska

Redakcja techniczna: Urszula Ziętek

Projekt graficzny serii i rysunek na I stronie okładki: Marek Goebel

Fotografia autorki: © W. Zawjałow

Wydawnictwo W.A.B.

02-502 Warszawa, ul. Łowicka 31

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Skład i łamanie: Komputerowe Usługi Poligraficzne

Piaseczno, Żółkiewskiego 7

Druk i oprawa: ABEDIK S.A., Poznań

ISBN 978-83-7414-274-8

Książki oraz bezpłatny katalog Wydawnictwa W.A.B. można zamówić pod adresem:

ul. Łowicka 31, 02-502 Warszawa

tel. (22)646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

[wab@wab.com.pl](mailto:wab@wab.com.pl)

[www.wab.com.pl](http://www.wab.com.pl)

Konwersja: [Nexto Digital Services](#)

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

# ROZDZIAŁ 1

Zabójców było trzech – Zleceniodawca, Organizator i Wykonawca.

W najlepszym nastroju był tej nocy Zleceniodawca. Podjął decyzję, wydał stosowne instrukcje i czekał teraz na wyniki. Zdecydował się na to dopiero po długich namysłach i kalkulacjach oraz wielokrotnych próbach rozwiązania problemu za pomocą innych, mniej drastycznych środków – pieniędzy, namów i pogroźek. Tak w ogóle to nie chciał wcale zabijać, ale jeszcze mniej – ryzykować swego statusu społecznego. Dzięki pięknej komsomolsko-partyjnej przeszłości został w wieku czterdziestu dwóch lat zawodowym kierownikiem. Oznaczało to, że do jego podstawowych obowiązków należało wysuwanie pomysłów, które by się spodobały szefostwu, i właściwy dobór potrafiących realizować owe pomysły osób, które można było, w razie czego, obarczyć odpowiedzialnością za niepowodzenie. Zleceniodawca, jak wszyscy kierownicy tego typu, nigdy nie robił niczego sam. Po wydaniu polecenia mógł z ulgą odetchnąć i nie martwić się już tym, że coś pójdzie nie tak, ponieważ był święcie przekonany, że wszystkie jego rozkazy zostaną wykonane. Podstawą sumienności podwładnych był strach. A on potrafił ich zastraszyć. Tak więc i tym razem, podjąwszy decyzję, przerzucił całą odpowiedzialność na Organizatora i po raz pierwszy od pół roku mógł spać spokojnie.

Organizator natomiast całkiem stracił spokój. Dokładnie od chwili, kiedy Zleceniodawca skontaktował się z nim niespodziewanie dwa tygodnie temu i zażądał spotkania. Organizator zajmował teraz wyższe stanowisko niż jego dawny znajomy i myślał z niechęcią, że ten chce go pewnie o coś prosić, szantażując dawną zażyłością. Ale sprawa wyglądała gorzej, niż się spodziewał. Mogła wywołać gigantyczny skandal, w który, w razie powstania jakichś komplikacji, zostałby wciągnięty również on. Wszystko zależy od tego, czy zechcą wywlekać ją na światło dzienne. I jeśli wypłynie przy tym jego nazwisko albo choćby najmniejsze podejrzenie o jego udziale, psy z ugrupowania Kowalowa bez zastanowienia rzucą się na niego ku radości własnej i pismaków. A przeszłość miał, trzeba przyznać, nieciekawą. Po prostu nikomu nie przyszło dotychczas do głowy, by w niej grzebać. Ale jak już zaczną – to koniec z nim.

Po otrzymaniu zlecenia Organizator znalazł Wykonawcę i przekazał mu wszystkie informacje, jakie otrzymał od Zleceniodawcy. Robota miała być wykonana do poniedziałku. Dziś jest piątek, no, już prawie sobota. Ale telefon jak na razie milczy. Organizator nie spał czwartą noc z rzędu, naopowiadał żonie jakichś bajeczek o pilnym sprawozdaniu dla Kancelarii Prezydenta i z przerażeniem czekał teraz w kuchni. Na co? Na wiadomość, że nie ma już żadnego niebezpieczeństwa i sprawa nie wypłynie? Czy na to, że Wykonawcy się nie udało i trzeba szukać innego rozwiązania? Niezależnie jednak od wiadomości, mógł się spodziewać, że albo za jakiś czas zostanie pokonany przez swoich politycznych przeciwników, albo wsadzą go do więzienia za współudział w zabójstwie. Wszystko zależy od tego, kto okaże się szybszy. Wykonawca był

oczywiście człowiekiem, na którym można polegać, i miał dobre referencje. Tylko od niego teraz zależało, czy Zleceniodawca i Organizator stracą swoje eksponowane stanowiska i zostaną potraktowani jak pospoliccy przestępcy. Wszystko było w jego rękach. Wszystko.

Nie spał też Wykonawca, ale nie dlatego, że się martwił. Był po prostu w pracy. Czekał na swoją ofiarę. Wiedział, że osoba, którą ma zlikwidować, jest w delegacji i pojawi się w pracy dopiero w poniedziałek. W takich wypadkach, o ile się orientował, ludzie wracali do domu albo w czwartek, robiąc sobie wolny piątek, albo w piątek czy sobotę. Na wszelki wypadek rozlokował się w mieszkaniu ofiary już w czwartek w środku dnia. Był przekonany, że nikt mu nie przeszkodzi. Siedział tu już trzydzieści sześć godzin w chirurgicznych rękawiczkach i foliowych workach na adidasach. Był prawdziwym myśliwym i długie oczekiwanie wcale mu nie przeszkadzało. Potrafił godzinami trwać w tej samej pozycji, jakby pogrążony w letargu, nie wydając przy tym żadnych odgłosów. Podnosił się co jakiś czas z fotela, by rozprostować nogi, pił herbatę, jadł przyniesione ze sobą kanapki i czekoladę, szedł do łazienki, mył twarz i znowu wracał na miejsce. Zdejmował też czasami rękawiczki, by dać skórze pooddychać. Rozbawiło go, że w budynku naprzeciw mieści się szkoła milicyjna. Biorąc to pod uwagę, wprowadził pewne drobne zmiany do starannie przygotowanego zawczasu planu zabójstwa, co trochę poprawiło mu nastrój. Tak w ogóle był człowiekiem poważnym, a nawet surowym, i poczucie humoru miał raczej wisielcze.

Nie zastanawiał się nad tym, że od sukcesu tej operacji może zależeć czyjaś pozycja, a nawet życie. Miał robotę i martwił się

wyłącznie tym, że od jej wykonania zależy jego reputacja, a więc i przyszłe zlecenia i zarobki. Nie należał do żadnej tak zwanej grupy mafijnej, jak określa to prasa, ponieważ nie miał o tych ludziach zbyt wysokiego mniemania. Pracował dla osób wysoko postawionych, które wymagały absolutnej dyskrecji; nikomu nie mogło nawet przyjść do głowy, że chodzi o zabójstwo. Specjalizował się w nieszczęśliwych wypadkach i nagłej śmierci. Nie miał jak na razie żadnych wpadek, chociaż pracowało mu się ostatnio coraz trudniej. Rok temu zmarł człowiek, który był jego ojcem chrzestnym – w tym sensie, że to on nauczył go fachu: wytrwałości, staranności, cierpliwości i przezorności. Był nie tylko nauczycielem, ale i jego pierwszym zleceniodawcą, który sprawdził go w akcji i zapewnił mu start w tej profesji. Był specjalistą najwyższej klasy, jeśli chodzi o bezpieczeństwo i zacieranie śladów. Wykonawca oczywiście się domyślał, że jego „nagła” śmierć była tak naprawdę starannie ukartowanym zabójstwem. Doświadczony fachowiec od razu dostrzeże rękę profesjonalisty. No cóż, wielka polityka nie lubi brudnej roboty. Póki żył chrzestny, Wykonawca miał do czynienia wyłącznie z ludźmi z jego otoczenia, wielokrotnie sprawdzonymi, na których można było całkowicie polegać. A teraz musiał zachowywać wyjątkową ostrożność, bo nikt już nie sprawdzał nowych zleceniodawców. To ostatnie zlecenie też otrzymał nie wiadomo od kogo. Po prostu znalazł w swojej skrzynce pocztowej zaproszenie na jubileusz pięćdziesięciolecia, który miał się odbyć w restauracji moskiewskiego hotelu „Belgrad” 6 czerwca o godzinie 19. Wsiadł więc w pociąg do Moskwy i w wyznaczonym dniu zjawił się pod hotelem o godzinie dwudziestej trzeciej (do pory wskazanej w zaproszeniu trzeba było dodać cztery godziny). Dalej

wszystko potoczyło się według wypracowanego przez lata schematu. Już po dziesięciu minutach otrzymał zlecenie, podyktowano mu powoli i wyraźnie potrzebne dane oraz wręczono zaliczkę. I na tym koniec. Żadnego zbędnego gadania. W tym środowisku od zawsze przestrzegano pewnych reguł, nigdy nie rozmawiano o gwarancjach i nie posługiwano się oszustwem. Dobrze funkcjonujący system kontroli wykluczał jakiegokolwiek niespodzianki i Wykonawca mógł być absolutnie pewny, że właściwe osoby zatroszczą się o to, by dostał na czas należne mu wynagrodzenie i solidnie wykonał zlecenie. Nigdy nie miał złych przeczuć. Nie lękał się, że jest wyjątkowy i że nigdy nie powinie mu się noga. Świetnie zdawał sobie sprawę z tego, że pewnego dnia albo sam popełni błąd, albo przestaną mu sprzyjać okoliczności, i traktował to z filozoficznym spokojem. Nie był sadystą i nie zabijał dla przyjemności. Po prostu dobrze wykonywał swoją pracę i dotarł do środowiska, w którym zawsze będzie zapotrzebowanie na tego typu usługi.

\*\*\*

Tłum przy stanowisku odprawy pasażerów przerzedził się i Zacharow trącił w łokieć swego towarzysza. – Idziemy, Arkadiju Leontjewiczu. Odprawa na pański lot już się kończy.

Niemłody Arkadij Leontjewicz nerwowo poprawił okulary i ruszył w stronę stanowiska.

– Bardzo panu dziękuję, Dima. – Uśmiechnął się sztucznie, odbierając od pracownicy lotniska swój bilet.

– Miło mi było pana poznać. Proszę przekazać szefowi moje podziękowania. Rozumiem, że gratyfikacji nie przyjmujecie?

– Jest to absolutnie wykluczone – potwierdził Zacharow. – Wszystkie opłaty dokonywane są na firmę.

– Szkoda – westchnął z żalem Arkadij Leontjewicz. – Chciałbym podziękować panu osobiście. Jestem bardzo zadowolony z pańskich usług. Ale jak nie wolno...

– Najlepszym podziękowaniem dla nas będzie ponowne skorzystanie z usług naszej firmy w przyszłości. Mówiąc to, Dima lekko popchnął swego klienta w stronę wyjścia. „Idź już w końcu – pomyślał ze znużeniem. – Druga w nocy, chce mi się spać, a ty mi zawracasz głowę swoją wdzięcznością”.

– Udanego lotu, Arkadiju Leontjewiczu! Proszę zgłosić się do nas, kiedy będzie pan ponownie w Moskwie.

– Ależ oczywiście, Dima, oczywiście. Będę odtąd korzystał wyłącznie z usług pańskiej firmy. Jeszcze raz dziękuję!

Pożegnawszy Arkadija Leontjewicza, Dima odetchnął z ulgą. Niełatwa to praca – zapewniać ochronę osobistą tchórzliwym milionerom.

Wyszedł z terminalu lotniczego i pobiegł do samochodu. W ciągu tych prawie dwóch godzin, które spędził z klientem na lotnisku, deszcz nie tylko nie ustał, ale rozpadał się na dobre. Dima uruchomił silnik i już chciał ruszać, kiedy zauważył kobietę, powoli idącą od strony przylotów. Nie miała parasolki, niosła wielką sportową torbę i wyglądała na trochę zagubioną. Autobusy do miasta już nie kursowały i Dima pomyślał ze współczuciem, że będzie musiała czekać na lotnisku do rana, siedząc na torbie w

przemoczonym ubraniu, i pewnie się przeziębi. Albo weźmie taksówkę, za którą zapłaci dwa razy więcej, niż zarabia miesięcznie.

Zacharow mignął światłami i powoli podjechał do kobiety.

– Pani do miasta? – zapytał przez opuszczoną szybę w tylnych drzwiach.

– Południowo-Zachodnia\*, ulica Wołgina. Podwiezie mnie pan? – Nie usłyszał w jej głosie ani radości, ani ulgi. Wyglądała na całkowicie zrezygnowaną.

– Proszę wsiadać. – Dima szybko zamknął szybę i otworzył drzwi.

– Wie pani, ile to będzie kosztowało? – zapytał jeszcze, zanim ruszył.

– Domyślam się – uśmiechnęła się pasażerka, ustawiając torbę na kolanach.

– Patola – sprecyzował Zacharow, patrząc na nią wyczekująco. Był zdecydowany podrzucić ją do miasta, nawet jeśli nie będzie miała pieniędzy; i tak musiał jechać z Wnukowa przez Południowo-Zachodnią. Nie spodobała mu się jednak obojętność kobiety, której przecież trafił się spory fart – może dojechać z lotniska do miasta w środku nocy za jedną trzecią ceny. A ona tymczasem rzuciła tylko z roztargnieniem:

– Tak – tak, oczywiście. Zwykle biorą więcej. A może się mylę?

– Nie myli się pani – rzekł z uśmiechem Dima.

– Taksówkarze i łebkarze biorą za takie podwiezienie w nocy minimum trzy tysiące.

– A pan?

– Nie jestem łebkarzem. Odprowadzałem kolegę i miałem już wracać do domu, ale zobaczyłem panią, taką przemokniętą, samotną, z ciężką torbą i zrobiło mi się pani żal prawie do łez. Nie pojechałaby pani za trzy tysiące, prawda?

– Tak – sucho odparła pasażerka. Był przekonany, że nie ma żadnych pieniędzy, nawet tego tysiąca. Próbował przyjrzeć się jej dyskretnie w świetle latarni. Około trzydziestki, może ciut więcej, zmęczona, mocno umalowana twarz, krótkie czarne włosy, ciuchy niedrogie, sztuczna biżuteria. Na zakręcie lekko przechyliła się w jego stronę i Dima poczuł zapach drogich perfum Cinnabar – akurat znał się na perfumach. Coś takiego – zdziwił się – perfumy kosztują tyle samo, co całe jej ubranie.

Kobieta rozpięła zamek błyskawiczny torby i wyjęła z niej mały ręczniczek, którym zaczęła wycierać włosy. – Jak to się stało, że nie ma pani parasolki w taką pogodę? – zapytał ze współczuciem Dima.

– Nie lubię targać w delegację za dużo rzeczy – ucięła pasażerka. Ale szybko się zreflektowała i dodała, nie chcąc być niegrzeczną: – Nigdy nie wiadomo, gdzie człowiek trafi, lepiej więc mieć przy sobie tylko lekką torbę. Prawda?

– Często pani jeździ? – zapytał Zacharow.

– Różnie. – Wzruszyła ramionami. – Zdarza się, że przez cały rok nie ruszam się z Moskwy, a potem delegacje sypią się jedna za drugą, nie zdążę się rozpakować, a tu znów muszę się zbierać.

– A co to za praca? – Dima był gotów rozmawiać „o niczym”, byle tylko nie nudzić się w czasie jazdy.

– Zwykła praca. Niby naukowa.

– Czemu niby? – zdziwił się Dima.

– Bo ci, co się nią zajmują, uważają ją za naukową. Cała reszta jest przekonana, że przejadamy niepotrzebnie państwowe pieniądze, zajmując się pustym gadaniem a nie pracą naukową.

– Ale jeśli wysyłają panią w delegację, to znaczy, że pani praca jest jednak potrzebna. Prawda?

– Nie. Wykorzystują nas nie jako pracowników naukowych, ale jako tanią siłę roboczą. Na przykład w czasie kontroli, kiedy brakuje pracowników. A nasza wiedza nie jest, niestety, nikomu potrzebna.

– Dlaczego?

– Ponieważ są trzy sfery, w których każdy uważa się za znawcę: polityka, wychowanie dzieci i walka z przestępczością. Wszyscy nie wiadomo czemu uważają, że w tych sprawach wystarczy zdrowy rozsądek, a nie badania naukowe. Widział pan kiedyś, jak ludzie krzywo się uśmiechają, słysząc o „doktorze nauk pedagogicznych”?

– A pani jest właśnie takim doktorem? – Nie mógł powstrzymać się od uśmiechu.

– Nie, jestem prawnikiem. Ale moja sytuacja nie jest lepsza. Wie pan, jak patrzą na nas urzędnicy w ministerstwach, kiedy przynosimy im wyniki badań? Jak na błagających o jałmużnę grafomanów. Znow ci natrętni naukowcy nabazgrali jakieś bzdury, nic, tylko piszą i piszą. My tu próbujemy zahamować gwałtowny wzrost przestępczości, a oni nam przeszkadzają, zmuszają do czytania jakichś głupot. A po paru tygodniach otwiera człowiek gazetę, a tam wywiad z jakimś ministerialnym urzędnikiem, gdzie widzi czarno na białym własne wypowiedzi, podpisane cudzym nazwiskiem. I honorarium za to też otrzymuje kto inny.

– Duże są te honoraria?

– Groszowe. Ale nie o to chodzi! Człowiek po prostu podle się czuje, kiedy traktują go jak kompletne zero, mięczaka, któremu można ukraść każdą myśl, nawet mu za to nie dziękując, o przeprosinach już nie wspomnę. A wie pan, co w tym wszystkim jest najśmieszniejsze? Większość z owych kacyków wręcz marzy o stopniu naukowym. Sami oczywiście nie są w stanie napisać żadnej pracy. Znajdują więc jakiegoś profesora z dorobkiem, który pisze ją dla nich w zamian za skrzynki koniaku i wczasy nad ciepłym morzem. A po obronie ci świeżo upieczeni doktorzy gnębią naukowców jeszcze bardziej, powtarzając: „Sam mam stopień naukowy, więc znam się na tym nie gorzej od was!”. Śmieszne, prawda? Dima nic nie powiedział. Też by mógł wyznać w porywie szczerości swojej przypadkowej pasażerce, że przepracował w milicji ponad dziesięć lat i zetknął się tam właśnie z takim stosunkiem do wiedzy teoretycznej, o jakim przed chwilą mówiła. Mógłby ponarzekać na krótkowzroczność szefów i niesprawiedliwy los. Opowiedzieć, jak po odejściu z milicji zaczął pracować w prywatnej firmie, zajmującej się, nazwijmy to, zapewnieniem „bezpieczeństwa w biznesie”. I rozmowa mogłaby się stać bardziej rzeczowa, bardziej szczerą i pewnie znaleźliby kilku wspólnych znajomych, może nawet by się polubili, a ich spotkanie nie skończyłoby się tak, jak się skończyło. Mogłoby się tak stać. Ale się nie stało, bo Dima Zacharow nic nie powiedział.

Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle na dobrze oświetlonym skrzyżowaniu.

– Wiem, o czym pan teraz myśli – powiedziała nagle pasażerka. – Próbuje pan zgadnąć, czy mam pieniądze.

– Doszedłem do wniosku, że nie – wyznał szczerze zaskoczony Zacharow.

– Prawie pan zgadł. Przy sobie rzeczywiście nie mam, ale proszę się nie denerwować – mam w domu. – Uśmiechnęła się. – Wiem, że nie wyglądam na taką, co szasta pieniędzmi.

Parę minut później byli już pod budynkiem szkoły milicyjnej na ulicy Wołgina.

– Teraz w lewo – powiedziała kobieta – i znów w lewo wzdłuż domu. Proszę zatrzymać się tu, obok bramy. Budynek był otoczony szerokim pasem zieleni i Dima pomyślał, że cała zmoknie, zanim wejdzie do środka. Zrobiło mu się żal tej kobiety, zmęczonej ciągłymi delegacjami, na którą nikt nie czeka i która przyzwyczała się liczyć tylko na siebie.

– Może wjadę do bramy, będzie pani bliżej do wejścia – zaproponował.

– Dziękuję panu – powiedziała z wdzięcznością, otwierając torebkę. – Zostawię w zastaw dowód, dobrze? A może wejdzie pan ze mną na górę?

– Raczej nie – mruknął Dima. – W naszych czasach nie można samochodu spuścić z oka – od razu rozbiorą na części. Musiałbym go zamykać, zdejmować lusterka i wycieraczki – za długo to potrwa. Niech pani lepiej zostawi dowód.

– Zaraz wracam – rzuciła, wysiadając z wozu.

Dima zawrócił i postawił samochód tak, żeby łatwiej móc później wyjechać, zgasił silnik i światła. Siedział w nagrzanym wozie, palił i leniwie rozmyślał o jutrzejszym dniu. O dziesiątej ma być w pracy, o dwunastej trzydzieści musi odebrać Wierę ze szkoły, zawieźć ją do

babci na daczę i wrócić na piątą do miasta, bo o piątej siedemnaście przyjeżdża pociągiem Berlin–Moskwa kolejny stuknięty klient, wystraszony pogłoskami o przestępczości szalejącej w rosyjskiej stolicy. Trzeba go zawieźć z Dworca Białoruskiego do hotelu. Na wieczór Dima na razie nic nie planował, bo szef uprzedził go, że to nie jest zwykły klient i, prócz ochrony osobistej, może potrzebować pomocy w uzyskaniu pewnych informacji...

Dima zerknął na zegarek. Za dwadzieścia trzecia. Czekał już piętnaście minut. Dziwne. Nie wyglądała na naciągaczkę, a poza tym zostawiła dowód. Pieniądzy nie może znaleźć czy co? Wyjechała w delegację, a mąż wszystko przepił. Albo synalek wydał forszę na jakieś głupoty. Przekartkował dowód. Irina Siergiejewna Fiłatowa, moskwianka, zdjęcie na pewno jej, wpisy o zawarciu związku małżeńskiego i jego unieważnieniu, meldunek. Dzieci nie są wpisane, więc jest bezdzietna.

Otworzyły się drzwi na klatkę schodową, rzucając kwadrat światła na asfalt. Dima chciał już opuścić szybę, ale z budynku wyszedł jakiś mężczyzna. Ile można czekać? Otworzył ponownie dowód na stronie z zameldowaniem, zerknął na numer mieszkania i zdecydowanie wysiadł z wozu.

# ROZDZIAŁ 2

Nastia Kamińska obudziła się w poniedziałek jak zwykle połamana. Była typową „sową” – chodziła spać późno i wstawanie o siódmej rano było dla niej męką. Ale doszła jakoś do siebie i z trudem dowlokła się do łazienki.

Jezu, jak ona wygląda! Twarz opuchnięta, pod oczami worki – po co piła na noc dwie filiżanki herbaty, przecież wie, że dwie godziny przed snem nie powinna pić żadnych płynów, bo będzie miała rano obrzmiałą twarz. Ależ jest śpiąca...

Stała pod prysznicem, odkręciła wodę, najpierw gorącą, potem letnią, i cierpliwie czekała, aż całkiem się obudzi. Potrzebowała na to zwykle z dziesięć minut. Myjąc apatycznie zęby, spróbowała pomnożyć 37 przez 84. Pomyliła się. Śpiący jeszcze mózg odmawiał wykonania najprostszych działań. Zmieniła liczby i spróbowała ponownie. Udało się. Zaczęła przemnażać liczby trzycyfrowe. Jak widać, dochodziła powoli do siebie, bo uzyskała prawidłowy iloczyn już po pierwszej próbie. I ostatni sprawdzian – przypomnieć sobie dziesięć szwedzkich słówek. Tym razem dotyczyły one sprzętu kuchennego. Tak naprawdę nie uczyła się wcale szwedzkiego ani żadnego innego języka, lubiła po prostu zapamiętywać nowe słówka, ćwiczyć pamięć. Znała po jakieś pięćset słów z każdego języka europejskiego, ponieważ jej matka, profesor Kamińska, była wybitną specjalistką od programów komputerowych do nauki języków obcych i wszystkie swoje pomysły i odkrycia nieustannie

wypróbowała i ulepszała na własnej córce. Przy dziesiątym słowie Nastia poczuła, że zaczyna marznąć – woda okazała się zbyt zimna. Wyteżyła pamięć, by przypomnieć sobie szwedzki odpowiednik słowa „sito” i szybko chwyciła ręcznik.

Zmusiła mózg do pracy – to już połowa sukcesu. Teraz pora zająć się ciałem. Poszła do kuchni i zmeła kawę. Nastawiła wodę, otworzyła lodówkę i wyciągnęła karton soku pomarańczowego i lód, uświadamiając sobie po raz kolejny, jak droga to jest przyjemność. Jedno opakowanie soku starczało jej na cztery dni, pod warunkiem, że piła sok tylko na śniadanie, co dawało wydatek prawie dwa tysiące rubli miesięcznie. Miała w maju urlop, ale nigdzie się nie wybrała, postanowiła zamiast tego dorobić – przełożyła z francuskiego kryminał Charles'a Exbrayata i wydała całe honorarium na tego typu przyjemności: kupiła sobie trzydzieści kartonów soku, kilka puszek kawy, trzy kartony dobrych papierosów. No i martini – jedyny alkohol, który lubiła. Organizm powoli, jakby od niechcienia, reagował na każdy łyk lodowatego kwaśnosłodkiego soku. Po gorącej kawie Nastia poczuła się już znacznie lepiej, a po pierwszym papierosie – całkiem dobrze.

Po śniadaniu zrzuciła szlafrok i znów podeszła do lustra. Opuchlizna z twarzy już zeszła i Nastia mogła patrzeć na siebie bez obrzydzenia. Nadal jednak przyglądała się swemu odbiciu w lustrze dość krytycznie. Co robić, Bóg poskąpił jej urody. Mimo że nie była wcale brzydka. Miała regularne rysy, zgrabną figurę, długie nogi i cienką talię. Z osobna wszystko wyglądało dobrze, ale całość była mało efektowna, zwyczajna, przeciętna i nie przyciągała niczyjej uwagi. Wyraźną skazą były tylko jasne brwi i rzęsy, ale nawet kiedy

je pomalowała, i tak pozostawała szarą myszką. Mężczyźni za takimi się nie oglądają.

Włożyła dzinsy i podkoszulek, zrobiła lekki makijaż i wyruszyła do pracy.

\*\*\*

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, kierownik wydziału MUR-u\* – niewysoki, z okrągłą twarzą, prawie całkiem łysy, z dość wydatnym brzuchem, nazywany przez podwładnych Pączkiem – też wybierał się do pracy. Wiktor Aleksiejewicz był świetnym przykładem, a nawet prawdziwym ucieleśnieniem twierdzenia, że powierzchowność może być złudna. Trzydzieści dwa ze swych pięćdziesięciu trzech lat przepracował w milicji, w tym dwadzieścia sześć w wydziale kryminalnym. W ciągu owych dwudziestu sześciu lat nauczył się wykrywać przestępstwa, więc kiedy stanął na czele wydziału MUR-u, wyniki pod jego kierownictwem wyraźnie się poprawiły. Delikatny i zawsze życzliwy, był jednocześnie nieufny i pamiętliwy. A poza tym nikogo i niczego się nie bał, bo był bardzo szczęśliwie żonaty. Historia jego ożenku potwierdza starą prawdę, że małżeństwo z rozsądku może być udane. Chodzi o to, że Gordiejew Pączkiem nie został, tylko się urodził. Przez całą szkołę podstawową i średnią Witiusza był stałym obiektem szyderstw i kpin kolegów. Pełen kompleksów i pretensji do całego świata, tęgi, ale silny i zwinny, wybrał po odbyciu służby wojskowej pracę w milicji wyłącznie dlatego, że była wówczas powszechnie szanowana

i uważana za prestiżową, co podnosiło nieco poczucie jego własnej wartości.

Nikt z Witi już nie kpił, kiedy zaczął pracować w milicji, studiując wieczorowo prawo, ale on i tak cierpiał. Będąc niskiego wzrostu grubasem, kochał się w wysokich szczupłych brunetkach. Najbardziej dręczyła go nieodwzajemniona miłość do koleżanki z roku Lusi Chizniak, która wszystkiego miała w nadmiarze: wzrostu, wysokich obcasów, zgrabnej sylwetki, czaru i elegancji. Miała metr osiemdziesiąt i wydawała się Gordiejewowi nieosiągalnym ideałem.

Przemęczywszy się w ten sposób do czwartego roku studiów, Witusza doszedł do mało pocieszającego wniosku, że miłość i małżeństwo nie mają ze sobą wiele wspólnego, toteż żonę trzeba wybierać nie spośród dziewcząt, w których się człowiek zakochuje, ale spośród takich, z którymi da się wytrzymać. Na jednej ze studenckich imprez poznał Nadięnkę Woroncowa, która nie ustępowała mu ani tuszą, ani zakompleksieniem. Od dzieciństwa cierpiała na zaburzenia przemiany materii i w wieku dwudziestu lat była gruba i niezgrabna. Różnica między nimi polegała jednak na tym, że Gordiejew ze swym kompleksem niższości miał pretensje do całego świata, a Nadięnka rekompensowała to sobie tym, że była duszą towarzystwa. Studiowała pedagogikę, uwielbiała dzieci i marzyła, by zostać nauczycielką w szkole podstawowej, obawiając się jednocześnie, że uczniowie będą się z niej śmiali.

Witia energicznie ruszył w zaloty i po dwóch miesiącach miał już żonę, z którą potrafił się dogadać, oraz teściową inżyniera i teścia lekarza. Z reszty jego planów jednak nic nie wyszło.

Pewnego pięknego poranka, jakieś pół roku po ślubie, Nadięnka odkryła nagle przy wkładaniu spódnicy, że jej pulchna dłoń

swobodnie mieści się między paskiem a miejscem, gdzie teoretycznie powinna znajdować się talia. Nie zwróciła zbytniej uwagi na ten dziwny stan rzeczy, bo głowę miała zaprzątniętą akurat myślą o tym, że chyba jest w ciąży. Dwa tygodnie później powiedziała o tym mężowi i wprawiła go w osłupienie: jego żona jest w ciąży i... dlatego chudnie. Teść długo się śmiał i powiedział, że jest to możliwe, aczkolwiek zdarza się bardzo rzadko. Widocznie, wyjaśnił, zmiany wywołane ciążą unormowały przemianę materii. Po urodzeniu syna i zrzuceniu dziesięciu kilogramów Nadienka kategorycznie oznajmiła, że będzie rodziła, dopóki nie uzyska sylwetki gwiazdy filmowej. Gordiejew ironicznie jej przytakiwał, ale był mocno zdziwiony, kiedy również druga ciąża wyszła jego małżonce na dobre. Pucłowatość znikła i nagle się okazało, że Nadienka ma cudny nos i piękne oczy. Krótko mówiąc, ożeniwszy się z grubą brzydulą w przekonaniu, że i ona, i jej rodzice pozostaną mu za to wdzięczni do końca życia, Gordiejew stał się niespodziewanie mężem prawdziwej piękności. Ale to nie był jeszcze koniec wszystkich nieszczęść!

Po jakimś czasie jego niczym niewyróżniający się teść zadał mu potężny cios, wynajdując nową, niezwykle efektywną metodę operacji serca, po czym zaczął szybko awansować, i Gordiejew nie zdążył się obejrzeć, jak został zięciem profesora, a wkrótce dyrektora Instytutu Kardiologii. Tego już dla ambitnego Witi było za wiele. Żeniąc się, miał nadzieję, iż będzie noszony na rękach za to, że pracuje w wydziale kryminalnym. Ten numer jednak nie wypalił, musiał więc szukać sposobu, by dorównać rodzinie. Znalazł go, będąc już wówczas majorem milicji, w książkach amerykańskich autorów, poświęconych teorii i psychologii zarządzania. W

ostatecznym rozrachunku zyskał jednak na tym małżeństwie. Nadeńka była teraz szanowaną Nadeżdą Andriejewną, dyrektorką jednego z najbardziej prestiżowych liceów z Moskwy. Teść, znany na całym świecie kardiolog, profesor, został posłem do Dumy. A Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew przeszedł uczciwie przez wszystkie szczeble awansu i zatrzymał się na stanowisku kierownika wydziału MUR-u, realizując najbardziej interesujące pomysły, jakie udało mu się znaleźć w różnych mądrych książkach. Nikogo się nie bał, bo nikt nie śmiałyby z nim zadzierać. Koniec końców wszyscy mieli dzieci, którym dobrze by było załatwić miejsce w prestiżowym liceum, a na choroby związane z układem krążenia cierpiał co trzeci.

– Mamy bilety na premierę do „Sowriemiennika”. Idziemy czy oddajemy je dzieciom? – zapytała Nadeżdą Andriejewna, podając mężowi śniadanie.

– Od kogo? – rzucił Gordiejew.

– Od Grażewicza. Gra główną rolę.

– Znów Grażewicz – powiedział niezadowolonym tonem Wiktor Aleksiejewicz. – Już po raz czwarty, jeśli się nie mylę. Jego syn źle się uczy czy jak?

– A skąd. – Żona wzruszyła ramionami. – Chłopiec ma same dobre oceny. Czemu od razu źle?

– Ponieważ tylko wtedy jest sens dogadzać dyrektorce. A jeśli chłopak uczy się dobrze, to po co się starać? – wyjaśnił Gordiejew, starannie przeżuwając grzankę z serem.

– Witiuniu, setki razy już ci powtarzałam, mówię więc po raz sto pierwszy – czule odezwała się Nadeżdą Aleksiejewna, obejmując

męża i całując go w czubek głowy. – Gdybyś się ze mną nie ożenił, nigdy bym nie rodziła, więc i nigdy bym nie schudła. Jeśli podobam się teraz mężczyznom, to wyłącznie dzięki tobie. Pamiętam o tym, doceniam i nigdy tego nie zapomnę. Dlatego skończ już z tymi swoimi paskudnymi aluzjami zazdrośnika. Nawiasem mówiąc, Grażewicz prawdopodobnie szuka dojścia nie do mnie, tylko do ciebie. Myśli o przyszłości swego syna.

– Jasne. – Gordiejew skinął głową, dopijając herbatę. – Postaram się dziś dowiedzieć, o co chodzi. Jeśli synalek miał czy ma jakieś problemy z prawem, przeprosisz i zwrócisz bilety. Jeśli wszystko w porządku, idziemy na premierę. Zgoda?

I pocałowawszy żonę na pożegnanie, pułkownik milicji Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew, zwany Pączkiem, wyszedł z mieszkania i wyruszył do pracy.

\*\*\*

Poniedziałek na Pietrowce 38 zaczął się od tego samego, na czym skończył się ostatni piątek: od dyskusji na temat, czy podniosą im pensje od lipca, jak obiecali, czy znów oszukają. Oszustwo polegało na tym, że pensje podnoszono zwykle nie w tym miesiącu, od którego oficjalnie obowiązywała podwyżka, tylko w następnym. To znaczy, jeśli podwyżka obowiązywała od pierwszego lipca, dostawali w lipcu starą pensję, a w sierpniu – podwyższoną plus to, czego nie dopłacono im w poprzednim miesiącu. Przy stabilnych cenach nie byłoby w tym nic strasznego, ale w obecnej sytuacji,

kiedy inflacja rosła w zawrotnym tempie, za wypłacone z opóźnieniem pieniądze niewiele można już było kupić.

W wydziale kierowanym przez Gordiejewa dyskusja trwała na całego, kiedy po korytarzu przemknął jak błyskawica Jura Korotkow, zaglądając we wszystkie drzwi. – Chłopaki, Pączek wzywa!

Wiktor Aleksiejewicz rozpoczął naradę jak zawsze od długiego powitania, mówiąc, że cieszy się, iż wszyscy są zdrowi, a Kola Siełujanow, który wrócił właśnie z urlopu, wygląda kwitnąco. Gordiejew nie lubił dużo gadać, ale dobrze wiedział, że jeszcze przed chwilą, spotka wszy się po weekendzie, wszyscy rozmawiali o sprawach prywatnych i dyskutowali na tematy zupełnie niezwiązane z firmą. Chciał więc dać swoim ludziom trochę oddechu przed pracą.

– Zacznijmy od starych „ogonów” – zaczął. – Za bójstwo Pleszkowa, dyrektora generalnego firmy „Parnas”. Słucham, Korotkow.

Mówiąc to, Pączek zdjął okulary i przygryzł zausznik, co oznaczało u niego największą uwagę i skupienie. – Sprawdzanie hipotez zabójstwa Pleszkowa z powodu zemsty, zazdrości czy żądzy zysku, nie dało jak dotąd żadnych rezultatów. Żadna z osób, mających dostęp do mieszkania Pleszkowa, nie miała powodów do zabójstwa. Wysunęliśmy więc przypuszczenie, że morderstwa dokonano pod wpływem tak zwanego syndromu Raskolnikowa: zabójca chciał się przekonać, jak daleko może się posunąć. Przy czym przestępcy i ofiary nie musi łączyć jakaś szczególna niechęć. Na podstawie tej hipotezy został sporządzony portret psychologiczny zabójcy. Wszystkie osoby, które miały dostęp do

mieszkania, są ponownie sprawdzane. Wytypowano dwóch podejrzanych i zastosowano prowokację, mającą skłonić zabójcę, aby się ujawnił.

– Syndrom Raskolnikowa? – mruknął Gordiejew. – Ciekawe. Kiedy to wymyśliliście?

– W sobotę, panie pułkowniku – szybko odpowiedział Jura Korotkow, rzucając przelotnie spojrzenie w kąt gabinetu, na nisko pochyloną jasnowłosą głowę.

– Kiedy oczekujecie wyników?

– Mamy nadzieję, że dziś albo jutro.

– Dobrze – skinął głową Wiktor Aleksiejewicz. – A jak przyjął tę wersję śledczy? A może nie podzielił się pan z nim swoją literacką wiedzą?

Korotkow milczał. Jasnowłosa głowa w kącie gabinetu pochyliła się jeszcze niżej.

– Rozumiem – podsumował pułkownik. – Więc tak. Ze śledczym się nie kłócić. Rozpracowywać dalej tę hipotezę. Wydaje mi się, że coś w tym jest. Motyw jest trudny do udowodnienia, dlatego trzeba działać bardzo ostrożnie, to jest koronkowa robota. I bez pośpiechu. Mamy jeszcze czas. No dobra. Zabójstwo dziewczyny z agencji modelek. Słucham.

Sprawę przedstawił najmłodszy pracownik wydziału kryminalnego, czarnooki Misza Docenko.

– Przekazaliśmy śledczemu poważne poszlaki, wskazujące na jednego z podejrzanych. Postanowiliśmy na razie go nie zatrzymywać, czuje się pewny siebie i wygląda na to, że nie ma zamiaru uciekać. Ale obserwujemy go, oczywiście.

- Nic dziwnego, że ma dobre samopoczucie – burknął Gordiejew.
- Za trzy dni mijają dwa miesiące od dokonania zabójstwa, a on ani razu jeszcze nie był przesłuchiwany. Jesteście pewni, że nie popełniliście żadnego błędu?

Wydawało się, że sylwetka w kącie gabinetu próbuje wtopić się w ścianę. Misza powstrzymał się od patrzenia w tamtą stronę i odważnie odparł:

- Mamy nadzieję, że nie popełniliśmy.
- Dobrze, zobaczymy, jak śledczy oceni te wasze po ważne poszlaki. Kolejna sprawa. Zgwałcenie Nataszy Kowalowej, lat dwanaście. Słucham.
- Nic na razie nie mamy, panie pułkowniku – zameldował zmartwionym głosem Igor Lesnikow, doświadczony i zgodnie z ogólną opinią, najprzystojniejszy śledczy w wydziale Pęcka.
- Co to znaczy „nic na razie nie mamy”? – zapytał cichym głosem Gordiejew, odkładając okulary na stół, co znaczyło, że zaraz wybuchnie. – „Nic na razie nie mamy” trwa już od trzech tygodni, ostatni raz słyszałem to w piątek rano. Minęły trzy doby. Co zostało zrobione w tym czasie?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, dziewczynka jest w szoku, przeżywa silny wstrząs nerwowy. Nie może zeznawać. Nie mamy nawet ogólnego opisu sprawcy. Sprawdziliśmy wszystkich zarejestrowanych, również w poradni psychiatrycznej, wszystkich uczniów z okolicznych domów. Mamy listę około czterdziestu osób, które mogły znajdować się między osiemnastą a dziewiętnastą w miejscu popełnienia przestępstwa. Wszyscy zostali sfotografowani z ukrycia, żeby przy pierwszej sposobności pokazać ich zdjęcia

ofierze. Ale Natasza nie chce odpowiadać na żadne pytania. Albo milczy, albo wpada w histerię. I lekarze nie potrafią powiedzieć nic konkretnego. Gordiejew nie odpowiedział. Wziął długopis i narysował na czystej kartce kwadrat, w kwadracie romb i zaczął zamalowywać kąty. Ciężkie milczenie trwało parę minut. Pączek podniósł nagle głowę i wlepił wzrok w Lesnikowa.

– Chyba nie powiedziałaś jeszcze wszystkiego. Mów.

– Mamy hipotezę roboczą, że przestępstwo popełniono nie tyle na tle seksualnym, co z zemsty. Tragedia wydarzyła się dwudziestego czwartego maja. Cztery lata temu, dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku w tuszyńskim sądzie rejonowym został skazany niejaki Szumilin Siergiej Wiktorowicz. Zarzucano mu, że kierując w stanie nietrzeźwym samochodem, spowodował wypadek, w którego wyniku dwie osoby poniosły ciężkie obrażenia. Ojciec zgwałconej dziewczynki, Witalij Jewgienjewicz Kowalow, był w tym procesie ławnikiem.

– Rozumiem – skinął głową Gordiejew, znów przygryzając zausznik okularów. – W czym problem?

– Chodzi o to, panie pułkowniku, że Kowalow jest osobą z bliskiego otoczenia wicepremiera, a Szumilin – to krewny Winogradowa, prezesa Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości. Ich konfrontacja...

Igor urwał. Gordiejew znów zapadł w milczenie, gryząc zausznik.

– Zajęliście się Szumilinem? – Teraz to już Wiktor Aleksiejewicz rzucił spojrzenie w kąt gabinetu.

– Na razie nie.

– Więc zróbcie to, tylko bardzo ostrożnie. Bez żadnego rozgłosu. Sprawdźcie tę hipotezę szczegółowo, mam na myśli drugiego ławnika i sędziego. Jeśli to rzeczywiście Szumilin, ich też nie zostawi w spokoju. Proszę mnie informować o wszystkim. Będę was asekurować. Jeśli popełnicie jakiś błąd, oberwiecie ode mnie wszyscy. W tej sprawie to na razie tyle. Siadaj, Igorze. Docenko, opowiedz nam o Fiłatowej. Nie wszyscy jeszcze wiedzą, że w nocy z piątku na sobotę znaleziono jej zwłoki.

– Trzynastego czerwca o trzeciej zero pięć dyżurny z GUWD\* otrzymał informację o znalezieniu zwłok Fiłatowej Iriny Siergiejewny, urodzonej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku, majora milicji, wybitnego naukowca Instytutu Naukowo-Badawczego MSW Rosji. Zwłoki zostały znalezione w mieszkaniu Fiłatowej przez człowieka, który podwoził ją samochodem z lotniska. Fiłatowa leżała w kuchni obok włączonej kuchenki elektrycznej, która była wyraźnie uszkodzona. W czasie oględzin nie znaleziono jednak na ciele ofiary śladów porażenia prądem. Dało to podstawę do podejrzeń, że nieszczęśliwy wypadek – porażenie prądem – był zaaranżowany. Podejrzany został zatrzymany na podstawie artykułu sto dwadzieścia dwa.

I tu Pączek wszystkich zaskoczył. Nie zadał żadnego pytania, nie wydał poleceń. Po prostu zamknął naradę.

– Rozumiem, dziękuję. Wszyscy, oprócz Kamieńskiej, są wolni. Anastazjo, wyjdź ze swego kąta.

Mówiąc to, Wiktor Aleksiejewicz podniósł się zza swego masywnego biurka i zaczął przechadzać się po gabinecie. Nie potrafił pozostawać długo bez ruchu. Nastia wyszła z kąta, w

którym tkwiła, nie odzywając się, przez całą naradę, i przesiadła się na fotel przy oknie.

– Syndrom Raskolnikowa – to twoja robota? – Pączek nagle się zatrzymał, spoglądając spode łba na Kamieńską.

– Moja – cicho potwierdziła Nastia. – Nie podoba się panu?

– A Szumilin – to też twoja robota? – szef zignorował jej pytanie, chociaż dobrze wiedział, że chciałyby usłyszeć od niego słowo pochwały.

– Też moja – głos Kamieńskiej zadrżał.

– A podejrzanego w sprawie modelki czemu pozostawiono w spokoju? Ty poradziłaś?

– Wiktorze Aleksiejewiczu, myślałam, że...

– Wiem – przerwał jej Gordiejew. – Mówiłaś mi. Nie mam na razie sklerozy.

Nastia była bliska płaczu. Widocznie szef nie jest z niej zadowolony, zawiódł się na niej. Każda narada była dla niej torturą, męczarnią, czuła się, jakby siedziała na beczce z prochem, która może wybuchnąć przy najmniejszym błędzie z jej strony, i wtedy wszyscy będą z niej się śmiali i wytykali palcem: „Patrzcie no na tę Kamieńską, królowa się znalazła, w zasadzkach nie przesiaduje, w zatrzymaniu grup przestępczych nie bierze udziału. Siedzi w ciepłym gabinecie, popija sobie kawusię i udaje genialnego Nero Wolfe'a!”. Nastia wiedziała, że tak nie tylko myśli, ale i, niestety, mówi za jej plecami wiele osób. Z drugiej jednak strony pracowała u Gordiejewa szósty rok i miała na swoim koncie sporo udanych pomysłów i inteligentnych rozwiązań, z których mogła być dumna.

Zdarzały się oczywiście i pomyłki, ale świat od tego się nie zawalił i beczka prochu nie wybuchła.

Na pozór praca Nasti rzeczywiście wyglądała na próżnowanie w gabinecie. Gordiejew ściągnął ją do siebie na Pietrowkę z komendy rejonowej wkrótce po tym, jak po dwóch dniach ślęczenia nad danymi o przestępczości w mieście, oznajmiła nagle, że na północy Moskwy pojawił się homoseksualista, mający nieograniczony dostęp do środków odurzających. Wywnioskowała to z faktu, że w tej właśnie części Moskwy wzrost kradzieży, popełnianych przez nastoletnie dziewczyny, był większy od popełnianych przez chłopców; uznała więc, iż istnieje coś bardzo pociągającego właśnie dla nastolatków, ale opłata za to „coś” jest różna dla dziewczynek i chłopców. Rozwijając ten wątek, Nastia intuicyjnie, jak jej się zdawało, wytypowała źródło zła. Śmiechu wtedy było co niemiara, żartowano i opowiadano o tej historii kawały, które dotarły aż na Pietrowkę. Nie śmiał się z nich tylko Pączek. Wpadł po jakimś czasie do wydziału walki z narkotykami, skąd od razu udał się do działu kadr. Okazało się, że wymyślony przez Nastię człowiek rzeczywiście istnieje.

Gordiejew ściągnął do siebie Nastię, bo chciał mieć w wydziale własnego analityka. Kamieńska rzeczywiście wielu rzeczy nie umiała, nigdy nie uprawiała sportu, nie biegała, nie strzelała, nie trenowała sambo. Ale za to potrafiła myśleć i analizować. I głupcem jest ten, kto sądzi, że to każdy potrafi, że do tego nie są potrzebne żadne umiejętności. Trafić dziewięćdziesiąt osiem razy na sto – to dopiero coś! Gordiejew, człowiek niegłupi i, co najważniejsze, niebojący się nikogo, wziął do siebie Nastię na stanowisko starszego inspektora. Pracowała nad wszystkimi przestępstwami, którymi zaj

mowali się detektywi w jego wydziale. Wysuwała hipotezy i obmyślała sposoby ich sprawdzania, wertowała masę informacji i myślała, myślała, myślała. Miała fenomenalną pamięć oraz zdolność błyskawicznego wydobywania z niej potrzebnych wiadomości.

Detektywi z wydziału Gordiejewa nie od razu do niej się przekonali. Najbardziej drażniło ich to, że szef uparł się, by miała własny gabinet, co na Pietrowce było nie do pomyślenia. Na początku zrobili z niej nawet coś na kształt „panienki od telefonów”, skoro i tak siedziała przez cały dzień w gabinecie. Uznanie zyskała z wielkim trudem dopiero po pewnym czasie. Ale teraz ci, którzy z nią pracowali, nosili ją na rękach. Niemniej Nastia Kamieńska ciągle czuła się niepewnie, obawiając się, że nie spełni pokładanych w niej nadziei.

Również i tym razem, siedząc w niskim fotelu przed schylonym nad nią szefem, spodziewała się usłyszeć od niego coś nieprzyjemnego. Ale się pomyliła.

– Nie podoba mi się sposób prowadzenia śledztwa w sprawie Fiłatowej – powiedział nagle Gordiejew. Przechadzanie się po gabinecie zawsze oznaczało, że szef intensywnie myśli i jest w trakcie podejmowania decyzji. Wiktor Aleksiejewicz zatrzymał się i usiadł obok Nasti. Co znaczyło z kolei, że decyzja została podjęta. – Od początku popełniono wiele błędów – ciągnął – większość jest już nie do naprawienia. Powiem w skrócie, o co chodzi. Fiłatowa przyleciała z delegacji w nocy z dwunastego na trzynasty. Zatrzymany podejrzany zeznał, że podwiózł ją z Wnukowa – było mu po drodze. Fiłatowa zostawiła mu dowód i weszła na górę do mieszkania po pieniądze. Po jakichś dwudziestu minutach znudziło mu się czekanie, zajrzał do dowodu, żeby sprawdzić numer

mieszkania, i poszedł tam. Drzwi mieszkania nie były zamknięte, zamek ustawiono tak, żeby się nie zatrzasnęły. Fiłatowa leżała w kuchni obok kuchenki bez oznak życia. Kierowca próbował robić jej sztuczne oddychanie, po czym wezwał pogotowie i zadzwonił na milicję. Dalej działały się rzeczy nie do pomyślenia. Na miejsce przyjechali dyżurni oficerowie operacyjni, Gołowanow i Bażow. Znasz ich. Wiesz, że obaj mają paskudny charakter, zwłaszcza Bażow. Kierowca na szczęście okazał się byłym milicjantem, pracuje teraz w jakiejś prywatnej firmie. No i zarabia odpowiednio. Dla Bażowa i Gołowanowa – to jak czerwona płachta na byka. Wczepili się więc w niego jak dwa bulteriery, nie uwierzyli ani jednemu jego słowu i zatrzymali na siedemdziesiąt dwie godziny. Ale najgorsze jest co innego. Kierowca zwrócił ich uwagę na dwie rzeczy. Po pierwsze: kiedy czekał w samochodzie na Fiłatową, widział wychodzącego z budynku mężczyznę. Po drugie: na kuchence stał ciepły czajnik. Jeśli kierowca nie kłamie, ktoś musiał czekać na Fiłatową w mieszkaniu. Nasi twardziele się wściekli, że podejrzany wtrąca się w oględziny miejsca zbrodni, i zaczęli na niego wrzeszczeć. W protokole oględzin oczywiście nie ma tego ciepłego czajnika. Całkiem ich zaślepiała nienawiść do byłego kolegi, który zarabia teraz więcej od nich. W czasie oględzin miejsca zbrodni popełnili szereg błędów. Uczepili się tego, że na ciele nie ma śladów po porażeniu prądem, chociaż lekarz sądowy kilka razy im powtarzał, że tak bywa.

- Nie uwierzyli lekarzowi sądowemu? – zdziwiła się Nastia.
- A po co im lekarz, kiedy mieli w ręku podejrzanego?
- A mężczyzna, który wychodził z domu?

– Tym też się nie zajęli. Jeśli kierowca nie kłamie i mężczyzna rzeczywiście wychodził, to szedł albo z mieszkania Fiłatowej, albo z innego, akurat o porze, która nas interesuje. O trzeciej nad ranem panuje taka cisza, że słycać najmniejszy szmer. Ten mężczyzna, jeśli istnieje i jeśli nie jest zabójcą, może być cennym świadkiem. Ale co ich to obchodzi! – Gordiejew z rozdrażnieniem kopnął krzesło. – Krótko mówiąc, chcę żebyś się nad tym zastanowiła, Anastazjo. Jutro mijają siedemdziesiąt dwie godziny i kierowca zostanie zwolniony. Jestem przekonany, że nic na niego nie znajdą. Informacje, które zdążyli zebrać w czasie weekendu, weźmiesz od Miszy Docenki. I niech on porozmawia z zatrzymanym tak, jak ty uznasz za stosowne.

– Może ja sama z nim porozmawiam, Wiktorze Aleksiejewiczu? – nieśmiało zaproponowała Nastia. – Będzie szybciej niż instruować Miszę. Jest zbyt zapalczywy.

– Miszę trzeba uczyć, a nie wykonywać za niego jego pracę – uciął Gordiejew. – Zabraniam ci rozmawiać z zatrzymanym. Nie po to tu jesteś.

Pułkownik nie potrafiłby chyba odpowiedzieć z przekonaniem na pytanie, dlaczego tak chroni Nastię Kamieńską, dlaczego chowa ją przed wszystkimi. Ale gdzieś głęboko w jego świadomości tkwiło prawie instynktowne przekonanie, że Nastia jest jego największym atutem. Popatrzawszy na zmartwioną twarz swej podwładnej, szeroko się uśmiechnął.

– Idź, dziecinko, i dobrze się zastanów – powiedział serdecznie. – Jutro mi powiesz, co wymyśliłaś.

\*\*\*

Po wyjściu Kamińskiej Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew znów zaczął nerwowo przechadzać się po gabinecie. Musiał podjąć trudną decyzję: co zrobić z hipotezą o udziale bliskiego krewnego prezesa Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości w zgwałceniu dwunastoletniej Nataszy Kowalowej. Sama hipoteza wydała mu się obiecująca, ale nie chciał wciągać swoich chłopców w żadne polityczne rozgrywki. Po krótkim namyśle postanowił przyjąć cios na siebie. Usiadł przy telefonie i wybrał numer. Dzwonił do swego dawnego przyjaciela Żeni Samochina z centrum prasowego MSW. – Witia! – ucieszył się Samochin. – Kopę lat! Dzwonisz z pracy? – Z pracy – potwierdził Gordiejew.

– To pewnie masz do mnie jakiś interes – doszedł do wniosku Samochin. – Mów od razu, czego chcesz, bo muszę zaraz lecieć.

– Żenia, potrzebuję informacji o Witaliju Jewgienjewiczu Kowalowie z kancelarii wicepremiera Awierina i o Winogradowie z FWP.

– A może chcesz też willę w Cannes i limuzynę?

– Żenieczka, będę ci bardzo wdzięczny. Nie proszę o wiele. Muszę tylko wiedzieć, czy się znają, jeśli tak, to w jakich są stosunkach, a jeśli nie, to gdzie mogą stykać się ich interesy. I to wszystko. Pomożesz, Żenia?

– Naprawdę nic na nich nie chcesz? – zapytał z niedowierzaniem Samochin.

– Nie. Interesuje mnie tylko, czy są jakoś ze sobą związani. Zrobisz to dla mnie?

– Tak. – Samochin westchnął. – Zadzwoń w wieczorem do ciebie do domu.

Ale Gordiejew nie byłby sobą, gdyby na tym poprzestał. Nie bez kozery tyle opowiadano o jego nieufności. I nie chodzi o to, że nie wierzył ludziom. Po prostu nigdy nie zapominał o tym, że to, co prawdziwe i istotne – nie zawsze znaczy to samo.

\*\*\*

Po wyjściu od szefa Nastia Kamieńska skierowała się do pokoju oficera dyżurnego, by przejrzeć zgłoszenia i księgę meldunków. Nikt nie potrafiłby powiedzieć, czego Nastia właściwie szuka w tej stercie meldunków, być może ona sama tego nie wiedziała. Niemniej każdego dnia zaglądała do grubej księgi i coś z niej przepisywała na kartce, robiąc jakieś notatki, które tylko ona rozumiała.

Po powrocie do siebie włożyła grzałkę do wysokiego ceramicznego kubka z wodą i wybrała numer wewnętrzny.

– Miszeńka, napije się pan ze mną kawy?

– Z przyjemnością, Anastazjo Pawłowno. Już lecę.

Za chwilę Misza Docenko wchodził już do gabinetu Nasti z filiżanką i pudełkiem cukru.

– A to po co? – Nastia z wyrzutem pokręciła głową. – Przecież to ja pana zaprosiłam. Czy w gości się chodzi z własnym jedzeniem?

– Pani wie – zmieszał się Misza – że czasy są teraz trudne. Trzeba się pilnować, żeby nie wyjść na pieczeniara.

Nastia naląła kawy i przysunęła Miszy filiżankę i paczkę ciasteczek.

– Miszeńka, niech mi pan opowie o sprawie Fiłatowej. Na odprawie zabrzmiało to jakoś... niewyraźnie. Przyznam, że niewiele z tego zrozumiałam. Docenko milczał w napięciu, wlepiwszy spojrzenie w parującą filiżankę. Nastia już chciała powtórzyć swoje pytanie, gdy nagle ją olśniło. No tak! Jak mogła wcześniej o tym nie pomyśleć. Misza Docenko, mimo że pracował w ich wydziale od niedawna, miał reputację mistrza elokwencji. Potrafił świetnie poprowadzić rozmowę, każdego przegadać, jasno formułował myśli, wypowiadał się zwięźle i logicznie. Informacja padająca z jego ust nie mogła brzmieć niewyraźnie. Jeśli tylko... Jeśli tylko sam tego nie chciał. Wszystko wskazywało na to, że było to polecenie Gordiejewa. Widocznie ten nie życzył sobie, żeby jego podwładni po usłyszeniu szczegółów zbrodni popełnionej na Fiłatowej w jej mieszkaniu „roznieśli” mało pochlebną opinię o Gołowanowie i Bażowie po całej Pietrowce. Dlatego również zatrzymał Nastię po naradzie, nie dając jej polecenia przy wszystkich. Ależ spryciarz z tego Pączka! Trzyma karty przy orderach. Nikt nie wie, że ostrzy sobie zęby na przeciwników dużych zarobków. Nikt nawet się tego nie domyśla, ale Pączek nigdy im tego nie zapomni. Wyciągnie kartę w odpowiedniej chwili. Trzeba przyznać, że nigdy nie atakował pierwszy. Ale trzymał w zanadrzu duży zapas takich „kart” i „zębów” na wypadek, gdyby musiał bronić swoich chłopców.

– Miszeńka – roześmiała się Nastia – Wiktor Aleksiejewicz opowiedział mi o czajniku i o mężczyźnie, który wyszedł z bramy. Polecił mi wyciągnąć od pana jak najwięcej. A panu kazał

porozmawiać z zatrzymanym. Niech więc pan nie ściemnia. Proszę mi powiedzieć, kim jest ta Fiłatowa.

Misza skoczył do siebie, przyniósł notatnik i zaczął opowiadać Nasti o wszystkim, czego się zdążył dowiedzieć, odkąd włączono go do sprawy.

Irina Siergiejewna Fiłatowa, trzydzieści sześć lat, wykształcenie wyższe prawnicze, doktorat na uniwersytecie, pracowała w Instytucie MSW od ukończenia studiów, czyli przez trzynaście lat. Mieszkała razem z ojcem, Siergiejem Stiepanowiczem Fiłatowem, w niewielkim dwupokojowym mieszkaniu. Matka nie żyje. Fiłatowa była zamężna, ale rozwiodła się w 1984 roku, dzieci nie ma. Sąsiedzi niewiele potrafią o niej powiedzieć: głośnych imprez nie było, podejrzanych typów też nie. Ojciec był w sanatorium na Krymie od czwartego czerwca, przyleciał w sobotę. Podał nazwiska dwóch przyjaciółek córki i przynajmniej czterech mężczyzn, którzy w różnych okresach byli z nią związani. Nie udało się jak na razie z nimi porozmawiać – żadnego z nich nie było w czasie weekendu w domu. Jak stwierdził ojciec, z mieszkania nic nie zniknęło, wszystkie pieniądze i cenne rzeczy są na miejscu. Był, nawiasem mówiąc, bardzo zdziwiony, że kuchenka elektryczna jest zepsuta. Przed jego wyjazdem do sanatorium wszystko było w porządku, jako inżynier jest o tym przekonany. Klucze do mieszkania mieli tylko on i córka. Nie wie nic o tym, żeby Irina dawała komuś klucze, u nich w rodzinie nie było to przyjęte.

– Dobrze – powiedziała Nastia. – Teraz zatrzymany kierowca. Co o nim wiadomo?

– Wszystko, o czym mówił, zostało jak dotąd potwierdzone. Rzeczywiście odprowadzał faceta na Wnukowo, na samolot o

drugiej czterdzieści pięć trzynastego czerwca. Bilet został kupiony tydzień wcześniej, szóstego czerwca. Fiłatowa poleciała w delegację do Krasnodaru, powinna była wrócić dwunastego koło dziewiętnastej, ale ze względu na deszcz Moskwa nie przyjmowała, samolot wylądował na Wnukowie dopiero o pierwszej czterdzieści w nocy. Spotkanie Zacharowa z Fiłatową na lotnisku nie mogło więc być zaplanowane.

– Jak pan powiedział? – ożywiła się Nastia. – Zacharow?

– Zacharow Dmitrij Władimirowicz, pracownik prywatnego biura ochroniarskiego, do tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku pracował w trzydziestym piątym komisariacie milicji.

– Zacharow... – Nastia westchnęła. – To ten Zacharow. Szkoda.

– Zna go pani? – zdziwił się Docenko.

– Znałam go, ale nie za dobrze. Pamiętam, że zawzięty, lubiący ryzyko, poszukiwacz przygód. I zawsze chciał mieć pieniądze. Mógł się wplątać w coś podejrzanego, ale nie dlatego, że jest złym człowiekiem, tylko przez swoją naturę hazardzisty i ryzykanta.

– Ależ ten świat jest mały. – Misza pokręcił głową, podchodząc do okna.

– Co w tym dziwnego, Miszeńka? – Nastia machnęła ręką. – Każdy, kto przepracował w wydziale kryminalnym ponad pięć lat, musiał się zetknąć praktycznie ze wszystkimi detektywami Moskwy. Przecież nie jest nas tak naprawdę zbyt dużo. Za rok, dwa sam się pan o tym przekona. Wąskie grono, można powiedzieć. No dobra, wracamy do Zacharowa. Oczywiście zaprzecza, że znał Fiłatową wcześniej?

– Oczywiście, ale sprawdzimy to, przesłuchamy jej przyjaciół i kolegów z pracy.

– Kiedy pan to zdąży zrobić? Jutro rano trzeba Zacharowa wypuścić.

– Jadę na drugą do instytutu, jestem umówiony z kierownikiem Fiłatowej.

– Rozmowę z Zacharowem trzeba więc przenieść na wieczór. Pytał go pan, o czym rozmawiali z Fiłatową w czasie jazdy?

– Nie. Ja z nim w ogóle nie rozmawiałem. Dali mi tylko protokół przesłuchania sporządzony przy zatrzymaniu i kazali sprawdzić jego zeznania. Co zresztą zrobiłem.

– Rozumiem. – Nastia wyciągnęła czystą kartkę papieru. – Napiszę panu, co trzeba koniecznie wyjaśnić w instytucie i pytania do Zacharowa. Jeśli mogę coś poradzić, to niech pan pyta w instytucie tylko kobiety. Z mężczyznami niech porozmawia... Kto jeszcze pracuje nad tą sprawą?

– Korotkow i Łarcew.

– No więc Korotkow. Jest wystarczająco niepozorny, żeby nie wzbudzać w mężczyznach instynktu rywalizacji. I jeszcze coś, Miszeńka. Proszę zabrać ze sobą dyktafon. Potrzebuję dokładnych zeznań, a nie pańskich wrażeń. Dobrze?

– Dobrze, Anastazjo Pawłowno.

– Nie obraził się pan? – uśmiechnęła się Nastia. – Proszę się nie obrażać, Misza. Pamięć i uwaga są bardzo wybiórcze. Ufam pańskiej rzetelności, ale wybiórczość mamy wrodzoną i nie możemy jej po prostu odłączyć. Ja też mogę coś przeoczyć. Dlatego trzeba nagrywać. Ostatnie pytanie. Są wyniki sekcji?

– Obiecywali koło południa. Ale protokół od razu zabiera śledczy. Bardzo chce podciągnąć to pod nieszczęśliwy wypadek.

– Jasna sprawa. – Nastia skinęła głową. – Kto robił sekcję?

– Ajrumian.

– Dobrze, zadzwonię do niego. No, Miszeńka, do roboty. Tu są moje pytania. Spotykamy się o ósmej rano. Chcę wszystko wiedzieć przed wypuszczeniem Zacharowa. Aha, jeszcze jedno. Kto z ekipy dochodzeniowej był w mieszkaniu Fiłatowej?

– Oleg Zubow.

– Zdjęcia są pewnie już u śledczego? Trzeba będzie błagać Zubowa, żeby zrobił więcej odbitek.

– Już wybłagałem. – Mówiąc to Misza wyjął z teczki zdjęcia zrobione na miejscu zdarzenia. – Proszę.

– Kochany pan jest, Miszeńka. – Nastia posłała mu pocałunek. – Niech pan zmyka. Czekam na pana o ósmej. Docenko wyszedł, a Nastia zaczęła oglądać zdjęcia zrobione w mieszkaniu Fiłatowej. Oto sama denatka. Ciekawa twarz, zwróciła uwagę Nastia, rysy wprawdzie nieregularne, ale wyraziste. Musiała mieć powodzenie u mężczyzn. Kuchnia mała, ciasna, jakieś pięć metrów kwadratowych. Przedpokój. Obok drzwi wejściowych szafka z telefonem. Wyraźnie widać adidas z długimi rozwiązanymi sznurowadłami, starannie ustawione pod wieszakiem. Coś się tu nie zgadza, pomyślała Kamieńska. Powinna była szybko znaleźć pie niądze i zanieść je kierowcy, a zamiast tego starannie rozsznurowała adidas, postawiła je na miejsce i poszła do kuchni, by włączyć kuchenkę. Gdyby nie zostawiła Zacharowowi dowodu, można by pomyśleć, że wcale nie miała zamiaru oddawać tych pieniędzy. Po co szła do

kuchni? Może tam trzymała pieniądze? Nastia zrobiła notatkę na kartce oznaczonej u góry dużym napisem „Zubow”. Drugi wariant – pieniądze były w pokoju, na dworze padało, adidas przemokły, zdjęła je, żeby nie pobrudzić dywanu. Na kartce z „Zubowem” pojawiła się druga notatka. Zdjęcie panoramiczne dużego pokoju. Idealny porządek. Widać, że pokój od dawna nie był używany. Fotele ustawione w idealnej symetrii po obu stronach stolika. Zbliżenia na półki z książkami, ściany. Zdjęcie amatorskie Iriny, bardzo udane. Fotografia kobiety po czterdziestce, chyba jej matki. Za oszklonymi drzwiczkami serwantki komplet szklanych figurek: tygrys, żmija, kogut, pies, kot – razem dwanaście sztuk. Żadnych innych bibelotów w pokoju nie ma, tylko rzeczy i książki. Mniejszy pokój. Wyraźnie należący do Iriny. Kanapa, biurko z maszyną do pisania, fotel, lampa stojąca. I to wszystko – pokój jest mały.

Nie spuszczać oczu z rozłożonych na biurku zdjęć, Nastia sięgnęła po papierosa. Nagle jej ręka zawisła w powietrzu, Nastia poczuła niemiły chłodek w żołądku. Był to sygnał, że coś jest nie tak. Zebrała zdjęcia i zaczęła je przeglądać. Znow ścisnęło jej żołądek. Wiedziała, że to uczucie przy oglądaniu zdjęć sygnalizowało jakąś ważną informację, burzącą schemat. Odłożyła jedno zdjęcie na kartkę z napisem „Ajrumian”. I to na razie wszystko. Teraz może zadzwonić.

Oleg Zubow był jak zwykle zasepiony i opryskliwy. Poza tym Gordiejew widocznie i jemu kazał trzymać język za zębami, więc Nastię dużo kosztowało, by zaczął wreszcie mówić.

– Zrozum, Nastazjo, nasi detektywi dęli w inną dudkę niż śledczy. Śledczy to schorowany staruszek, marzy o emeryturze, jest połowa czerwca, a on jeszcze nie był na urlopie. Na co mu to zabójstwo? On

chce, żeby to był nieszczęśliwy wypadek. I ma gdzieś mężczyznę z ciepłym czajnikiem, jeśli to nie potwierdza hipotezy o porażeniu prądem. Taki już jest, nie życzy sobie w tym wieku żadnych problemów. Jak mu przyniesiesz walizkę dowodów, że Fiłatowa została zabita, to wtedy może zdecydować się na wszczęcie śledztwa. A jak nie przyniesiesz – palcem nie kiwnie, zamknie sprawę – i koniec. A o naszych zuchach sama wszystko wiesz. Ci, w odróżnieniu od niego, chcą, żeby to było zabójstwo i żeby zabójcą był właśnie ten kierowca. Chyba za nim nie przepadają. – Oleg uśmiechnął się. – I żadne inne zabójstwo ich nie urządza. Im ten facet z ciepłym czajnikiem też nie jest do niczego potrzebny. Tak to wygląda.

– Ale ty sam dotykałeś tego nieszczęsnego czajnika czy nie?

– No pewnie. Nawet obliczyłem, kiedy gotowano w nim wodę. O pierwszej trzydzięci, plus minus pięć minut.

Z rozmowy z Zubowem Nastia dowiedziała się, że Fiłatowowie nie mieli w mieszkaniu żadnych dywanów, a pieniądze przechowywali w drewnianej szkatułce w szufladzie szafki w przedpokoju.

Gurgen Artaszewicz Ajrumian w odróżnieniu od Zubowa był człowiekiem dobrodusznym i gadatliwym. Poza tym lubił Nastię Kamieńską, która tak się różniła od jego dwóch wnuczek, hałaśliwych i gwałtownych, oraz, jak sądził, głupiutkich i lekkomyślnych.

– Witam cię, rybeńko, witam, złociutka – dudnił w słuchawkę. – Przypomniałaś sobie o dziadku Gurgenie. Pewnie w sprawie Fiłatowej? Wysłałem protokół z sekcji śledczemu.

– Gurgenie Artaszewiczu, dosłownie w paru słowach, dobrze? Pan przecież wie, że szef nie dopuszcza mnie do śledczego – poprosiła Nastia.

– Jeśli w paru słowach, to nie bardzo wiem, na co zmarła Fiłatowa.

– Jak to? – zdumiała się Nastia.

– A tak to. Śmierć nastąpiła w wyniku zatrzymania akcji serca. Ale sekcja nie wykazała ani przewlekłej choroby, ani ostrego niedomagania, które mogłyby do tego doprowadzić. Nie ma też żadnych śladów po porażeniu prądem, ale dopuszczam możliwość, że denatka mogła umrzeć właśnie w jego wyniku. Chodzi o to, moje słoneczko, że w dziesięciu – piętnastu procentach przypadków porażenie prądem nie zostawia żadnych śladów. Można o tym przeczytać we wszystkich podręcznikach. Ale jeśli chcesz, żebym powiedział ci trochę więcej niż w paru słowach, to odpowiem ci na jedno pytanie, którego nie zadał mi śledczy. Chyba bardzo się spieszył, a może nie miał ochoty. Chcesz?

– Oczywiście.

– Otóż, moja kochana, jeśli zajrzysz do książki *Ogłędziny zwłok na miejscu zbrodni* wydanej w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku, to znajdziesz na stronie sto pięćdziesiątej siódmej, że śledczy powinien był mnie zapytać: czy na ciele Fiłatowej są urazy niezwiązane z działaniem prądu elektrycznego? Jeśli tak, to jakiego typu i jak powstały. A ja bym mu wtedy odpowiedział, że Fiłatowa miała ślad po uderzeniu w głowę, powstania którego nie potrafię wytłumaczyć, nie ma natomiast śladów, jakie spodziewałem

się znaleźć. Oto, co chciałem dodać do tych paru słów. Mam mówić dalej, czy sama się już domyśliłaś?

– Domyśliłam się – odparła Nastia. – Mam zdjęcia, od razu zwróciłam uwagę, że kuchnia jest malutka. Przy upadku Fiłatowa na pewno uderzyłaby się o brzeg stołu i zahaczyła o taboret. Nie znalazł pan śladów po takich uderzeniach?

– Lubię cię, ptaszyno moja, rozmowa z tobą to sama przyjemność. Ślad, jaki znalazłem, absolutnie do tego nie pasuje. Z jednej strony, niby uderzyła się o podłogę. Ale z drugiej, przy jej wzroście, jeśli nie brać pod uwagę stołu i taboretu, powinna była uderzyć się o wiele mocniej. Ślad powstał w chwili śmierci, więc nie mogła uderzyć się wcześniej. Jedno mogę powiedzieć: stłuczenie powstało w wyniku uderzenia o płaską powierzchnię, a nie od uderzenia twardym przedmiotem. No i jak, słoneczko moje, jesteś zadowolona?

– Bardzo – przyznała szczerze Nastia. – Co ja bym bez pana zrobiła? Dawno wyrzuciliby mnie z pracy. I chyba nie przesadzała. Przed dwudziestym każdego miesiąca przedstawiała Gordiejewowi analizę wykrytych i niewykrytych zabójstw, ciężkich uszkodzeń ciała i gwałtów. Dzięki takiej analizie wychodziły na jaw nowe cechy charakterystyczne popełnionych przestępstw, jak również typowe błędy popełniane w czasie śledztwa. I co miesiąc Nastia zwracała się do Ajrumiana, wysłuchując z wdzięcznością jego szczegółowych wyjaśnień, szczerze przeplatanych „rybkami”, „ptaszynami” i „słoneczkami”.

No cóż, pomyślała, mam już wystarczająco dużo wstępnych informacji, żeby zastanowić się nad okolicznościami śmierci Fiłatowej. Nie chodzi na razie o motywy i identyfikację zabójcy. Teraz najważniejsze jest ustalenie, czy był to rzeczywiście

nieszczęśliwy wypadek, czy go upozorowano. I w ogóle jak to się stało i czy jest w tę sprawę zamieszany Dima Zacharow. Dobrze by było porozmawiać z elektrykiem, który sprawdzał instalację w mieszkaniu Fiłatowej, chociaż nie jest na razie ważne, jakiego rodzaju to było uszkodzenie. Była przekonana, że kuchenka nie mogła nagle sama się zepsuć między wpół do drugiej w nocy, kiedy była gotowana woda w czajniku, jak twierdzi Zubow, a wpół do trzeciej, kiedy Irina została porażona prądem. Co znaczy, że albo kuchenka była uszkodzona w tym czasie umyślnie, albo ciepły czajnik to wymysł, który przyszedł do głowy jednocześnie Zacharowowi i detektywowi Zubowowi, albo wreszcie ten, kto gotował wodę w czajniku, wiedział, że kuchenka jest niesprawna, i zabezpieczył się, wkładając gumowe rękawiczki. Innych możliwości nie ma. Po znalezieniu punktu zaczepienia Nastia Kamieńska zaczęła przygotowania do pracy. Był to prawdziwy rytuał, który tak naprawdę miał odsunąć moment przystąpienia do rozmyślań nad sprawą. Nastia niespiesznie zaparzyła kawę, popiła nią przeniesioną z domu kanapkę, wypaliła papierosa, przygotowała trzy czyste kartki, starannie je podpisując: „Wymysł”, „Uszkodzenie między 1.30 a 2.30” i „Wcześniejsze uszkodzenie”. Zamknęła się w gabinecie na klucz. Gotowe. Teraz można zaczynać. Na początek zajęła się wariantem „Wymysł”, bo był najprostszy. Nie było żadnego ciepłego czajnika, Zacharow i Zubow zgodnie kłamią, bo Zacharow jest zabójcą, a Zubow o tym wie i z jakichś powodów go kryje. Były to kompletne brednie, ale taki miała zwyczaj: rozpatrywać wszystkie możliwe warianty, jakkolwiek bzdurne by się wydawały. Więc Zacharow jest zabójcą, a Zubow jego współnikiem. Zacharow wchodzi do mieszkania Fiłatowej i zabija ją. Jak?

Zaczyna przy niej grzebać w kuchence? A jeśli zabija ją w inny sposób, to jak? Jak jeszcze można spowodować zatrzymanie akcji serca? Za pomocą jakiegoś gazu paralizującego? Ajrumian nic w płucach nie znalazł. Ale nie o to chodzi. Rzecz w tym, że oprócz nich w mieszkaniu byli dwaj oficerowie operacyjni z Pietrowki, jeden – z komisariatu dzielnicowego, inżynier elektryk i świadcowie. I każdy z nich, jak również wszyscy razem, mogą powiedzieć, że historia z ciepłym czajnikiem – to lipa. Nastia z ulgą podarła kartkę z napisem „Wymysł” i zabrała się do kolejnego wariantu.

Jeszcze raz przeanalizowała swoje argumenty przeciw temu, że kuchenka zepsuła się bez ingerencji z zewnątrz. Jeśli Fiłatowa była w czasie śmierci w mieszkaniu sama, to prócz śladów, których nie znalazł lekarz sądowy, sąsiedzi musieliby słyszeć jakiś hałas. Jeśli w mieszkaniu czekał na nią ktoś, kto nie był zabójcą, musiał albo wiedzieć o uszkodzeniu kuchenki i ją o tym uprzedzić, albo nie wiedział i wtedy zdarzenie wyglądałoby dokładnie tak samo: upadek, potłuczenia, łoskot. Misza Docenko przesłuchał sąsiadów, nikt nic nie słyszał. Obudziło się tylko dwoje staruszków z sąsiedniego mieszkania, kiedy Irina otwierała drzwi o wpół do trzeciej nad ranem, a później je zatrzaśniała. Starzy ludzie śpią czujnie i zasypiają z trudem. Hałas w mieszkaniu Fiłatowej dziesięć minut później też by usłyszeli.

O niczym chyba nie zapomniała. Przejdźmy do umyślnego uszkodzenia kuchenki między godziną 1.30 a 2.30... Nastia kreśliła na kartkach papieru kwadraciki i strzałki, zapisywała pojedyncze słowa i zdania, notowała pytania, które trzeba będzie zadać oficerowi operacyjnemu, sąsiadom, ojcu Fiłatowej. Liczba

niedopałków w popielniczce rosła, a ilość kawy w opakowaniu malała. Na biurku pojawiały się nowe kartki z napisami: „Zaplanowane”, „Przypadkowe”, „Adidasy”, „Zamek”. Nastia miała wreszcie przed oczami obraz przestępstwa, na który składało się wszystko, co w tej chwili było jej wiadomo. Był tu i zablokowany zamek w drzwiach wejściowych, i starannie rozsznurowane adidasy, i niesprawna kuchenka, i ciepły czajnik, i mężczyzna wycho dzący z bramy, i dziwna cisza, i „nie takie, jak trzeba” potłuczenie.

Tak, Irino Siergiejewno – pomyślała Nastia Ka mieńska, patrząc na amatorskie zdjęcie Fiłatowej – to nie był nieszczęśliwy wypadek. Zabito panią. Z zimną krwią. Zabił panią człowiek doświadczony i przewidujący. Nie mógł jednak wiedzieć, że Zacharow czeka na panią w samochodzie na dole. Gdyby nie Zacharow, pani ciało znaleziono by dopiero dzisiaj, i czajnik dawno zdążyłby już wystygnąć. Nie mógł też przewidzieć, że znajdzie się pani wśród tych dziesięciu – piętnastu procent, o których piszą podręczniki, i że na pani ciele nie pozostaną żadne ślady po porażeniu prądem elektrycznym, i że znajdą się tacy, którzy nie uwierzą w pani przypadkową śmierć. Zabójca kalkulował dobrze. Tylko że zbieg okoliczności okazał się dla niego niepomyślny. Co się z panią stało, Irino Siergiejewno? Komu pani zalaża za skórę, komu przeszkodziła? Kogo skrzywdziła?

\*\*\*

Zmęczona duchotą Nastia Kamieńska wysiadła z autobusu, nie dojechawszy do swojego przystanku. W czasie jazdy o mało nie

zemdłała. Ona, która mogła całymi dobami nie jeść i nie spać, pochłonięta rozwiązywaniem zagadki kolejnej zbrodni, ona, która w ciągu ośmiu lat ani razu nie była na zwolnieniu lekarskim i lekceważyła wszystkie swoje dolegliwości, miała dwóch zaciekle wrogów – tłum i duchotę. Nie potrafiła sobie z tym poradzić. Jej organizm stanowczo odmawiał posłuszeństwa, szepcząc złośliwie: „Trujesz mnie czerstwymi kanapkami i papierosami, nie leczysz, nie dbasz, olewasz mnie – no to masz za swoje! Właśnie wtedy, gdy jesteś śmiertelnie zmęczona albo się spóźniasz na umówione spotkanie, zmuszę cię, byś szła pieszo!”. Nastia od dawna wiedziała o wszystkich sztuczkach swojego układu krążenia i zabezpieczała się, nosząc w torebce fiolkę amoniaku, ale przede wszystkim starannie rozpracowywała swoje trasy, wyznaczając na nie zwykle więcej czasu niż trzeba. Jeszcze nigdy w życiu nigdzie się nie spóźniła.

Szła powoli, by uniknąć niepotrzebnego wysiłku, i zaglądała po drodze do sklepów. Duża torba na jej ramieniu robiła się coraz cięższa, nogi, spuchnięte po wielogodzinnym przesiadywaniu w nagrzanym gabinecie, strasznie bolały przy zetknięciu się z wilgotną skórzaną wyściółką butów. Nastia wypracowała własną metodę prowadzenia domowego budżetu. Po otrzymaniu wypłaty dzieliła pieniądze na kupki według przeznaczenia, a następnie sumę przeznaczoną na wyżywienie – na liczbę dni w miesiącu. Otrzymały w rezultacie iloraz był limitem, którego przekroczyć nie mogła. Dlatego im rzadziej chodziła do sklepu, tym więcej smacznych (i drogich) produktów mogła sobie kupić. Gdyby robiła zakupy codziennie, musiałaby się żywić chlebem, mlekiem i jajecznicą z pomidorami. Ale jeśli kupowała raz na pięć dni, a jeszcze lepiej –

raz w tygodniu, to mogła już sobie pozwolić na wędzonego kurczaka, ser, szynkę, a nawet arbuza. Oprócz możliwości urządzania sobie małych uczt, taki sposób prowadzenia gospodarstwa domowego miał jeszcze jeden plus, chyba najważniejszy. Chodziło o to, że Nastia Kamińska była niezwykle, wręcz niesamowicie leniwa.

Na ławce obok swojej bramy zauważyła rudego rozczochranego faceta, pochłoniętego czytaniem książki. Obok niego leżało kilka reklamówek, z których sterczał szczypiorek, długa złocista bagietka, matowo i apetycznie przeświecające przez folię jaskrawoczerwone pomidory. Zauważywszy stojącą nad nim Nastię, facet oderwał się od książki i zaczął gorączkowo zbierać zakupy. – Aśka, gdzie cię nosi... Przecież umówiliśmy się, że świętujemy. Powiedziałaś, żebym przyszedł na szóstą, a jest już ósma.

– Głupek – powiedziała dobrodusznie Nastia. – O szóstej w piątek, a dziś jest poniedziałek. Czekałam na ciebie w piątek przez cały wieczór. – Podeszła do bramy, przytrzymując drzwi i przepuszczając przodem obwieszzonego torbami rudzielca.

– Jak to w piątek? – zmieszał się, próbując poradzić sobie jednocześnie z drzwiami, wypadającą zza pazuchy książką i zsuwającymi się z nosa okularami. – Byłem przekonany, że piętnastego. Dziś jest piętnasty, prawda? Czyżbyśmy umawiali się na piątek? Znów wszystko pokręciłem...

Wjechali windą na dziewiąte piętro. Kiedy Nastia otwierała drzwi mieszkania, jej towarzysz nie przestawał narzekać ze skruchą, że jest taki roztrzepany.

– No dobra – powiedziała zmęczona Nastia, opadając bez sił na krzesło w przedpokoju i wyciągając nogi – masz problemy z pamięcią. Ale potrafisz chyba myśleć logicznie. Jesteś w końcu matematykiem. Kto świętuje w poniedziałek? Nie chcę więcej rozmawiać na ten temat. Gdybym wiedziała, że zjawisz się z zakupami, nie znęcałabym się nad swoim delikatnym organizmem i nie łąziłabym po sklepach.

Może matematyk Losza był i roztrzepany, i trochę dziwny, ale nie na tyle, by nie zauważyć zmiany w nastroju swojej przyjaciółki. Wzmianka o „znęcaniu się nad delikatnym organizmem” oznaczała przebłysk uśmiechu i dobrego humoru, czyli – gotowość przebaczenia. Znali się prawie od dwudziestu lat, chodzili do jednej klasy w szkole matematyczno-fizycznej. Przez wszystkie te lata Losza gorąco, jakoś dziecinnie kochał się w Nastii. Jej mało efektowna powierzchowność wcale mu nie przeszkadzała, wydawało się, że w ogóle nie zwraca na to uwagi. Od czasu do czasu jednak oczy mu się otwierały i wtedy zauważał wokół siebie mnóstwo pięknych, eleganckich kobiet, w których zadurzał się po uszy, tracił głowę ogarnięty pożądaniem, ale wystarczyło, że porozmawiał przez dziesięć minut z obiektem swojej szalonej namiętności, aby jego gorące uczucie natychmiast ostygło, bo okazywało się, iż rozmawiać i spędzać czas potrafi tak naprawdę tylko z Nastią. Z resztą kobiet, jak również z większością mężczyzn, po prostu się nudził. Po każdej kolejnej przygodzie wracał do Nastii i ze śmiechem opowiadał jej, jak po raz kolejny rozczarował się pięknymi kobietami. Nastii to nie przeszkadzało – było jej z nim wygodnie.

Tego wieczoru wszystko wyglądało jak zawsze. Losza posadził Nastię w kuchni, podsunął pod jej stopy miskę z zimną wodą i zaczął szybko przygotowywać kolację, opowiadając jednocześnie, jak spędził te kilka dni po ich ostatnim spotkaniu. Ładnie nakrył do stołu, nalał Nasti martini z lodem, dla siebie otworzył piwo. Obejrzelikryminał w telewizji. Nastia słuchała swego rudego geniusza nieuważnie, myśląc z przyjemnością, że dobrze, iż istnieją na świecie tacy jak Losza, którzy nic od ciebie nie wymagają, a jednocześnie pozwalają nie czuć się starą panną.

Losza zasnął zmęczony po wybuchu namiętności, a Nastia długo jeszcze leżała z otwartymi oczami, rozmyślając o Irinie Siergiejewnie Fiłatowej. Pracujący na pełnych obrotach umysł nie chciał się wyłączyć. Ostrożnie wstała, narzuciła szlafrok i poszła do kuchni. Wyciągnęła z torebki zdjęcie zrobione w mieszkaniu Fiłatowów i oparła je o ceramiczny wazonik na stole. Co jest nie tak z tym zdjęciem? Co jest nie tak? Co?

# ROZDZIAŁ 3

Żegnający Irinę Fiłatową skierowali się z prosektorium przy ulicy Rossolimo na cmentarz Piatnicki koło Dworca Ryskiego, gdzie była pochowana jej matka. Przyszło zadziwiająco dużo osób. Jura Korotkow szedł w tłumie, mocno trzymając pod ramię Ludę Siemionową, przyjaciółkę zmarłej i jej koleżankę z pracy. Potrzebował kogoś, kto dobrze zna otoczenie Fiłatowej i w czasie ceremonii pogrzebowej będzie mógł odpowiadać na pytania, a nie tylko zalewać się łzami.

Wołodia Łarcew, który razem z Miszą Docenką przesłuchiwał kobiety, poradził Jurze, by zwrócił się do Siemionowej, a Korotkow wierzył w intuicję Łarcewa.

– Pan uważa mnie chyba za nieczułą? – cicho zapytała Ludmiła. – Tyłu bliskich pochowałam w swym życiu, że mam teraz do śmierci stosunek filozoficzny. Gdyby jedni umierali, a drudzy nie, wtedy śmierć byłaby tragiczną niesprawiedliwością. Dlaczego zmarł ten, a nie inny, dlaczego jednemu dane jest żyć wiecznie, a innemu nie? Jeżeli nieśmiertelność nie istnieje, to trzeba traktować śmierć jak coś normalnego i nieuniknionego. Nie mam racji?

– Nie wiem – poważnie odpowiedział Korotkow. – Nie umiem pani na to odpowiedzieć. Proszę rzucić okiem, kim jest ten pan obok ojca Fiłatowej? – Wskazał ruchem głowy krzepkiego ciemnowłosego mężczyznę z wąsami i skośnymi oczami.

– Były mąż Iriny, Rusłan Baszyrow. A obok – jego obecna żona.

Pochwyciwszy zdziwione spojrzenie swego towarzysza, Ludmiła lekko się uśmiechnęła.

– Taka już była ta nasza Irka. Z nikim nigdy się nie kłóciła. Zawsze twierdziła, że najważniejsze w życiu – to utrzymywać dobre stosunki ze wszystkimi. Jeśli kobieta i mężczyzna się rozstają, nie znaczy to, że ktoś reś z nich jest złym człowiekiem. Po prostu nie czują się już razem dobrze. Z różnych przyczyn. Ale to, że ludzie nie potrafią ze sobą wytrzymać, nie znaczy, że nie mogą się spotykać i przyjaźnić. Obecna żona Rusłana jest, nawiasem mówiąc, w bardzo dobrych stosunkach z Iriną... to znaczy była. Irka nawet odwiedzała ich w towarzystwie swych adoratorów.

– Rzeczywiście, rzadko można się spotkać z czymś takim – zgodził się Jura. – Oprócz męża są tu też... jak by to delikatnie określić... mężczyźni, z którymi Irina... – Zmieszał się. Nie wypadało wspominać na cmentarzu o kochankach.

– Proszę się nie krępować, Jura. – Siemionowa lekko ścisnęła jego łokieć. – Sama byłam kiedyś śledczym. Może mi pan zadać każde pytanie. I może być pan pewny, że ja ze swojej strony nigdy nie zapytam o coś, o czym pan nie będzie mógł mówić.

– Jest pani cudowna, Ludoczko – wyznał szczerze Korotkow. – Gdyby nie była pani zamężna, poprosiłbym panią o rękę.

– To niech pan poprosi – zaskakująco spokojnie odparła Siemionowa.

– Proszę tak nie żartować. Bądź co bądź jesteśmy na pogrzebie. – Jura delikatnie pogładził jej palce, spokojnie spoczywające na jego przedramieniu.

– Wcale nie żartuję. – W głosie kobiety słychać było gorycz. – Pan ożeni się ze mną, a on ze swoją mamusią. I będziemy chodzić do siebie z wizytami.

Stara historia – pomyślał ze smutkiem Korotkow. Mąż uwielbia apodyktyczną, nieznośną matkę i przez całe życie porównuje do niej swoją żonę, która nie może jej dorównać. Prawie połowa znanych mu małżeństw tak właśnie wygląda.

– Dlaczego Fiłatowa nie wyszła ponownie za mąż? – zapytał nagle. – Na ile zrozumiałem, adoratorów miała pod dostatkiem.

– Wiek, Jura, niestety, wiek. Po trzydziestce kobiety są zmuszone spotykać się albo ze starymi kawalerami, którzy okropnie się boją urzędu stanu cywilnego, albo z żonatymi. Żeby wyjść za mąż za tych pierwszych, trzeba być kompletną idiotką, a tych drugich trzeba doprowadzić do rozwodu. A Irina nie miała na to ochoty. No i do tego problem z mieszkaniem. Przyprowadzać męża do małego mieszkanka, gdzie mieszkała ze starym schorowanym ojcem – tego absolutnie nie chciała robić. A skąd rozwodnik może mieć mieszkanie? Przecież zostawia je zwykle żonie i dzieciom.

– Ale nie wszyscy zostawiają mieszkanie żonie, wielu zamienia na dwa mniejsze – nie zgodził się Jura.

– Irka w życiu by nie wyszła za faceta, który, odchodząc do kochanki, procesuje się o podział majątku z żoną i dziećmi – odparła z przekonaniem Luda. – Nie znosiła sobków i dusigroszy. Przez pewien czas myślała o zapisaniu się do spółdzielni mieszkaniowej, ale nic z tego nie wyszło.

– Dlaczego?

– Liczyła na pieniądze, których w końcu nie dostała. A nie lubiła pożyczać. Nawet do pierwszego nigdy nie pożyczała. W ogóle miała bzika na punkcie tego, że może być dla kogoś ciężarem i coś komuś zawdzięczać. To była wręcz jakaś obsesja. Do wszystkiego w życiu doszła sama, nikogo nie prosiła o pomoc. Nie dlatego, że była zbyt dumna, i nie po to, by udowodnić, że potrafi sobie poradzić bez niczyjej pomocy. Wcale nie. Bała się czegoś innego. Zdarza się, że zwracasz się o pomoc do człowieka, który nie może ci odmówić, chociaż sprawia mu to pewien kłopot. Pomaga ci, a w głębi duszy jest zły i na ciebie, i na siebie, za swoją uległość. Irina bardzo nie chciała wplątywać się w podobne sytuacje. Chociaż sama jest bardzo uczynna i jeśli ktoś nie potrafi odmawiać, to właśnie ona. Nikomu nie odmówiła pomocy. – Ludmiła cały czas się myliła, mówiąc o przyjaciółce w czasie teraźniejszym.

– Co się stało z pieniędzmi na spółdzielnię? – wrócił Jura do tematu, który najbardziej go interesował. – Liczyła na spadek?

– Nie wiem. – Ludmiła westchnęła. – To było przed moim przyjściem do instytutu. Tylko raz o tym wspomniała i koniec. A ja nie wypytywałam. Jeśli interesują pana jej faceci, stoi tam jeden w szarej koszuli, widzi pan, jej ostatnia miłość. Pracuje w rosyjskim oddziale Interpolu. Wysoki, zażywny blondyn, trzeci z lewej – to wykładowca z naszej akademii. Irina rozstała się z nim w zeszłym roku. Mam na myśli to, że ich romans się skończył. Ale stosunki oczywiście ze sobą utrzymują. Utrzymywali – poprawiła się Siemionowa. – Coś nie widzę Koreckiego, chociaż powinien być.

– Dlaczego? – zaniepokoił się Jura. – Kim jest Korecki?

– Żenia Korecki to chirurg z naszej przychodni resortowej. Irina miała z nim najdłuższy romans, nawet jej małżeństwo trwało krócej.

Żenia leczy jej ojca, Siergieja Stiepanowicza. Więc nadal bywa u nich w domu.

– Czy pani przyjaciółka miała choćby jeden romans z kimś spoza milicji? Specjalnie wybierała kochanków wyłącznie z MSW, czy co?  
– jęknął Korotkow.

– A gdzie miała szukać innych? – zdziwiła się Ludmiła. – Przez całe życie tylko dom i praca. Innych nawet nie ma gdzie poznać. To tylko w wieku dwudziestu lat biega się na dyskoteki i imprezy studenckie. A w naszym wieku człowiek ogranicza się już tylko do kręgu kolegów z pracy. Irina raz miała romans wakacyjny. Długo później nie mogła dojść do siebie, tak się sparzyła. Na pierwszy rzut oka przystojny, inteligentny, rozsądny, a okazało się, że dwukrotnie karany. Żeby pan wiedział, co się z nią działo!

– Co? Bardzo to przeżywała? – zapytał Jura.

– A gdzie tam! Od razu z nim zerwała. Nie dlatego, że był karany, bo to za jakieś wykroczenia drogowe, a dlatego, że to ukrył i chciał się z nią ożenić po rozwodzie z pierwszą żoną. Chociaż musiał wiedzieć, że majorowi milicji nie wypada mieć męża z dwoma wyrokami.

– Jak się o tym dowiedziała, jeśli on ukrywał?

– Przypadkowo. Wściekła się. Nie znosiła, jak ktoś traktował ją niepoważnie. Ten Walera, o ile wiem, był jedynym mężczyzną, z którym zerwała na dobre. Raz na zawsze. A cała reszta nawet nie podejrzewa, że Irina z nimi skończyła. Mówiłam już panu, że ze wszystkimi była w dobrych stosunkach. Zwodziła ich, że niby wszystko jest po staremu, tylko nie udaje im się spotkać: a to pracy za dużo, a to delegacja, a to nie ma wolnej chaty. Ona wszystkich

ich szczerze lubi, tylko nie chce z nimi sypiać. W przeciwnym wypadku by tu teraz nie przyszli.

Ceremonia żałobna dobiegła końca. Sześciu barczystych mężczyzn wzięło trumnę na ramiona i kondukt ruszył do miejsca pochówku. Jura poszukał wzrokiem chłopców z grupy dochodzeniowo-technicznej, którzy filmowali pogrzeb ukrytą kamerą.

– Niech pani dobrze się przyjrzy, Ludoczko – poprosił. – Dużo tu osób, których pani nie zna?

– Znam prawie wszystkich – odparła szybko. – W zasadzie sami moi, z instytutu. Tam dziewczyny z centrum informacyjnego, Ira brała od nich dane statystyczne. Ci, obok ojca, to krewni. Za naszym kierownikiem idzie jakiś mężczyzna, którego nie znam. Na samym końcu dwaj z wielkimi mieczykami – tych też widzę po raz pierwszy. Dziwne, że nie ma Koreckiego.

Korotkow się zatrzymał. Sam nie wiedział, dlaczego nie chce już podziękować Ludzie Siemionowej, która ufnie opierała się o jego ramię. Ale przeciągać dalej nie wypadało.

– Dziękuję, pani Ludo – powiedział cicho. – Nie będę już pani więcej zamęczał. Niech pani idzie pożegnać się z Iriną. Na mnie już czas.

Przeszedł przez powoli przesuwaną się tłum, zwolnił na chwilę najpierw obok niewysokiego smagłego mężczyzny w rogowych okularach, potem koło dwóch mężczyzn z mieczykami, prawie w całości zasłaniającymi ich twarze. Teraz był pewien, że zostali sfilmowani z bliska.

Krocząc mostem Krestowskim i prawie się dusząc od wdzierającego się w płuca ciężkiego upału, próbował skoncentrować

się na sprawie Pleszkowa, którą też musiał się dziś zająć. Ale myślami był gdzie indziej i długo jeszcze słyszał cichy głos: „Nie żartuję. Niech się pan ze mną ożeni”.

\*\*\*

„...To dzięki niej był wykonywany plan całego wydziału. Odkładała własne prace i pomagała innym. Harowała jak wół. Przychodziła w soboty, brała robotę do domu na niedziele i w święta. Nasz szef nosił ją na rękach. A ona wstydziła się nawet poprosić o wolne...”. „Wszyscy się jej bali, zwłaszcza kiedy dawali jej teksty do recenzji. Była bardzo wymagająca, czepiała się wszystkiego. Kiedy zwróciła mi pracę doktorską, całe marginesy były popisane ołówkiem, może pan to sobie wyobrazić? Wszystkie marginesy na każdej stronie. A na końcu włożyła jeszcze kilka kartek z uwagami. Nie dlatego, że jestem taki tępy. Ona każdą pracę tak czytała. Ale wszyscy wiedzieli, że jeśli weźmie się pod uwagę jej poprawki, to na obronie pójdzie już gładko. Dlatego każdy podsuwał jej swoją pracę, nikomu nie odmawiała, chociaż własnej roboty też miała sporo. Byli oczywiście i tacy sprytni, którzy zabierając od niej pracę z uwagami, opowiadali wszędzie, że czytała ją „sama Fiłatowa”, ale nic nie poprawiali. Irina Siergiejewna miała świetną reputację. Po jej poprawkach można było w ogóle już pracy nie czytać, tylko śmiało złożyć ją komisji i obronić. Niektórzy więc to wykorzystywali. Raz wykryła taki szwindel – co wtedy było! Przyszła na obronę, wystąpiła jako nieoficjalny oponent i dosłownie zmieszała doktoranta z błotem. Wszystko potrafiła wybaczyć –

lenistwo, głupotę, ale oszustów nie znosiła. Po prostu wychodziła z siebie...”.

„Wrogowie? Irina nie miała wrogów! Zresztą skąd?!”. „Irki po cichu wielu nie lubiło. Głównie ci, co jej nie rozumieli. Niech pan sam pomyśli: niestara, ładna, z dużym powodzeniem u mężczyzn – i taka zapracowana. Coś tu nie gra. Po co się tak zaharowuje? Żeby się popisać przed przełożonymi czy jak? W wieku trzydziestu czterech lat została głównym specjalistą, a takie stanowisko według obecnych wymogów mogą zajmować tylko doktorzy habilitowani. Za co taki awans? Ale ci, co ją dobrze znali, wiedzieli, że ona kocha swoją pracę. Wiele razy mi wspominała, że jej ulubionym pytaniem od dzieciństwa było: dlaczego? Dlaczego dzieje się tak, a nie inaczej? Dlaczego zdarza się to i tamto? I w dziedzinie kryminologii też cały czas stawiała pytania, głowiła się, próbowała zrozumieć, dlaczego zjawisko przestępczości wygląda tak, a nie inaczej...”.

„Wszyscy biegaliśmy do niej, żeby się wypłakać. Potrafiła słuchać. I pocieszać. Po rozmowie z nią od razu robiło się lepiej. Zastępowała nam psychoterapeutę. I zawsze niezmiennie radziła: rób, jak uważasz za słuszne, nie przymuszaj się, nie postępuj wbrew sobie...”.

„Fiłatowa była niedobra, nie potrafiła wybaczać. Nie mściła się, nie, uchowaj Boże, była na to za miękka. Ale wyrabiała sobie opinię i nigdy jej nie zmieniała, nawet gdyby świat miał się zawalić. Przyklejała człowiekowi etykietkę na całe życie i nawet tego nie ukrywała. Pewnego razu kolega pożyczył od niej na tydzień pieniądze, a zwrócił dopiero po dwóch miesiącach. Fiłatowa nigdy mu o tym nie przypomniała, nigdy nie zapytała, chociaż siedzieli w jednym pokoju i widzieli się ze dwadzieścia razy dziennie. A kiedy

zwrócił się do niej po raz drugi z tą samą prośbą, odparła: «Wołodienka, jesteś świetnym facetem, ale pieniędzy ci więcej nie pożyczę. Jesteś nieodpowiedzialny i już ci nie ufam». Wyobraża pan sobie – przy wszystkich. To była cała ona...”. „...Dziwiliśmy się, dlaczego Irina nie pisze pracy habilitacyjnej. Nikt nawet nie wątpił, że jest w stanie to zrobić. A ona ciągle żartowała, że za wcześnie na kopanie sobie grobu, że jeszcze się nie wyszumiała. Można ją było zrozumieć: póki w radzie naukowej siedzą stare przyki, które same habilitowały się dopiero w wieku pięćdziesięciu lat, nie pozwolą jej na to, bo jest za młoda. Ale nasz szef chyba w końcu ją przycisnął, zwłaszcza odkąd zaostrzono kryteria nominacji głównych specjalistów. W każdym razie, w planie instytutu na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi jest też jej monografia...”.

„...Irinę Siergiejewnę bardzo bolało, że ministerstwo nie docenia wkładu nauki. Była bardzo opanowana – daj Bóg każdemu, ale temperament miała gorący. Wysłuchiwała w ministerstwie na swój temat i pod adresem całego instytutu różnych paskudnych rzeczy, ale zaciskała zęby i milczała, dopiero w moim gabinecie wybuchała. Zwłaszcza ciężko jej było przez ostatnie dwa – trzy miesiące, kiedy zaczął się jej czepiać Pawłow ze Sztabu MSW. Kilka razy zwracał dokumenty do po prawki, i to jej, która nigdy w życiu nic nie musiała przerabiać. Proszę mi wierzyć, jeśli w kryminologii istnieją genialni specjaliści, to można ją śmiało zaliczyć do ich grona. A ten Pawłow – to tępy nieuk, nie odróżnia kryminologii od kryminalistyki, w słowie «perspektywa» potrafi zrobić cztery błędy. Jako kierownik robiłem wszystko, by uchronić Irinę Siergiejewnę przed podobnymi typami, ale gdzie tam! Biedulka całkiem się załamała, raz nawet mi się zwierzyła: «Chyba rzeczywiście nie

jesteśmy nikomu potrzebni. Jak tylko ukaże się moja książka, odchodzę do dziennikarstwa...»”.

\*\*\*

...Idąc do domu, Nastia Kamieńska zostawiła w gabinecie, gdzie stały biurka Łarcewa i Korotkowa, lakoniczną wiadomość:

„Pawłow z MSW. Nie ma pośpiechu, wyłącznie dla pełnego obrazu. Całuję. A.K.”.

\*\*\*

Zleceniodawca wcale się nie denerwował. Był tylko trochę niezadowolony. Wiedział już, że po wykonaniu zlecenia pojawiły się pewne nieprzewidziane komplikacje, że zamiast potraktować to jako nieszczęśliwy wypadek wszczęto śledztwo w sprawie zabójstwa. Ale jaka to w końcu dla niego różnica? Śledztwo ani trochę nie zagrażało jemu osobiście. Najważniejsze, że Fiłatowa już nie żyje...

Zleceniodawca przypomniał sobie o swoim pierwszym spotkaniu z nią prawie pół roku temu, w styczniu. Siedziała przed nim spokojna, skupiona, gotowa wysłuchać każdego jego pomysłu i zastanowić się nad nim. A on prawie nie słyszał sam siebie, plątał się i nie mógł oderwać oczu od jej rąk, próbując dopatrzeć się jakichś oznak zdenerwowania. Wie czy nie wie – oto co męczyło Zleceniodawcę. Kto by mógł pomyśleć, że spotkają się w ten

sposób?! Czasami podnosiła na niego wzrok i uśmiechała się, jak się mu zdawało, jakoś inaczej, znacząco, wtedy natychmiast brał się w garść, starając się uspokoić i skupić na sprawie, którą właśnie omawiali. A ona, wydawało się, w ogóle nie zauważała jego zdenerwowania i ręce jej nie drżały.

Po tamtym spotkaniu Zleceniodawca szybko zapomniał o swoich niepokojach. Był przekonany, że zna się na kobietach, a te nie potrafią długo się powstrzymać i milczeć. Gdyby wiedziała, kim on jest, albo choćby się domyślała, zdradziłaby się.

Potem było drugie spotkanie i kolejne. Tak się złożyło, że w lutym spotykali się prawie co tydzień. Zleceniodawca wpatrywał się w jej twarz, obserwował, jak chodzi, wsłuchiwał się w spokojny, równy głos i nie widział żadnych oznak zdenerwowania. „Nie, ona nic nie wie” – oddychał z ulgą, ale po chwili doszukiwał się w jej żartach złośliwego sarkazmu, w uśmiechu – kpiny, a w beznamiętnym tonie głosu – skrywanej wściekłości. Dowiedział się później, że Fiłatowa pisze książkę. Był już wtedy u kresu wytrzymałości, ta tajemnicza kobieta przyciągała go jak płomień ćmę, i szukał najdrobniejszego pretekstu, by się z nią spotkać, przeżyć jeszcze raz udrękę niepewności, żeby wreszcie z ulgą odetchnąć: nie, chyba jednak nie wie. Książka Fiłatowej też była pretekstem do rozmów.

– Kiedy pani ma zamiar ją pisać? – zapytał Zleceniodawca. – Ma pani tyle pracy bieżącej.

– Zdradzę panu małą tajemnicę. – Jej spojrzenie było otwarte i życzliwe. – Książka jest już napisana. Po prostu wcześniej nie miałam możliwości jej wydać.

– Dlaczego? To coś obrazoburczego? – zażartował Zleceniodawca.

– A gdzie tam, nic z tych rzeczy – roześmiała się. – Chodzi o to, że wydanie książki – to sprawa praktycznie niewykonalna, jeśli człowiek jest nikim i nikt go nie zna. Teraz mam już wyrobione nazwisko i reputację.

– I jaki jest tytuł pani dzieła?

– Tytuł na razie roboczy – *Kryminologia. Korupcja. Władza*. Coś w tym rodzaju.

– O czym to jest, jeśli można spytać?

– Długo by opowiadać. – Skrzywiła się. – Jeśli pan chce, przyniosę panu maszynopis. Może mi pan przy okazji podpowie, czy mogę za nią żądać jakiegoś honorarium. U nas przecież za to nie płacą, sam pan wie. Dobrze? Podrzucę ją panu jutro.

Wstała, zbierając się do wyjścia. Zleceniodawca poderwał się z miejsca, rzucił się do wieszaka, żeby podać jej futerko, potrącił łokciem popielniczkę. Niedopałki wysypały się na biurko...

– Niechże się pan tak nie denerwuje, Władimirze Nikołajewiczu. – Fiłatowa nacisnęła klamkę. – Do jutra. Luty był ciepły i słotny, w pokoju było duszno nawet przy otwartym lufciku. Zleceniodawca poczuł, że ma lodowate dłonie. A więc ona jednak wie...

\*\*\*

Samochód skręcił z Sadowego Kolca w ulicę Kalajewską.

– Dokąd teraz? – zapytał Zacharow.

– Cały czas prosto. Cieszę się, że mnie znalazłeś. – Nastia dotknęła jego ramienia. – Jak się domyśliłeś?

– To nic trudnego – uśmiechnął się Zacharow.

– Ten młody czarnooki pracuje u was?

– Docenko? U nas. Coś nie tak?

– Fajny chłopak. – Dima z aprobatą skinął głową. – Potrafi zadawać pytania. Wyraża się zwięźle, żadnego zbędnego słowa, żadnych nacisków. Naprowadza tak delikatnie, że nie od razu się zorientujesz. Byłem wściekły jak diabli, ale bardzo dobrze sobie przypomniałem całą rozmowę w samochodzie. Fajny chłopak – powtórzył. – Niezastąpiony w przesłuchiowaniu świadków.

– Masz rację – przytaknęła z roztargnieniem Nastia – jest niezastąpiony. A po co tak naprawdę chciałeś się ze mną spotkać?

– Sam nie wiem. – Zacharow wzruszył ramionami. – Zrobiło mi się jej żal.

– Kogo? – zdziwiła się Nastia.

– No tej... Fiłatowej. To śmieszne! – mruknął z zakłopotaniem. – Znałem ją zaledwie pół godziny, chociaż „znałem” to za dużo powiedziane – nawet o imię nie zapytałem, trzy doby spędziłem przez nią za kratkami i nagle zdałem sobie sprawę, że jest mi jej szkoda.

– I czekałeś na mnie na ulicy dwie godziny, żeby to powiedzieć?

– Szczerze mówiąc, chciałem ci powiedzieć, że chętnie bym wam pomógł w tej sprawie. Oczywiście wszyscy tam u was są mądrzy i doświadczeni, ale w życiu różnie bywa. A nuż się przydam. Nigdy nie było mi tak żal ofiary, jak tym razem. Widocznie coś w niej do mnie przemówiło. Weź więc to pod uwagę.

– Dziękuję. Wzruszyłam się – odparła sucho Nastia. – Teraz w prawo na most. Zdajesz sobie przynajmniej sprawę, że dalej jesteś podejrzany?

– No cóż, jakoś to przeżyję – powiedział ugodowo Dima. – Przyjemna dzielnica, zielona, cicha. Mieszkasz tu?

– Rodzice tu mieszkają. A ja na Szczołkowskiej.

Żegnając się z Nastią, Dima przytrzymał ją za rękę, przyglądając się jej uważnie.

– Nic się nie zmieniłaś. Wciąż jesteś dziewczynką w dżinsach, z długim kucykiem. Ile masz lat?

– Trzydzieści dwa – uśmiechnęła się Nastia.

– Nie wyszłaś za mąż?

– Nie rozśmieszaj mnie. Jeszcze raz dziękuję za podwiezienie.

Kiedy zaczęli się zastanawiać nad zamianą mieszkania, główny argument ojczyma Nasti był taki, że „trzech pismaków w jednej kuchni – to już za wiele”. Póki Nastia chodziła do szkoły i studiowała, a Leonid Pietrowicz pracował jako oficer operacyjny, czyli, jak to się mówi, w terenie, część trzypokojowego mieszkania była zavalona papierami i rękopisami matki, znanej lingwistki. Później również Nastia zaczęła szukać kącika dla swoich niezliczonych karteczek i skomplikowanych obliczeń. A kiedy Leonid Pietrowicz skończył z pracą operacyjną i zamienił stanowisko kierownika RUWD\* na milicyjną Wyższą Zaoczną Szkołę Prawa, by wykładać metody pracy śledczej, w mieszkaniu zrobiło się naprawdę ciasno.

Teraz Nastia mieszkała sama, na drugim końcu Moskwy, ale często odwiedzała rodziców, zwłaszcza od czasu, gdy matka

wyjechała na dwa lata do pracy w Szwecji. Leonid Pietrowicz był w odróżnieniu od Nasti gospodarny, chętnie gotował obiady, ale najważniejsze było to, że rodzice mieszkali o wiele bliżej Pietrowki niż Nastia. Kiedy zostawała u nich na noc, mogła wstawać rano o czterdzieści minut później.

Ulokowawszy się wygodnie w miękkim fotelu, Nastia patrzyła, jak ojczym przegląda zawartość niewielkiej reklamówki – matka przekazała im przez znajomych przesyłkę. Wyciągnąwszy małe płaskie pudełko, Leonid Pietrowicz podał je Nasti.

– Twoje zabawki. Masz już chyba komplet?

– Trzeba się ciągle doskonalić – zażartowała Nastia. I nagle spytała: – Tato, kim jest Bogdanow?

– Bogdanow? Byłem kierownikiem GUWD Moskwy. Po co on ci, kotku?

Leonid Pietrowicz był tak zaskoczony pytaniem, że nawet wypuścił z rąk przysłane mu przez żonę czasopismo poświęcone technikom kryminalistycznym. – To nie ten. Chodzi o Bogdanowa z akademii, z katedry organizacji prowadzenia śledztwa.

– Ach, ten – odetchnął z ulgą ojczym. – Znam go oczywiście. Pokrewne katedry, wszyscy się znamy. Czego od niego chcesz?

– Tak pytam, na wszelki wypadek. A Idzikowskiego z Interpolu znasz?

– Nazwisko znajome, ale osobiście nie znam. Są jeszcze jakieś pytania?

– Zetknąłeś się kiedyś z Iriną Siergiejewną Fiłatową z Instytutu MSW?

– Owszem. Co to, przesłuchanie, czy jak? – Fiłatowa nie żyje – oznajmiła Nastia.

– Niemożliwe! – jęknął Leonid Pietrowicz i siadł na kanapę. – Może to nie ta Fiłatowa? Tamta była całkiem młoda, ładna.

– Ta sama, tatusiu. Została zamordowana.

Nastia podniosła się i usiadła obok ojczyma na podłodze, położywszy mu głowę na kolanach.

– Jedyna hipoteza na dziś – to zabójstwo z zazdrości. Wszystkie romanse miała z oficerami z MSW. I będę siedzieć tu u twoich stóp jak wierny pies, póki mi nie opowiesz, jak wygląda życie pracowników naukowych i wykładowców. O co się kłóca, o czym piszą anonimy, jakich sposobów się chwytają, żeby komuś zaszkodzić, jak załatwiają między sobą porachunki, i tak dalej. Dobrze?

Leonid Pietrowicz uśmiechnął się smętnie.

– Z tobą też stało się to, czego zawsze się bałem, pracując w terenie. Człowiek staje przed koniecznością prowadzenia śledztwa wśród swoich. Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie to trudne. Zwłaszcza kiedy jest się młodym. Milicja to ciasny krąg. Nie wąski, ale właśnie ciasny, nie można zrobić kroku, żeby się nie natknąć na znajomego, krewnego znajomego, kolegę krewnego, byłego ucznia, sąsiada szefa i tak dalej. W tak ciasnym kręgu nie sposób nikogo o nic zapytać, już nie mówiąc o tym, żeby przesłuchać, no bo czy można poważnie rozmawiać ze swoimi? Rozmawiasz z człowiekiem, którego podejrzewasz o popełnienie przestępstwa, a on na wszystkie twoje argumenty odpowiada: coś ty, daj spokój, przecież się znamy, sam dobrze wiesz. I poklepuje cię po ramieniu. I proponuje kielicha.

A jak coś będzie nie tak – bądź pewna, że od razu zadzwonią do twojego Gordiejewa, z którym razem albo byli w sanatorium, albo pili wódkę na bankiecie, albo gdzieś tam indziej się poznali. Co to ma znaczyć, Wiktorze Aleksiejewiczu, przywołaj swych chłopców do porządku, tak nie można, uczepili się mnie, no wiesz. Krótko mówiąc, będziesz miała same kłopoty.

– Nie. – Nastia za smutkiem pokręciła głową. – Nie będę miała. Pączek do tego nie dopuści. Kłopoty będą mieli nasi chłopcy. Jak myślisz, tato, czemu Pączek trzyma mnie na uwięzi?

– Nie mam pojęcia. – Leonid Pietrowicz pogłaskał Nastię po głowie. – Może wie o twoich... hmm... powiedzmy, zdolnościach?

– Skąd? – zdziwiła się Nastia. – Jeśli ty mu nie powiedziałaś. Ale przecież nie mówiłaś, co? – popatrzyła na niego pytająco.

– Oczywiście, że nie. Po co miałbym zdradzać Gordiejewowi twoje tajemnice, chociaż znam go od wieków. Oto masz kolejny przykład na to, jak ciasny jest nasz krąg. Tak w ogóle zapamiętaj sobie: wyróżnia to dwa zawody – prawników i lekarzy. Ale jeśli w medycynie na dynastie patrzy się przychylnie, to u nas jest inaczej. Uważa się, że jak rodzice są lekarzami i ich syn też jest lekarzem – oznacza to rodzinne przywiązanie do ideałów. Ale jeżeli syn prawnika też jest prawnikiem, wszyscy uważają, że to po znajomości, że tatuś załatwił.

– Czemu tak się dzieje?

– Coś w tym jest. Przez wiele lat MSW miało prestiż, władzę, no i – odpowiednio – możliwości. Część synalków i innych krewnych rzeczywiście dostało się tu przez znajomości. Ale jest druga grupa – ci są zupełnie inni. Trudno to nawet czasami zrozumieć. Ty na

przykład – typowa córka milicjanta. Świetnie dawałaś sobie radę w szkole matematyczno-fizycznej, miałaś z jednej strony za przykład matkę z jej wspaniałą karierą, z drugiej – swojego genialnego matematyka Loszkę. I co? Wybrałaś pracę w milicji. Możesz mi wyjaśnić dlaczego?

– Nie mam pojęcia – westchnęła Nastia. – Geny chyba.

– Jakie geny? – Leonid Pietrowicz dał Nasti leciutkiego prztyczka w nos. – Twój rodzony ojciec nigdy nie pracował w milicji.

– Ale wychowywałaś mnie ty – rezolutnie zauważyła Nastia. – Wróćmy jednak, tatulku, do tematu, opowiedz mi o swoim środowisku naukowym.

Kończył się wtorek 16 czerwca. Dzień pogrzebu Iriny Fiłatowej. Dzień, w którym wypuszczony po siedemdziesięciu dwóch godzinach aresztu Dmitrij Zacharow doszedł do wniosku, że udusiłby zabójcę swojej przypadkowej towarzyszkii podróży własnymi rękami. Dzień, w którym od dawna żonaty Jura Korotkow ni z tego, ni z owego, zrozumiał, że zakochał się w świadku – trzydziestodwuletniej Ludzie Siemionowej, matce dwójki dzieci. Dzień, w którym nad niczego niepodważającym pułkownikiem Gordiejewem przepłynął lekki obłoczek, a on tego nawet nie zauważył.

\*\*\*

Następne dni dowiodły, że Leonid Pietrowicz miał rację. Korotkow, Łarcew i Docenko, pracujący nad sprawą Fiłatowej i

sprawdzający hipotezy zabójstwa z chęci zysku albo z zazdrości, przychodzili do pracy zmęczeni i rozdrażnieni.

– A żeby ich wszystkich szlag trafił! – wściekał się niewysoki szpakowaty Wołodia Łarcew po rozmowie z wykładowcą MSW Bogdanowem. – Pytam go o Fiłatową, a on patrzy na mnie zimnym wzrokiem i nagle mówi przez zęby: „Jaką uczelnię pan kończył? Ach, moskiewską? Metody pracy dochodzeniowej wykładał pewnie profesor Owczarenko? Od razu widać, że niczego pana nie nauczył. Pan w ogóle nie potrafi przesłuchiwać”. I co wy na to?

Podejrzenia Korotkowa dotyczące chirurga Koreckiego, który nie pojawił się na pogrzebie, okazały się bezpodstawne: jako stary przyjaciel rodziny pomagał w mieszkaniu Fiłatowów w przygotowaniach do stypy. Ze wszystkich znajomych Iriny, sprawdzanych w związku z wersją „zazdrość”, Korecki okazał się jednym z najsympatyczniejszych rozmówców, ale to chyba dlatego, jak wywnioskował Korotkow, że pracownicy GUWD korzystali z innej przychodni, więc nie mógł rzucić niedbale: „Kto jest pańskim szefem? Gordiejew? Znam go, lecz się u mnie”.

Wszyscy mężczyźni, w tym były mąż Fiłatowej, jak również bezlitośnie porzucony Walera, mający na koncie dwa wykroczenia drogowe, mieli twarde alibi i żadnych motywów zabójstwa. Siemionowa nie przesadzała, mówiąc, że Irina potrafiła organizować swoje życie osobiste, nie wywołując w nikim zazdrości i podejrzeń. Motyw zabójstwa z chęci zysku też się nie potwierdził. Irina i jej ojciec utrzymywali się z gołych pensji, żadnej działalności komercyjnej nie prowadzili i do majątnych nie należeli. Z kosztowności mieli w domu dwa złote łańcuszki, jeden Iriny, drugi – z wisiorkiem – jej matki i trzy obrączki – Iriny i jej rodziców. Jak

twierdził ojciec, córka lubiła srebro, ale i tego miała niewiele, chociaż wyroby były wyszukane. Fiłatowa dużo pieniędzy wydawała na książki, lubiła drogie kosmetyki, zwłaszcza perfumy. Odzież zaś była niedroga i, jak to określił Misza Docenko, raczej na co dzień. Nic nie wskazywało na to, że rodzina miała jakieś dodatkowe dochody oprócz pensji. Ani samochodu, ani daczy. Pozostawała niewyjaśniona sprawa pieniędzy na wkład mieszkaniowy, które Irina miała skądś dostać. Ojciec nic na ten temat nie wiedział, jak również o tym, że córka miała zamiar zapisać się do jakiejś spółdzielni: „Iroczka była osobą bardzo zamkniętą. O radosnych wydarzeniach nigdy nie informowała, tylko wtedy, jak już było po wszystkim. A o nieprzyjemnościach tym bardziej”. Pytanie pozostało, ale, jak przyznali Łarcew i Docenko, było już nieaktualne, bo cała historia miała miejsce w roku 1987, czyli pięć lat temu.

Wydawało się, że sprawa utknęła w martwym punkcie.

– Z miłością i pieniędzmi, które napędzają świat, skończyliśmy – zauważył filozoficznie Łarcew. – Możemy teraz przejść do kwestii bardziej prozaicznych. To mówiąc, położył przed Jurą Korotkowem kartkę Nasti.

– Zajmiesz się tym? Aśka prosiła o nakreślenie sylwetki Pawłowa z MSW. Nie wiesz po co?

– Co za różnica? Jak prosi – to nakreślimy.

Jura szybko chwycił kartkę, próbując ukryć przed kolegą swoją radość. Nareszcie miał powód, żeby za dzwonić do Ludmiły! Daj spokój, durniu – skarcił sam siebie. – Dawno już o tobie zapomniała. Nie jesteś jej do niczego potrzebny. Chociaż wciąż przypominały mu

się jej słowa, jakby czyjaś okrutna ręka wypychała je na powierzchnię: „Nie żartuję. Niech się pan ze mną ożeni”. Jeśli prawdą jest, że pieniądz lubi pieniądz, a nieszczęście ściąga nieszczęście (nieprzypadkowo mówi się, że nieszczęścia chodzą parami), to miłość powin na przyciągać miłość. Bo zakochany w świadku Siemionowej Jura Korotkow dowiedział się w rozmowie z nią czegoś, co pozwoliło wrócić do odrzuconej hipotezy, że motywem zabójstwa Iriny Fiłatowej mogła być nieodwzajemniona miłość.

Pracownik Sztabu MSW, pułkownik milicji Aleksander Jewgienjewicz Pawłow, jak twierdziła Ludmiła Siemionowa, zalecał się do Iriny gorąco i w sposób niezwykle oryginalny. Początkowo prawie codziennie odwiedzał instytut z kwiatami i prezentami, całował przy wszystkich w rączkę, zapraszał pracowników działu na przyniesiony przez siebie świeżutki tort i wołał: „Iroczo, jestem pani wierny aż po grób! Jest pani ideałem!”. Irinę to szczerze bawiło, miło się uśmiechała i żartowała z zalotnika, ale on się o to wcale nie obrażał.

Aż tu nagle wszystko się zmieniło. Skończyły się kwiaty, herbatki i komplementy. Pawłow przestał odwiedzać instytut i zamienił się w złośliwego chłopca, ciągnącego za warkocze i próbującego uszczyplnąć dziewczynkę, która mu się podoba. Zaczął Irinę dosłownie terroryzować, czepiał się przygotowanych przez nią dokumentów i bez końca wzywał ją do ministerstwa. Ale ona wszystko znosiła, była bardzo opanowana i cierpliwa. Sztab był głównym klientem, zamawiającym materiały w dziale naukowym, nie wypadało więc kłócić się z osobami wpływowymi. Wszyscy

plotkowali o zakochanym Pawłowie i nazywali Irinę męczennicą, szczerze jej współczując.

– Pamiętam, że raz jej nawet powiedziałam: „Prześpij się z nim w końcu. Może wtedy się odczepi”. – I co ona na to? – zapytał Jura.

– Popatrzyła na mnie z taką wściekłością, że osłupiałam. Wolałabym się przespać z bezdomnym z przejścia podziemnego niż z nim, powiedziała. Chociaż – dodała Luda – Pawłow prezentuje się całkiem nieźle, nie jest wcale odpychający. Ten buhaj z akademii, Bogdanow, moim zdaniem wygląda o wiele gorzej. No cóż, serce nie sługa, każdy się kocha, z kim chce.

– A może to sprawa zasad? Chciałbym tylko wiedzieć jakich. – Jura odsunął pustą filiżankę po kawie i sięgnął po popielniczkę.

Siedzieli w ogródku kawiarnianym obok dużego hotelu, rozkoszując się przedsmakiem nadciągającego wieczoru, który miał przynieść trochę ochłody.

– Ludoczko, nie spieszy się pani? Proszę mi opowiedzieć o swojej koleżance – poprosił Korotkow.

– Nie spieszę się. Mąż zabrał dzieci do Mariupola, do krewnych. Dziesiątego idę na urlop, wtedy go zmienię na rodzinnym posterunku.

Jura przetrwał tę informację, próbując wymyślić, jak ją najlepiej wykorzystać. Jego rozmówczyni powiedziała niespodziewanie:

– Juroczka, niech się pan tak nie zadrecza. Ma pan wszystko wypisane na twarzy. Mamy z panem całkiem porządne rodziny. Jestem starsza od pana przynajmniej o pięć lat. Pan jest zmęczony i znerwicowany z powodu swojej pracy, a ja mam dosyć

nieustannych kłótni w domu. Jeśli zgadza się pan ze mną, że nam też się coś od życia należy, może pan liczyć na moje towarzystwo do dziesiątego lipca.

– A potem? – głupio zapytał Korotkow, patrząc jej z uporem w oczy.

– Nie myślmy na razie o tym, co będzie „potem”. Życie jest długie i nieprzewidywalne. Nawiasem mówiąc, to ulubione powiedzenie Irki.

# ROZDZIAŁ 4

W piątek 19 czerwca, Gordiejew wezwał do siebie Igora Lesnikowa.

– Co ze sprawą Kowalowej?

– Jak ustaliliśmy, nikt na razie nie niepokoił sędziego i drugiego ławnika. W tekście wyroku figuruje trzech świadków, zeznających w sądzie przeciwko Szumilinowi. Dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego dziewiątego roku został pobity syn świadka Kalinnikowa, sprawców nie znaleziono, sprawą zajmował się komisariat numer sto. Dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego roku została obrabowana czternastoletnia dziewczynka, córka świadka Todorowej. Zabrano jej złoty łańcuszek, kolczyki, kieszonkowe, amerykańską kurtkę i importowane adidas. Sprawa „leży” w komisariacie siedemdziesiąt cztery. Dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego pierwszego roku został pobity i obrabowany wnuk świadka Pozydajewa, sprawą zajmował się komisariat sto siedem, bezskutecznie. W tym roku – Natasza Kowalowa. Nie mam żadnych wątpliwości, Wiktorze Aleksiejewiczu. To nie jest przypadek.

– Zgadzam się z tobą. Ten Szumilin nie jest głupi, chociaż prawdziwa z niego kanalia. Świadców nie rusza, boi się, że go poznają, widzieli go przecież w sądzie, no i w czasie wypadku. Mógłby się mścić na żonach i mężach, ale on atakuje dzieci. A wiesz

czemu? Bo dzieci powiedzą, że jest dużym dorosłym panem, przecież dla nich wszyscy powyżej piętnastego roku życia są starzy, a każdy wyższy od nich wydaje się ogromny. Widziałeś tego Szumilina?

– Z daleka – uśmiechnął się Lesnikow. – Całkowicie się z panem zgadzam. Szumilin ma dwadzieścia trzy lata, niewysoki, szczupły – taki chłopaczek. Nawiasem mówiąc, nadal jeździ samochodem, chociaż sąd odebrał mu prawo jazdy. Widocznie wujek mu załatwił. – No więc tak, Igorku. Znaleźliśmy się między młotem a kowadłem. Witalij Jewgienjewicz Kowalow, doradca wicepremiera Awierina, nie może się doczekać, kiedy parlament zażąda dymisji premiera. Jego szef, Awierin, ma duże szanse na to stanowisko. Wtedy również Kowalow awansuje. Nie wiem, czy Awierin się orientuje, że Kowalow aktywnie działa w parlamencie, popierany przez frakcję, która jest za swobodnym przepływem zachodniego kapitału do naszego kraju. Na taki lobbing, jak sam rozumiesz, potrzebne są pieniądze, które daje mu prezes Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości, niejaki Winogradow. Są więc najlepszymi kumplami i współnikami w walce politycznej. Gdyby tak powiedzieć Kowalowowi, że jego córka została zgwałcona przez bliskiego krewnego Winogradowa... Jak myślisz, co by nam Kowalow na to odpowiedział?

– Że trzeba nas wywalić z roboty. Że nie potrafimy łapać przestępców, że chwytny pierwszy lepszego, kto nam się nawinie pod rękę, że wsadzamy do więzienia same niewinne ofiary, kiedy prawdziwi przestępcy chodzą na wolności. Cały pakiet zarzutów. – Masz rację. A co nam powie śledczy?

– To zależy, jakie dowody mu przedstawimy. Sprawa znajduje się w gestii Olszańskiego, a to twardy gość. Może nie wystraszy się Kowalowa.

– Może się i nie wystraszy. – Gordiejew przez chwilę gryzł zausznik okularów. – Może się i nie wystraszy – powtórzył w zamyśleniu. – Dobra, jedź do śledczego, opowiedz mu historyjkę o wendecie Szumilina. Niech przesłucha poszkodowanych z poprzednich spraw. Dzieciaki oczywiście będą wystraszone, no i czasu sporo minęło, ale może coś z tego jeszcze wyjdzie. Nie mówmy na razie o Winogradowie. Olszańskiemu wystarczy, że Szumilin był już wcześniej karany. Może nasz śledczy i jest twardym chłopem, ale lepiej nie straszyć go zawczasu. Niech sam ci powie, jakich dowodów potrzebuje, żeby móc postawić Szumilinowi zarzuty i nie mieć żadnych wątpliwości. A my się wtedy zastanowimy, jak te dowody znaleźć.

Po wyjściu Lesnikowa Wiktor Aleksiejewicz poderwał się z miejsca i potoczył po gabinecie niczym napompowana piłka, omijając długi stół konferencyjny. Czy powinien był zatajać przed śledczym informację? Chociaż nie była to informacja potrzebna w śledztwie, niemniej... Czy nie wygląda to tak, że wystawia Olszańskiego na atak, którego tamten się nie spodziewa? Ale jaki atak? Co właściwie grozi Olszańskiemu? Nieprzyjemna rozmowa z ojcem poszkodowanej? To nic pewnego. Kowalow może się okazać porządnym człowiekiem i nie będzie utrudniać śledztwa. Czemu on, Gordiejew, z góry jest nastawiony przeciwko niemu? Poza tym Olszański też do strachliwych nie należy, Lesnikow ma rację. Czym go można aż tak zastraszyć? A może to nie jest Szumilin? Może się mylą? Za wiele zbiegów okoliczności? Gordiejew chrząknął. W

ciągu tych dwudziestu pięciu lat pracy w dochodzeniówce zdążył się napatrzeć na najbardziej nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, przez które życie i los porządnego człowieka nieraz wisi na cieniutkim włosku. I włoszek ten, niestety, czasami się urywa. Tak, takie rzeczy też się zdarzają.

Gordiejew podszedł do fotela i podniósł słuchawkę telefonu. Musi przyjąć cios na siebie.

– Konstantynie Michajłowiczu? Witam pana, tu Gordiejew.

– Dzień dobry, Wiktorze Aleksiejewiczu. Cieszę się, że pana słyszę – rozległ się w słuchawce głos lekko grasejącego Olszańskiego.

– Konstantynie Michajłowiczu, zaraz do pana przyjedzie mój Lesnikow w sprawie Nataszy Kowalowej. Mamy tu pewien pomysł, on panu opowie, o co chodzi. Ale na razie to tylko takie luźne przepuszczenia. Chciałem pana prosić, żeby przygotował mi pan odrębny wniosek o przesłuchanie ojca poszkodowanej i przekazał go przy okazji przez Lesnikowa. Nasza hipoteza jest dość problematyczna, biorę więc całą odpowiedzialność na siebie. Żeby nie musiał pan się wstydzić w razie, gdybyśmy się pomylili.

– Ja, Wiktorze Aleksiejewiczu, od dawna już niczego się nie wstydzę – uśmiechnął się do słuchawki Olszański. – Ale Kowalowa z przyjemnością panu odstąpię. Codziennie do mnie wydzwania, żąda wyjaśnień, czy są postępy w poszukiwaniu gwałciciela. No to pan go przy okazji poinformuje, jak sprawy wyglądają. Dzwoniłem dziś do kliniki, gdzie leży dziewczynka, lekarz mówi, że rokowania są dobre, jest nadzieja, że zacznie wkrótce mówić.

– Zrozumiałem – rzucił Gordiejew. – Któryś z moich chłopców będzie jej pilnował, żeby nie przegapić tego momentu. Dziękuję.

Odłożywszy słuchawkę, Gordiejew zastanowił się, ile czasu potrzebuje na przygotowanie się do wizyty Kowalowa. Chytry Pączek trochę kręcił z tym wnioskiem o przesłuchanie. Wcale nie miał zamiaru nikogo przesłuchiwać. Chciał po prostu mieć Kowalowa tu, w swoim gabinecie, żeby zobaczyć jego reakcję na nazwisko Szumilina. A jak inaczej mógł dorwać Kowalowa, nie zdradzając przed śledczym swoich zamiarów?

Wiktor Aleksiejewicz postanowił załatwić najpierw inne pilne sprawy, w tym sprawdzenie motywów zabójstwa Fiłatowej.

Ponieważ nikogo innego, kto zajmował się tą sprawą, na miejscu nie było, wezwał do siebie Kamieńską. Nastia poinformowała go szczegółowo o wszystkim, co zostało dotąd zrobione.

– Odrzuciliśmy dziś wersję zabójstwa z pobudek materialnych, z „zazdrości” też nici. Docenko właśnie to kończy.

– I co dalej?

– A dalej sprawa się komplikuje.

– Macie jakieś pomysły?

– No... – Nastia zawahała się. – Jakies mamy. Ostatni kochanek Fiłatowej pracuje w Interpolu. Narkotyki, broń, przemyt – sam pan rozumie, poważne sprawy. Może Fiłatowej użyto jako środka nacisku na tego Idzikowskiego. Wszyscy podkreślają, że przez ostatnie parę miesięcy była czymś przygnębiona, zmartwiona. Jej szef wiąże to ze skomplikowanymi stosunkami z kierownictwem, z pracownikami ministerstwa. Trzeba też pamiętać, że Fiłatowa była osobą bardzo skrytą. Możliwe, że wpadła w taki nastrój, bo grożono jej albo Idzikowskiemu, może ich szantażowano.

– Świetnie. – Gordiejew z aprobatą skinął głową. – Jeszcze coś?

– Jest jeszcze motyw zawiści kolegów na gruncie naukowym. Ale to już – Nastia podkreśliła swoje słowa ruchem ręki – więcej niż sto. To już prawie dwieście. ...Jakiś czas temu Gordiejew zapytał Nastię, jak udaje jej się wysuwać najbardziej nieprawdopodobne hipotezy. Odpowiedziała mu wtedy, że hipotezy wydają się nieprawdopodobne tylko tym, którzy myślą jak fizycy. Fizycy sprawdzają pierwsze 99 liczb i przekonują się, że wszystkie one są mniejsze od 100, z czego wnioskuje, iż w ogóle wszystkie liczby są mniejsze od 100. Przecież

99 eksperymentów to zupełnie wystarcza, by udowodnić tezę. Ale ona ma umysł humanisty, skażonego matematyką, a dla matematyka wszystkie liczby są równoprawne i mają takie same prawdopodobieństwo występowania – i nieskończenie duże, i nieskończenie małe... – Docenko uporał się ze sprawą modelki, więc weźmie się teraz z Łarcewem za Idzikowskiego. Korotkow jest na razie zajęty Pleszkowem, więc sama musisz poradzić sobie ze swoją „dwusetką” – zakończył Gordiejew. – Zadzwoń do instytutu, żeby przywieźli ci wszystkie papiery Fiłatowej.

– Tylko wszystkie, Wiktorze Aleksiejewiczu, z sejfu, z szuflady biurka, z domu. Wszystkie co do ostatniego świstka. I kalendarz z biurka. I notatniki.

– I gwiazdkę z nieba – roześmiał się Gordiejew. – Dobrze, idź już sobie.

\*\*\*

W czasie, gdy Gordiejew przygotowywał się do rozmowy z doradcą wicepremiera Kowalowem, a Nastia kończyła comiesięczne sprawozdanie analityczne, czekając, aż przywiozą jej papiery Fiłatowej, wysoki przystojniak Misza Docenko wracał z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, z Żytnej na Pietrowkę. Skończył właśnie rozmowę z Aleksandrem Jewgienjewiczem Pawłowem, niefortunnym adoratorem Iriny Fiłatowej, i był z tej rozmowy bardzo niezadowolony.

Po pierwsze, był zły na siebie, bo nie odważył się wyciągnąć dyktafonu. Okazało się, że Pawłow jest postawnym mężczyzną traktującym wszystkich z góry. Gdyby detektywi dysponowali miniaturowymi magnetofonami o czułych mikrofonach, z których można by było korzystać, nie wyjmując ich z kieszeni, to co innego. Ale pracować z takim gratem, jak ten, było po prostu wstyd. Po drugie, był zły również na Irinę Fiłatową, która, według Pawłowa, z nim też była w bliskich stosunkach. Misza, ze względu na swój młody wiek, miał jeszcze do kobiet, a zwłaszcza do miłości, stosunek romantyczny. Bardzo mu się spodobał sympatyczny, kulturalny Kiriłł Idzikowski z Interpolu, toteż miał pretensję do zmarłej, że mogła zdradzać takiego świetnego chłopaka z tym wypieszczonym pyszałkiem Pawłowem.

I po trzecie, delikatny Misza był zły na samego Pawłowa, który nie tylko bez żadnej żenady przyznał się do tego, iż „utrzymywał bliskie stosunki” z Fiłatową, ale nawet jakby się przechwalał tym, że potrafił ją zdobyć, złamać opór kapryśnej ślicznotki. Zdenerwowało go zwłaszcza to, że Pawłow był doktorem prawa. Dobrze pamiętał zeznań Zacharowa, co Irina mówiła o urzędnikach z ministerstwa, mających stopnie naukowe. Utrzymywał się taki upał, że nawet w

metrze, gdzie zazwyczaj było chłodniej, panował okropny wilgotny zaduch, przez który ciężko się oddychało. Koszula lepiała się do pleców, po nogach, mimo lekkich spodni, ściekały łaskotliwie kropelki potu. Misza ulokował się w kącie wagonu, próbując zapomnieć o swoich frustracjach, i zaczął odtwarzać w pamięci zeznania Pawłowa, żeby przekazać je Kamieńskiej jak najdokładniej. Docenko uwielbiał Anastazję Pawłownę i krępował się, kiedy zwracała się do niego per „pan”. Uważał za bluźnierstwo nazywanie tego intelektualnego bożyszczą Aśką...

Ale jakież to paskudny typ ten Pawłow! „Znamy się z Iroczką od dawna. Kiedy pisała pracę doktorską, przyjeżdżała do nas na Syberię zbierać materiały. Pomagałem jej oczywiście jak mogłem, sam pan wie, że bez telefonu od kierownictwa nikt żadnej informacji nie udzieli. Tym bardziej nie wpuści do łagru, a ona chciała porozmawiać ze skazanymi. Kiedy postanowiłem napisać pracę doktorską, a byłem już wtedy kierownikiem wydziału dochodzeniowego, Iroczka udzielała mi rad, polecała potrzebną literaturę. Krótko mówiąc, znaliśmy się od dawna. Po moim przeniesieniu w zeszłym roku do Moskwy odnowiliśmy znajomość. Przyznam, że nie od razu, musiałem o nią powalczyć...”. Ja, ja, ja! Zupełnie jakby Docenko przyszedł rozmawiać nie o tragicznie zmarłej kobiecie, ale pisać biografię Aleksandra Jewgienjewicza Pawłowa, wybitnego pogromcy przestępców! Tak, ale o zazdrości nie było tu mowy. Ten zakochany w sobie samiec nawet nie dopuszczał myśli, że mógł być zdradzany. Przecież uczciwie walczył o swoją zdobycz, więc należała wyłącznie do niego. Pozostaje sprawdzić, co robił w nocy z dwunastego na trzynasty czerwca, i

hipotezę zabójstwa z zazdrości można będzie z czystym sumieniem odrzucić.

Im więcej szczegółów rozmowy przekazywał Docenko Nasti Kamieńskiej, tym bardziej nieruchomiała jej twarz.

– Chyba znów się pomyliłam. – Zmartwiona pokręciła głową. – Dziękuję, Misza.

Zmartwiło ją nie to, że się pomyliła i Pawłow nie jest potencjalnym zabójcą-zazdrośnikiem. Było jej przykro, że błędnie oceniła Irinę Fiłatową. Wpatrywała się w jej twarz na leżącym przed nią zdjęciu. Ładnie obcięte krótkie ciemne włosy, wysokie kości policzkowe, piękne oczy, krótki nos, wdzięczne, nieregularne usta, niezwykle kobiecy, czarujący uśmiech. Więc zwodziłaś mnie, Iroczo? – pomyślała Nastia. – Wydawało mi się, że cię znam i dobrze rozumiem, jakbyśmy się od wieków przyjaźniły. Myślałam o tobie przez pięć dni i byłam przekonana, że wiem, jaka jesteś. Rozmawiałam z tobą w myślach, zadawałam ci pytania i słyszałam odpowiedzi. A ty, jak się okazało, byłaś zupełnie inna. Nie tylko sprytnie zawracałaś w głowie swoim kochankom, ale okłamywałaś też swoją bliską przyjaciółkę Ludę Siemionową, mówiąc, że wolałabyś przespać się z bezdomnym z przejścia podziemnego niż z Pawłowem. Okłamywałaś swojego szefa, kiedy wracałaś niby zmartwiona z ministerstwa i mówiłaś, że Pawłow cię zdenerwował. Gdzie tak naprawdę jeździłaś, moja droga? Po jakich spotkaniach wracałaś do pracy w stanie graniczącym z histerią? Jaka jest twoja prawdziwa twarz, Iroczo Fiłatowa?

Nastia westchnęła, schowała zdjęcie i zaczęła przeglądać zawartość dwóch dostarczonych jej dużych teczek z notatkami z sejfu i biurka Fiłatowej. Do końca pracy zostawały dwie godziny.

\*\*\*

Do końca pracy – w piątek 19 czerwca – zostawały dwie godziny. Gordiejew skończył przygotowania do wizyty Kowalowa i zerknąwszy na zegarek, doszedł do wniosku, że dziś rozmowa chyba się nie odbędzie. Nie chciał dzwonić i zapraszać Kowalowa do siebie, czekał, aż ten sam się zjawi po kolejnym telefonie do Olszańskiego.

No i się zjawił. Szczupły, wysportowany, z gęstymi, zaczesanymi do tyłu włosami koloru dojrzałej pszenicy, elegancki, w doskonale skrojonym garniturze i krawacie, mimo potwornego upału. Pewnie ma klimatyzację nie tylko w gabinecie, ale i w aucie – pomyślał Gordiejew. – Żaden upał mu niestraszny. To nic, w moim gabinecie szybko się spocisz.

– Witaliju Jewgienjewiczu – zaczął ostrożnie – sędzę, że pan, jako ojciec poszkodowanej, ma prawo wiedzieć, co robimy, żeby znaleźć i zdemaskować przestępcę. Jeśli do tej pory nie został zatrzymany, nie znaczy, że jesteśmy leniami i go nie szukamy.

– Ależ proszę pana – odparł szybko Kowalow – ja wcale tak nie myślę. Rzeczywiście dzwoniłem do Konstantina Michajłowicza codziennie, ale musi pan mnie zrozumieć: jestem ojcem...

– Rozumiem – serdecznie potwierdził pułkownik. – Cenię pańską delikatność, to dziś rzadka cecha. Wiem, że nie skarżył się pan ani kierownictwu Olszańskiego, ani mojemu. Widocznie podchodzi pan do naszych problemów z wyrozumiałością – brakuje nam ludzi,

oficerowie operacyjni są zawalieni pracą, jesteśmy panu za to wdzięczni...

Pączek, który zwykł wyrażać się krótko i zwięźle, zawczasu napisał sobie ten wyszukany tekst i nauczył się go na pamięć. Chciał uśpić czujność Kowalowa i wywołać u niego wrażenie, że „ludzie kulturalni zawsze się ze sobą dogadają”.

– Dlatego – ciągnął, rzuciwszy spojrzenie na leżącą przed nim ściągę – chciałbym poinformować pana o przebiegu prowadzonego śledztwa w sprawie zgwałcenia pańskiej córki. Po pierwsze...

Wiktor Aleksiejewicz zaczął rzetelnie i szczegółowo wyliczać wszystkie, przeprowadzone w ciągu trzech tygodni, działania grupy dochodzeniowej pod kierownictwem Igora Lesnikowa, sypał danymi, wskazującymi liczbę sprawdzonych nastolatków, dewiantów seksualnych, chuliganów oraz różnych osób notowanych. Aby nie być gołosłownym, pułkownik nawet wyciągnął z sejfu grubą kopertę i pomachał nią przed Kowalowem. – Tu są zdjęcia wszystkich, których podejrzewamy obecnie o popełnienie przestępstwa. Jak tylko pańska córka wydobrzeje na tyle, by móc zeznawać, pokażemy jej te zdjęcia. Widzi pan, ile ich jest? Przeprowadzono gigantyczną pracę! – Gordiejew niezgrabnie machnął ręką, część zdjęć wypadła z koperty i poleciała po wypolerowanej powierzchni stołu w stronę Kowalowa. Witalij Jewgienjewicz zaczął z ciekawością przyglądać się twarzom na fotografiach.

– Będzie pan tak uprzejmy i poda mi zdjęcia, bo ja nie sięgam. – Pączek zaczął szybko zbierać fotografie ze stołu, zakłopotany swoją niezręcznością.

Początek udany, zauważył w duchu. Wziął do rąk zdjęcie Szumilina i nie rozpoznał go. Więc go nie pamiętasz. To nic dziwnego. Jako ławnik miał w ciągu tych czterech lat przynajmniej z dziesięciu takich Szumilinów. Sztuczkę z przypadkowo wypadającymi z koperty zdjęciami Wiktor Aleksiejewicz stosował w swym życiu wiele razy.

– Ale – Gordiejew schował kopertę do sejfu i znów włożył okulary – jest wśród tych osób człowiek, wobec którego mamy bardzo poważne podejrzenia i mocne poszlaki. – Zamilkł na chwilę. – To niejaki Siergiej Wiktorowicz Szumilin, urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku, bliski krewny prezesa Fundacji Wspierania Przedsiębiorczości Winogradowa.

Kowalow zamarł, na jego twarzy wykwitły czerwone plamy, spojrzenie zrobiło się niespokojne.

– Jest pan... pewien? – wykrztusił.

Gordiejew milczał, udając, że przegląda papiery na stole.

– Nie – znów odezwał się Kowalow – to musi być jakaś pomyłka. Znam Siergieja... Sieriożę od wielu lat. To bardzo porządny chłopak. Poważny, dobry, uczciwy. A w ogóle to przyjaźnię się z Winogradowem... Nasze rodziny się przyjaźnią... Powtarzam, dobrze znam Sieriożę. – Mówił już silniejszym głosem, znów nad sobą panował i wybrał taktykę. – Jestem przekonany, że to tragiczna pomyłka. To niemożliwe.

Już to widzę, jak go znasz – pomyślał Gordiejew. – Może od jego wuja słyszałeś, że ma siostrzeńca Sieriożę. Ale Winogradow ci z pewnością nie opowiadał, że siostrzeniec ma wyrok w zawieszeniu

za jazdę po pijanemu. W przeciwnym razie nie opowiadałbyś teraz, jaki to Sierioża jest poważny i uczciwy.

A na głos powiedział:

– Bardzo możliwe, że ma pan rację, Witaliju Jewgienjewiczu. To wstępna hipoteza, nie mamy na razie żadnej pewności. Mogłem panu tego wszystkiego nie mówić, żeby niepotrzebnie pana nie denerwować, zwłaszcza że nasze przepuszczenia mogą się nie potwierdzić.

– Jestem tego pewny – szybko wtrącił Kowalow.

– Ale uważałem – twardo zmierzał do celu Gordiejew – że jako ojciec poszkodowanej ma pan prawo wiedzieć, w jakim kierunku prowadzone jest śledztwo. Powiem inaczej – nie widzę powodów, żeby ukrywać przed panem jakiegokolwiek informacje. Proszę mi wierzyć, bardzo panu współczuję, ciężko jest pogodzić się z tym, że podejrzenia padły na krewnego bliskiego przyjaciela. Ale chcę jeszcze raz podkreślić, że to jest hipoteza wstępna, mamy teraz więcej podejrzeń niż poszlak. Jeśli pańska córka go rozpozna – wtedy co innego. I dlatego mam do pana prośbę, Witaliju Jewgienjewiczu. Nie trzeba na razie wciągać w to Winogradowa. Jest człowiekiem tak wpływowym, że może zaszkodzić śledztwu. Będzie chciał za wszelką cenę ratować siostrzeńca i może podjąć działania, które przeszkodzą nam w schwytaniu gwałciciela, zwiążą nam ręce, a wtedy stracimy grunt pod nogami. A jeśli Szumilin rzeczywiście jest niewinny? Wtedy Winogradow swymi nieprzemyślanymi działaniami przeszkodzi nam w znalezieniu prawdziwego przestępcy. To się zdarza dość często. Liczę na pański rozsądek, Witaliju Jewgienjewiczu.

Gordiejew skończył swój przygotowany zawczasu monolog, zadowolony, że ani razu się nie potknął w czasie tej gładkiej mowy.

– Jestem jednak przekonany, że Sierioża nie ma z tym nic wspólnego – powtórzył już w drzwiach Kowalow.

Gordiejew, który grzecznie się podniósł, żeby odprowadzić gościa, kiwnął zgodnie głową.

– Mam taką nadzieję, Witaliju Jewgienjewiczu, mam taką nadzieję.

Wróciwszy do stołu, Wiktor Aleksiejewicz z satysfakcją popatrzył na formularz wniosku o przeprowadzenie przesłuchania Kowalowa, wypełniony przez Olszańskiego. Świetnie – pomyślał. – Przesłucham pana, panie Kowalow, kiedy zacznie mi pan przeszkadzać. Jeśli oczywiście pan zacznie.

Pułkownik zamknął się w gabinecie, z ulgą zdjął krawat, rozpiął kołnierzyk koszuli, włączył wentylator i nadstawił rozgrzane wilgotne ciało pod mocny strumień powietrza.

Przed pójściem do domu sprawdził jak zwykle, czym zajmują się jego podwładni. Na miejscu znów była tylko Kamieńska, reszta – w terenie. Wiktor Aleksiejewicz ustalił między innymi, że Jura Korotkow z powodzeniem kończy sprawę zabójstwa Pleszkowa, a Misza Docenko i Wołodia Łarcew zaczęli współpracować z Interpolem w celu wyjaśnienia, czy śmierć Iriny Siergiejewny Fiłatowej nie jest powiązana z mafią międzynarodową. – Pora do domu, Anastazjo, czemu tu jeszcze sterczysz? Już po ósmej. Wstawaj, wstawaj, oderwij tyłek od krzesła, chodź, przejdziemy się trochę spacerkiem. Nastia wsunęła do wielkiej torby dwie grube teczki, przyniesione z instytutu, żeby je przejrzeć w domu. Ruszyli

niespiesznie Bulwarowym Kolcem, zgodnie rozprawiając o tym, że najgorszym kłamstwem jest półprawda. A za nimi płynął po wyblakłym od słońca niebie obłoczek, ten sam, który unosił się nad Wiktorem Aleksiejewiczem już od paru dni. Ale ani pułkownik Gordiejew, ani major Kamieńska nie zwrócili na niego uwagi.

\*\*\*

W sobotę, po przeczytaniu kolejnych materiałów przywiezionych z instytutu, Nastia Kamieńska nie poszła po pracy od razu do metra, jak zwykle to robiła, tylko usiadła przy jednym ze stolików przed pawilonem gastronomicznym w miejscu, gdzie bulwar przecina Pietrowkę. Po fatalnym upadku na oblodzonej ulicy miała problemy z kręgosłupem i nie mogła nosić ciężkich rzeczy. Żeby nie jechać w niedzielę do pracy i nie marnować cennego czasu, załadowała papiery Fiłatowej do torby i umówiła się z Loszą, że ten po nią przyjedzie. Ale Losza, w odróżnieniu od swojej przyjaciółki, nigdy nie grzeszył punktualnością, dlatego Nastia zamówiła filiżankę kawy i szklanę soku, otworzyła gruby oprawiony maszynopis i przygotowała się na długie czekanie. Jak się okazało, był to maszynopis pracy doktorskiej Fiłatowej, napisanej nie tylko dobrym, ale wręcz lekkim stylem, który przypadł Nasti do gustu. Śledząc drogę przechodzenia informacji od momentu dokonania przestępstwa do chwili, kiedy ta trafia do statystyk kryminalnych, Irina jakby snuła fascynującą opowieść przygodową, gdzie w drodze do wymarzonego celu czyhają na głównego bohatera podstępni wrogowie: nieznamość prawa, nieufność wobec organów ścigania,

współczucie dla przestępcy i tak dalej. Tak lekko i pięknie potrafi pisać tylko człowiek, który rzeczywiście się zna na tej problematyce i kocha to, co robi. Nastia przeglądała tabele, załączone na końcu, i cień niepokoju zakradł się do jej rozpalonej na upale głowy. Ale nie zdążyła sobie tego niepokoju uświadomić, kiedy zobaczyła siadającą przy sąsiednim stoliku kobietę, która przykuła jej uwagę. Pogodzona ze swym mało atrakcyjnym wyglądem Nastia była bardzo wyczulona na urodę innych kobiet, którymi się zachwycała i na które patrzyła z prawdziwą przyjemnością. Oto i teraz zaczęła się uważnie przyglądać nieznajomej, popatrując również na jej towarzysza. Kobieta była rzeczywiście piękna: wysoka, szczupła, z gęstymi ciemnorudymi, prawie kasztanowymi włosami, ciężko opadającymi na ramiona i plecy. Ruchy miała porywiste, jakby z trudem panowała nad swoją wewnętrzną energią i temperamentem. Założyła nogę na nogę i była w tym ruchu jakaś obietnica, niepokojąca i mglista. Towarzysz kobiety przesunął się całym ciałem w jej stronę, ale w porę się opanował i leniwie odchylił na oparcie chwiejnego krzesła. Piękna pani zatopiła wymanikiurowane palce w gąszczu swych włosów i przeczesła je z góry na dół. Zaśnił w słońcu brązowy lakier na paznokciach i jakby jęczyczki płomieni rozbłysły w bujnej kasztanowej grzywie. Potrząsała czasami głową i wtedy przez długie włosy przebiegała fala, która przesuwiała się płynnie po plecach, sięgając, jak zdawało się Nasti, nóg, aż do koniuszków palców w odkrytych sandałkach. Seksowna, promieniująca jakąś ognistą aurą kobieta przypominała młodą narowistą klacz z długą rudą grzywą i muskułami falującymi pod zadbaną napiętą skórą. Nastia zachłannie pożerała oczami każdy gest pięknej nieznajomej, uważnie słuchała jej ochrypłego śmiechu i

trochę dziwnej intonacji. Mając wyczulony słuch i dobrą orientację w językach obcych, pomyślała, iż taką wymowę mają tylko Anglicy, chociaż kobieta mówiła po rosyjsku swobodnie i bez najmniejszego akcentu. Widocznie długo mieszkała za granicą – doszła do wniosku Kamieńska i z żalem popatrzyła na pędzącego aleją Loszę.

Pozostałą część soboty i całą niedzielę Nastia spędziła, leżąc na podłodze (wystarczyło nawet tych kil kaset metrów, jakie przeszła z wypchaną papierami torbą, żeby wróciły bóle kręgosłupa), wśród sterty dokumentów, rękopisów, brudnopisów i obliczeń Iriny Fiłatowej. Irina była pedantką, miała piękny, wyraźny charakter pisma i nawet brudnopisy schematów i rysunków wykonywała za pomocą linijki na papierze milimetrowym. Nastia wzięła do ręki kartkę z napisem „Praca śledcza. Obwód wladimirski”. Na schemacie flamastrami różnych kolorów wyrysowano cztery linie podpisane: „Zakończono dochodzeniem”, „Wstrzymano”, „Przekazano do sądu”, „Przekazano do rozpatrzenia na kolegium”. Linia oznaczająca liczbę zakończonych spraw była prawie prosta. Natomiast biegnące do 1985 roku równomiernie linie „Przekazano do sądu” i „Przekazano do rozpatrzenia na kolegium” zaczęły się nagle gwałtownie rozchodzić w różne strony, pierwsza – w dół, druga – stromo do góry. Rysunek był podpisany gęstym pismem: „Zbadać, czy w 1985 roku zmieniał się skład prokuratorski. Jeśli nie, zwrócić się o kartę f. 2”. Brawo, Irino Siergiejewno, pochwaliła Nastia, ani jednego dnia nie przepracowałaś w wydziale śledczym, ale wiesz, gdzie i czego trzeba szukać. Jeśli sprawa kryminalna kończy się na kolegium, to albo chodzi o czyn o małej szkodliwości społecznej, albo śledczy wie, że dowody sprawy są za słabe i

oskarżenie w sądzie zawali się jak domek z kart, albo prokuratura zaostrzyła wymagania w kwestii aktu oskarżenia.

Nastia uważnie przejrzała wszystkie materiały. O dziwo nie znalazła wśród nich żadnych śladów wskazujących na to, że Fiłatowa przygotowywała monografię. Książka była zaplanowana na bieżący rok wydawniczy, jest już połowa czerwca, a w papierach nie ma ani brudnopisu, ani konspektu, ani notatek – niczego. Otworzywszy przeczytaną wczoraj pracę doktorską, Nastia przypomniała sobie, co jej nie pasowało do ogólnego obrazu.

– Losza! – zawołała. – Przynieś mi książkę telefoniczną, jest na lodówce.

Losza, namiętny amator pasjansów, oderwał się na chwilę od „Grobu Napoleona”, który rozkładał bez powodzenia już od kilku godzin, i wszedł do pokoju z grubą książką telefoniczną.

– Może cię podnieść? – spytał z troską, wiedząc, że kiedy Nastię bolą plecy, może ona albo leżeć, albo stać, ale zmieniać samodzielnie pozycji nie jest w stanie. – Na razie nie. Podaj mi, proszę, te notesy ze stołu.

Nastia zajrzała do książki telefonicznej i zaczęła powoli przerzucać notes i terminarz Iriny. Najwyraźniej Fiłatowa nie była zbyt towarzyska i nie chciała poszerzać kręgu znajomości. Sądząc po znalezionym w służbowym terminarzu telefonie kierownika centrum informacyjnego GUWD, który odszedł na emeryturę jeszcze w 1981 roku, dokonywała zapisów przynajmniej w ciągu ostatnich dziesięciu, piętnastu lat, więc wszyscy jej znajomi z tego okresu musieli tu się znaleźć.

Nie widząc tego, czego szukała, Nastia wzięła się do przeglądania terminarza Fiłatowej. Zwykle zapiski – daty posiedzeń, niezbędne telefony, dni urodzin. Jedna ze stron była cała starannie zapisana słowami „Władimir Nikołajewicz”, raz dużymi literami, raz małymi, raz drukowanymi, raz z zakrętami i monogramami. Człowiek bawi się tak zwykle w czasie nudnej narady, udając, że notuje. Ciekawe, kim jest ten Władimir Nikołajewicz? Kolejny adorator? No, no, Iroczo!

To dziwne, pomyślała Nastia, czemu człowiek zwykle odkrywa coś, czego się nie spodziewa, i jak na złość nie może znaleźć tego, czego szuka.

– Loszyk, podnieś mnie! – poprosiła. Stojąc już, oparta o szafę kuchenną, nagle zapytała: – Jak myślisz, czy człowiek może być skryty i zamknięty, a jednocześnie na wskroś fałszywy?

– Teoretycznie może – potwierdził Losza. – A w praktyce – wątpliwe. To się nie opłaca.

– Wyjaśnij – zażądała Nastia.

– Jeśli człowiek jest skryty i zamknięty w sobie, to po co ma kłamać i udawać? Przecież to niepotrzebna strata energii. Lepiej w ogóle nic nie mówić. Skrytość i otwarty fałsz – to dwa różne sposoby osiągnięcia tego samego celu: chęci ukrycia przed otoczeniem swojej prawdziwej twarzy. Niezdradzenia się. Zwykle człowiek wybiera jakiś jeden sposób, w zależności od swego charakteru i sposobu myślenia. Oba naraz nie bardzo do siebie pasują – powiedział Losza, nie przerywając rozkładania kart.

– Też tak sędzę.

I pomyślała: Czemu pan kłamie, Aleksandrze Jewgienjewiczu? W pracy doktorskiej Iriny nie ma żadnych danych dotyczących okręgu eńskiego, gdzie raczył pan mieszkać i pracować. W jej notesie nie ma ani jednego telefonu z kodem tego miasta. I pańskiego nazwiska też w nim nie ma. Pańskie zamiary zapisane są w kalendarzu z biurka, na stronie z 15 października zeszłego roku, ale są to zamiary nowe, moskiewskie. Stoi obok nich wielki znak zapytania. Czemu więc pan kłamie? Pod wieczór ból pleców prawie ustał i Nastia odesłała Loszę do domu, do Żukowskiego pod Moskwą, gorąco zapewniając, że sama sobie poradzi z kładzeniem się do łóżka i porannym wstawaniem.

Wyciągnąwszy się na wznak pod kołdrą, zaczęła odtwarzać w myślach przebieg zabójstwa Fiłatowej. Oto Irina wchodzi na dziesiąte piętro, zatrzaskuje drzwi windy, otwiera drzwi do mieszkania. Budzą się starzy sąsiedzi. Irina wchodzi do ciemnego przedpokoju i tu zdarza się coś na razie niepojętego. Ale do tego można wrócić później. Irina traci przytomność, zabójca kładzie ją na podłodze w przedpokoju, zdejmuje jej obuwie i stawia je pod wieszakiem – w kuchni nie znaleziono mokrych śladów po adidasach. Potem niesie Irinę do kuchni i przyciska jej rękę do kuchenki elektrycznej w miejscu uszkodzenia. Sam jest cały czas w gumowych rękawiczkach, więc porażenie prądem mu nie grozi. Irina zaś zostaje porażona prądem i od razu umiera. Zabójca dobrze słyszał stuknięcie drzwi windy i głośny szcęk zamka w drzwiach, wie, że mogło to kogoś obudzić. Dodatkowy hałas byłby dlań niebezpieczny, dlatego nie dopuszcza, by ciało Iriny upadło na podłogę. Uderza ją z tyłu siedzeniem taboretu, żeby wyglądało to tak, jakby upadła na podłogę, ale źle oblicza siłę ciosu, który

okazuje się słabszy, niż oczekiwał. Ostrożnie układa zwłoki na podłodze w odpowiedniej pozycji. I wychodzi. Oczywiście miał klucze, za pomocą których dostał się do mieszkania. Ekspertyza nie wykazała śladów włamania. Mógłby, wychodząc, zamknąć mieszkanie, ale pora była nieodpowiednia, bał się, że ktoś może usłyszeć, jak zatrzaskuje drzwi. Blokuje zamek, zamyka drzwi, ale nie na klucz. Pozostaje pytanie: od czego Fiłatowa straciła przytomność, wchodząc do mieszkania? Jeśli nie znała zabójcy, podniosłaby alarm i w żadnym wypadku, nawet gdyby w mieszkaniu był ktoś ze znajomych, nie zdejmowałaby butów, przecież musiała oddać jeszcze pieniądze Zacharowowi. Czym więc posłużył się zabójca? Chloroformem? Ajrumian nie znalazł jego śladów. Uderzeniem w głowę? Też nie. Jakimś gazem paralizującym? Nie pasuje. Gurgen to świetny specjalista, nie przegapiłby czegoś takiego. Więc czym? Czym?

# ROZDZIAŁ 5

W poniedziałek 22 czerwca, Gordiejew nie zdążył jeszcze zakończyć odprawy, kiedy został wezwany do szefa. Wyczytał z jego twarzy, że nic dobrego go nie czeka. Generał od razu zaczął podniesionym głosem:

– Czym wy tam, cholera jasna, się zajmujecie?! Telefony mi się urywają – śledczy skarżą się na twoich chłopaków, że ci robią co chcą, zachowują się arogancko, paplą o wszystkim, gdzie nie trzeba!

To Pietrakov – pomyślał Wiktor Aleksiejewicz. – Jest niezadowolony, że nie pozwolili mu zamknąć sprawy Fiłatowej. To jasne. Co jeszcze?

– Łażą po akademii, po instytucie, niepokoją porządnych ludzi! – wyliczał dalej generał. – Z zabójstwem modelki ledwo zdążyli w terminie, dosłownie w ostatniej chwili. I w ogóle jest mnóstwo zastrzeżeń do twoich chłopców, a zwłaszcza – do ciebie. Co za panienkę sobie przygruchałeś? Czym ona się zajmuje? Herbatę ci parzy i spódnicę zadziera na każde zawołanie?! Dobrze się urządziłeś, Gordiejew, nie mam po prostu słów! Kochankę pod bokiem utrzymujesz na oficerskiej pensji na koszt państwa. Czemu milczysz? Wstyd ci? – Towarzyszu generale – ostrożnie zaczął Gordiejew – na mnie przyszedł anonim czy na Kamieńską? – Co to ma wspólnego z anonimem, kiedy cała Pietrowka o tym gada! – wybuchnął generał. – Inni po nocach nie śpią, mają odciski na stopach, wrzodów się dorabiają, życia poza pracą nie widzą, a ona

siedzi sobie w swoim gabinecie i nic nie robi! Wstydu nie masz, Wiktorze Aleksiejewiczu, ot, co ci powiem! Możesz mi przytoczyć chociażby jeden przykład, że ta twoja Kamieńska zrobiła coś dobrego? No? Choćby jeden! Od tego powinien był pan zacząć – pomyślał ze złością Gordiejew. – Na pewno nie cała Pietrowka wygaduje o Nasti takie świństwa, a ci, co gadają, robią to nie od dziś. I pan, kochany towarzyszu generale, wie o tym nie od dziś. A to, że ktoś pana musiał ostatnio podpuścić – nie ulega wątpliwości. Ten ktoś bardzo chce wiedzieć, czym się zajmujemy, a przy okazji napsuć mi krwi. A pan, towarzyszu generale, dał się złapać na haczyk, i teraz oni pociągają za sznurki. Chce mnie pan trafić jak najmocniej, żebym musiał się tłumaczyć i odsłonił karty. Chce pan przykładów? Och, nie chciałem wystawiać im Nasti, Bóg mi świadkiem, że nie chciałem, ale dotknął mnie pan do żywego swymi podejrzeniami o cudzołóstwo.

– Czemu milczysz? – wciąż napierał generał. – Nie masz nic na swoje usprawiedliwienie? Czy wymyślasz naprędce, jak by tu coś dobrego o swojej lasce powiedzieć?! No, z bożą pomocą! – powiedział sobie w duchu Gordiejew i szybko, z przejęciem, jakby się usprawiedliwiając i zdradzając swoje małe tajemnice, opowiedział szefowi co nieco o roli Kamieńskiej w sprawie zgwałcenia Nataszy Kowalowej, o Interpolu i wielu innych rzeczach...

Wracając od szefa, zajrzał po drodze do Nasti. Siedziała pogrążona w papierach Filatowej, próbując połączyć wszystko w logiczną całość.

– Jak się czujesz, Stasienko?

Nastia wzdrygnęła się. Pączek rzadko się zwracał do niej tym czułym zdrobieniem, tylko w trudnych i decydujących momentach.

– Dobrze. A co, źle wyglądam?

– Normalnie. – Gordiejew urwał. – Jakaś duża ryba kręci się wokół nas. Nie widzę jej na razie, ale woda jest wzburzona. Zapolujemy na nią.

– Wokół mnie i pana czy wokół nas wszystkich?

– To właśnie chcę wyjaśnić. Zamknij drzwi, zaparz kawy i będziemy razem się zastanawiać.

\*\*\*

Zleceniodawca długo patrzył na rozłożone przed sobą teczki – trzy zielone i czerwoną. W zielonych były egzemplarze ostatecznej wersji monografii Fiłatowej, w czerwonej – tekst, z którego zostały wydrukowane. To już koniec. Ta książka nigdy się nie ukáže, nikt jej nie przeczyta. Ile nerwów to go kosztowało, ile energii stracił, by zebrać na swoim biurku te cztery teczki... W dniu, kiedy zrozumiał, że Irina zna prawdę, miał jeszcze nadzieję, że wszystko mu wybaczyła. Pytała przecież o wydawnictwo, które zgodziłoby się wypłacić honorarium za książkę! Nawet nie podejrzewał, o jaką książkę chodzi. Jeszcze tego samego wieczoru odgrzebał wszystkie swoje znajomości w świecie wydawniczym, rozreklamował Irinę jako osobę wyjątkowo inteligentną, świetnie posługującą się piórem (dobrze wiedział, o czym mówi!), uzyskał obietnice pomocy w wydaniu książki. Myślał, że kiedy Irina przywiezie mu następnego

dnia maszynopis, ucieszy ją dobrymi wiadomościami – a od tego już tylko krok do pojednania. Ale nie przyjechała. Przekazała teczkę przez swego asystenta, tłumacząc się brakiem czasu. A on, Zleceniodawca, już po przeczytaniu pierwszej strony poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod nóg. Natychmiast pognał do niej do instytutu.

– Po co pani to robi? – zapytał.

– A czemu nie? – Irina wzruszyła ramionami. – Napisałam książkę, dlaczego nie mogę jej wydać? Potrzebuję monografii do habilitacji. Co się w tym panu nie podoba?

– Ira, proszę panią, wszystko, co tylko pani będzie chciała... Ile pani za to chce?

– Pieniędzy? – prawie się nie zdziwiła, jakby była przygotowana do tej rozmowy. – I tak pan nie zapłaci. – Uśmiechnęła się krzywo.

– Zapłacę. Ile?

– Nie wierzę panu. Jest pan chciwy. A poza tym nie ma pan takiej sumy. To, co pięć lat temu kosztowało dziesięć tysięcy, teraz kosztuje milion. Ma pan milion?

– Nieważne. Zdobędę. – Serce Zleceniodawcy kołatało mocno i niespokojnie. – Chce pani milion?

– Nie. Od pana – podkreśliła ostatnie słowo – niczego już nie chcę. Raz już mnie pan okłamał, więc panu nie ufam. Nie pozwala mi na to zdrowy rozsądek.

– Jaki zdrowy rozsądek?

– Wtedy miał pan pieniądze, bo brał pan łapówki. Brał pan, prawda? Ale pan pożałował. A teraz nie dają panu łapówek – bo i za

co? Wszystko pan wydał, urządzając się na nowym miejscu. Jak pan zdobędzie ten milion? – Jej wargi znów drgnęły, jakby bawiło ją samo słowo „milion”. – Starym sprawdzonym sposobem – łapówkami? Ale kto panu da?! A nawet jeśli pan wymyśli, za co można brać w łapę, wpadnie pan, zanim zdąży zebrać pierwsze sto tysięcy. Teraz korupcję traktuje się bardzo poważnie, pan wie o tym lepiej ode mnie.

– Jak pani nie wstyd, Irino! Nigdy nie brałem łapówek! – próbował się oburzyć, ale nie bardzo mu wyszło.

– Czyżby? Mogę podać nazwiska śledczych, którzy zamykali sprawy za pańską zgodą na podstawie podrobionych zaświadczeń o nieuleczalnej chorobie podejrzanego i którzy się z panem dzielili! Chce pan tego? Drużko, Maśliński, Gałaktionow, Kozłow. A Niedowiesow nie chciał grać w wasze gierki i postawił przed sądem pewną wysoko postawioną osobę, za co pan go zwolnił. Nie było tak?

– Kto pani takich bzdur naopowiadał, Ira? Czy można wierzyć w to, co ludzie gadają? Nie wstyd pani, Iroczo, jest pani przecież poważną kobietą...

– Jestem poważną kobietą – przerwała mu chłodno – i dlatego nie wierzę w to, co mówią ludzie, ale w to, co mówią liczby i dokumenty.

– Jakie liczby, jakie dokumenty? – wymamrotał Zleceniodawca. – Co pani, na Boga, wygaduje?

– To nie pańska wina. – Nagle się uśmiechnęła. – Wy prawie wszyscy myślicie, że do niczego się nie nadajemy, tylko niepotrzebnie zajmujemy miejsce. Gdyby pan i panu podobni zadali

sobie trud i przyjrzeni się naszej pracy, wtedy byście zrozumieli, jak wiele potrafimy i wiemy. I byście się wtedy nie dziwili.

– Nie udowodni pani tego – twardo odparł Zleceniodawca. – Wszystko, co pani mówi, może i jest prawdą, ale bez dowodów.

– Nie mam zamiaru niczego udowadniać – rzuciła obojętnie. – Chcę tylko, żeby pan dobrze wiedział, co pana czeka. Kiedy wokół pańskiego nazwiska zrobi się głośno, na pewno zainteresują się też pańską działalnością z tamtego okresu. I znajdą to, co ja znalazłam. Niczym to panu nie grozi, bo pan szybciotko się zwolni i zajmie się biznesem, jak wszyscy obecnie. Cóż za stanowisko pan teraz ma – śmiechu warte. Będzie pan zarabiał pięć razy więcej, a może i dziesięć. Krótko mówiąc, nie ucierpi pan. W całej tej sprawie jest jednak pewne nieprzyjemne dla pana „ale”. Wśród tych, którzy dawali łapówki za bezprawne umorzenie sprawy, są dwie osoby, które awansowały bardzo wysoko. Tych dwóch spraw w archiwum nie ma, pan przezornie zadbał o ich zniszczenie. Akta niby zostały skradzione, a pracownica archiwum dostała naganę. Ale w centrum informacyjnym założono w swym czasie karty tych spraw, o których pan zapomniał. A w kartach figurują nazwiska śledczego i oskarżonego. Za późno pan o tym pomyślał. Kiedy na pana rozkaz zlikwidowano te karty, były już z nich zrobione fotokopie. Więc jeśli wokół pana zrobi się głośno, to ci dwaj ucierpią w pierwszej kolejności. I nie wybaczą panu tego.

– A jeśli nic się nie wyda? – zapytał, z trudem poruszając wyschniętymi wargami. Wszystko, o czym mówiła, było prawdą. Zleceniodawca dobrze o tym wiedział. – Może się okazać, że po wydaniu pani książki nic się nie stanie.

– Stanie się, mogę to panu zagwarantować. Jestem promotorem, dwoje moich uczniów już z powodzeniem się obroniło. Mam też asystentów. Starannie czytają wszystko, co im polecę. A już zwłaszcza książkę swego promotora. Ktoś z nich na pewno zwróci uwagę na to, co pan tak starannie próbuje ukryć. Taka oto, Władimirze Nikołajewiczu, sztuka z życia naukowców.

– Szantażuje mnie pani?

– A skąd. – Zamrugła i zrobiła duże oczy. – W żadnym wypadku.

– Czego więc pani ode mnie chce? Po co to wszystko?

– Nie cierpię pana. – Powiedziała to tak zwyczajnie, jakby odpowiadała na pytanie „Która godzina?”. – Nienawidzę pana za to, że pan mnie oszukał. Chcę pana zniszczyć.

\*\*\*

– Anastazjo Pawłowno, proszę mnie zrozumieć: zginęła nasza pracownica, oficer, utalentowany naukowiec. To naturalne, że interesuję się śledztwem, tym bardziej że osobiście znałem Irinę Siergiejewnę.

Nastia uważnie słuchała siedzącego przed nią mężczyzny. Zaczynający przybierać na wadze, łyśawy, twarz przystojna, rasowa. Nos z garbką, masywny podbródek, wyraźnie zarysowane usta. Oczy podkrążone. Docenko chyba przesadził, ten Pawłow zachowuje się całkiem przyzwoicie i powierzchowność ma przyjemną. Widocznie zrozumiał, że źle poprowadził rozmowę z Miszą, więc przyszedł poprawić swój wizerunek. – Nie mam panu na razie nic do powiedzenia, Aleksandrze Jewgienjewiczu, przykro

mi. Mogę tylko zapewnić, że Fiłatowa została zabita nie z zazdrości czy dla pieniędzy. Ale to wszystko, co jak dotąd wiemy na pewno. Oczywiście mogą się pojawić nowe okoliczności. Wtedy wrócimy do tych hipotez.

– Nie chciałbym być natarczywy, ale... Pozwoli pani, że będę do pani wpadał od czasu do czasu, żeby dowiedzieć się, jak się sprawy mają? Pani przecież wie – zajrzał Nasti głęboko w oczy – że kochałem Irinę. Bardzo. Byłem gotów się rozwieść, ale ona nie chciała nawet o tym słyszeć, mówiła, że i tak nie będziemy mieli gdzie mieszkać.

– Aleksandrze Jewgienjewiczu – uśmiechnęła się przy jaźnie Nastia – znał pan Irinę Siergiejewnę od wielu lat. Proszę mi o niej opowiedzieć. Rozumie pan, jak ważny dla nas jest każdy drobiazg, każdy szczegół. – No co ja mogę powiedzieć? – westchnął Pawłow. – Irocza była... Czy można to opisać? Cudowna, urocza, czuła... – Było wyraźnie widać, że nie na żarty się zdenerwował, ręce mu drżały, grdyka poruszała się nad węzłem krawata. – Przepraszam, nie mogę.

Podniósł się. Zerknął na zegarek. Uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Zawrzyjmy małą umowę, Anastazjo Pawłowno. Pani mi pozwoli przychodzić i pytać, jak posuwa się śledztwo, a ja będę opowiadał pani o Irocze. Zgoda?

– Zgoda. Niech pan przychodzi, będę z niecierpliwością czekała na pańskie opowieści.

Do gabinetu, prawie wpadając w drzwiach na Pawłowa, wdarł się wściekły Gordiejew.

– Wiesz, gdzie jest teraz Szumilin? W klinice psychiatrycznej. Kowalow pobiegł oczywiście do swego koleżki i wszystko mu wyśpiewał. A Winogradow nawet niczego nie sprawdzał, widocznie dobrze wie, jaką kanalią jest jego krewniak i czego można się po nim spodziewać. Zamknął go w wariatkowie, jak najdalej od kłopotów, żebyśmy nie mogli go dorwać.

– Ciekawe, czy Kowalow o tym wie? Sytuacja przecież jest dość niezwykła. Winogradow, taki przyjaciel, ochrania gwałciciela jego rodzonej córki. Już samo to, że chłopak zgodził się na szpital, powinno być w oczach Kowalowa przyznaniem się do winy.

– No tak – przyznał Gordiejew. – Winogradow powinien w zasadzie ukryć to przed Kowalowem.

– Spróbujmy się czegoś dowiedzieć. – Nastia wybrała numer telefonu. – Poproszę Ełłę Leonidownę. – Przykryła słuchawkę dłonią i wyjaśniła Gordiejewowi: – Moja przyjaciółka. Pracuje w klinice psychiatrycznej. Byłyśmy razem na kursie psychodiagnostyki, u Bieriozina... Ełłoczka? Dzień dobry, tu Nastia Kamieńska. Po wymianie uprzejmości Nastia poprosiła przyjaciółkę, by się dowiedziała, kto pomógł umieścić w szpitalu Siergieja Wiktorowicza Szumilina, rocznik 1968. Ełła obiecała oddzwonić.

Długo oczekiwany telefon odezwał się pod sam koniec dnia. Nastia porozmawiała z Ełłoczką i z zakłopotaniem kręcąc głową, poszła do Gordiejewa.

– Szpital załatwił Szumilinowi sam Witalij Jewgienjewicz Kowalow.

– A to drań – wymamrotał cicho Wiktor Aleksiejewicz. – Ale zobaczymy jeszcze, czyje będzie na wierzchu.

Poniedziałek 22 czerwca, był tak samo gorący, jak wszystkie poprzednie dni. I znów, z lekka powłócząc spuchniętymi od upału nogami, Nastia Kamińska, nie znosząca tłumów i duchoty, powoli mijając w drodze do domu przystanki autobusowe. Myślała o tym, że w języku rosyjskim jest tylko jedno słowo oznaczające „prawdę”, które ma za to mnóstwo antonimów: „oszustwo”, „kłamstwo”, „nieprawda”, „łgarstwo”. Może dlatego, że prawda ma jedną twarz, a kłamstwo – wiele? Nastia zaczęła przypominać sobie synonimy tych słów we wszystkich znanych jej językach. Pochłonięta swymi lingwistycznymi poszukiwaniami, nie zauważyła niewysokiego smagłego mężczyzny w okularach, który szedł za nią w pewnej odległości od samej Pietrowki. Gdyby Nasti towarzyszył Jura Korotkow, poznałby pewnie tego mężczyznę. Ale Jury nie było, a Nastia nie miała doświadczenia w wykrywaniu „ogonów”.

\*\*\*

We wtorek sytuacja nagle się zaostrzyła. Do Nasti zadzwonił Dima Zacharow z wiadomością, że agencja, w której pracuje, otrzymała zlecenie na zbieranie informacji o Irinie Siergiejewnie Fiłatowej. Zlecenie zostało przyjęte oczywiście od pośrednika, ale szef nie ujawni nawet jego. Nazwisko klienta – to tajemnica zawodowa. Leniwa i powolna zwykle Nastia wpadła do gabinetu Gordiejewa jak burza.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, mam na linii Zacha rowa z prywatnej agencji ochroniarskiej. Ktoś interesuje się biografią Fiłatowej.

– Naprawdę? – Pączek wsunął do ust zausznik okularów. – Ciekawe. Co o tym sądzisz?

– Skoro tak nam się udało z Zacharowem, sądzę, że musimy to wykorzystać. Trzeba wymyślić dla nich jakąś bajeczkę.

– Nieładnie jest kłamać, Anastazjo – zażartował Pączek.

– To nie jest kłamstwo, tylko dezinformacja. Po co się męczyć i identyfikować klienta, kiedy można po prostu prześledzić, gdzie będzie powtarzana nasza bajeczka. I Nastia zabrała się wspólnie z Zacharowem do tworzenia biografii Iriny, starając się ładnie połączyć fakty ogólnie znane z finezyjnie wymyślonymi.

Wiktor Aleksiejewicz tymczasem wezwał do siebie Kowalowa.

– Witaliju Jewgienjewiczu, wydawało mi się, że doszliśmy ostatnio do porozumienia. A pan mnie zawiódł, złamał umowę. Jak tak można? – zaczął Pączek słodkim i przymilnym głosem.

– Nie rozumiem pana – odparł wyniośle Kowalow.

– A nie powiedział pan Winogradowowi o naszych podejrzaniach w stosunku do jego siostrzeńca? – niewinnie zapytał pułkownik.

– Uznałem, że nie mogę tego przed nim ukrywać – odparł z godnością Witalij Jewgienjewicz.

– Mogę wiedzieć, co panu odpowiedział Winogradow? – Przesłuchuje mnie pan? – oburzył się Kowalow. – Czemu miałbym informować pana, co mówią mi moi przyjaciele w prywatnych rozmowach?

– Nie musi pan – spokojnie zgodził się Gordiejew. – Nie wydało się panu dziwne, że Winogradow od razu załatwił siostrzeńcowi hospitalizację z diagnozą, która wyklucza dalsze postępowanie?

– Nie rozumiem pana – powtórzył Kowalow – Sierioża jest chory, poważnie chory, znajduje się w głębokiej depresji. Wymaga leczenia i opieki lekarskiej.

– Rozumiem – zgodnie skinął głową Gordiejew. – A na jakim to tle ma ową głęboką depresję?

– Tragedia w życiu osobistym – odparł pewnym głosem Kowalow.  
– Dziewczyna, którą kochał, obesza się z nim niezasłużenie okrutnie, a w tym wieku, sam pan rozumie, cały świat się wali przez nieszczęśliwą miłość.

Wiktor Aleksiejewicz cmoknął ze współczuciem.

– Coś takiego. Taki przystojny, wysoki chłopak, świetnie zbudowany, dziewczyny muszą go uwielbiać.

– No właśnie – podchwycił z ożywieniem Kowalow – tak przeważnie bywa, ale on poza nią świata nie widział – i wszystko mu się posypało.

Gordiejew zamilkł, a potem zapytał cichym głosem:

– Witaliju Jewgienjewiczu, nie czuje się pan niezręcznie?

Chociaż miał ochotę krzyknąć na cały głos: „Jak panu nie wstyd?!”.

– Niezręcznie? Dlaczego? – Kowalow założył nogę na nogę, doszedłszy widocznie do wniosku, że może się już rozluźnić po szczęśliwym ominięciu podwodnych raf. – Ostatnim razem wyraziłem przekonanie, że przyjmuje pan ze zrozumieniem trudności w naszej pracy i nawet panu za to podziękowałem. Teraz się przyznam, że pana oszukiwałem. Wiedziałem, że nie szanuje pan pracowników milicji, że ma nas pan po prostu za nic. Może ta opinia dotyczy tylko mnie? Pewnie bierze mnie pan za grubego,

śmiesznego fajtlapę? W piątek oglądał pan przy mnie zdjęcie tego całego Sierioży i nie poznał go pan. Nigdy pan na oczy nie widział siostrzeńca swojego przyjaciela Winogradowa. Co więcej, Winogradow wcale nie jest takim bliskim pana przyjacielem, skoro nie uważał za stosowne podzielić się z panem informacją, że ten Sierioża, prowadząc po pijanemu samochód, potrącił dwie osoby i został za to skazany. A pan mi przysięgał, że to poważny, dobry chłopak. Może pan zaprzeczyć i powiedzieć, że wypadki drogowe przytrafiają się każdemu, nawet porządnym ludziom. Kiedy indziej bym się z panem zgodził. Ale nie o to teraz chodzi. Poprzednio nie tylko pan mnie okłamał. Uważa się pan za tak sprytnego, a mnie – za tak głupiego, że w ciągu tych trzech dni nawet się pan nie pofatygował, by zobaczyć, jak ten Szumilin wygląda, chociaż sam załatwiał mu pan szpital, by go przed nami ukryć. Szumilin nigdy nie był wysokim przystojniakiem, nigdy nie podobał się dziewczynom, a pan, jeśli trzymać się pańskiej legendy, powinien był dobrze o tym wiedzieć. Chciałbym wiedzieć, Wiktorze Jewgienjewiczu, po co pan to robi? Po co ten stek kłamstw?

– Jeśli nie jest to przesłuchanie, pozwolę sobie pożegnać się z panem – chłodno odparł Kowalow.

– Nie – osadził go ostro Gordiejew. – Jeszcze nie skończyłem. Siergiej Szumilin został skazany na cztery lata dwudziestego czwartego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego ósmego roku. Od tego czasu co roku dwudziestego czwartego maja dokonywane są przestępstwa na dzieciach i wnukach świadków, którzy zeznawali przeciwko niemu w sądzie. Tego roku ofiarą padła córka ławnika Witalija Jewgienjewicza Kowalowa. Chcę podkreślić, że przestępstwa z roku na rok stają się coraz bardziej brutalne, od

pobicia po gwałt. Zostały jeszcze rodziny sędziego i drugiego ławnika. Nie boi się pan, Witaliju Jewgienjewiczu? Jeśli sprawcą tych przestępstw jest rzeczywiście Szumilin, chroni pan niebezpiecznego człowieka, który w przyszłym roku dokona kolejnego gwałtu, a może nawet zabójstwa.

– Nie chcę wysłuchiwać tych bzdur!

Biały jak ściana Kowalow ruszył w stronę drzwi.

– Proszę zaczekać! – zawołał do niego pułkownik. Kowalow odwrócił się powoli, jakby każdy ruch sprawiał mu nieznośny ból.

– Zrozumiałem, że próżno odwoływać się do pańskich uczuć obywatelskich. Ale niech pan przynajmniej pomyśli, że jest pan ojcem.

– Nie oddam wam Sierioży – mruknął Kowalow, ledwo ruszając ustami.

\*\*\*

Praca nad sporządzaniem biografii Iriny Fiłatowej szła pełną parą. Dima Zacharow zjawił się na Pietrowce i pochylał się teraz razem z Nastią nad długim zwojem sklejonych kartek papieru, wzdłuż którego ciągnęła się gruba, podzielona na lata linia.

– Gdybyśmy wiedzieli, co właściwie interesuje naszego klienta – całe jej życie, a może tylko konkretny okres? – westchnął Dima. – Ile niepotrzebnej pracy robimy!

– Nie można być takim leniwym – skarciła go surowo Nastia.

– I kto to mówi! – rzucił ironicznie Zacharow, wyprostowując plecy i przeciągając się tak, że kości zatrzeszczały. – Popatrz lepiej na siebie, prachuś się znalazł. Grzałka, sejf, maszyna do pisania – wszystko na wyciągnięcie ręki, żeby tylko nie trzeba było wstawać. Nie chce ci się nawet do kosza na śmieci podejść, żeby wyrzucić niedopałki. Nastia roześmiała się.

– Masz rację. O moim lenistwie krążą legendy. Ale nie dotyczy to pracy umysłowej. Wróćmy do sprawy, Zacharow. Dobre kuplety wymyśliliśmy, brakuje tylko refrenu. A refren będzie tu – Nastia podkreśliła czerwonym ołówkiem punkt na linii chronologicznej – tu i tu.

– Dlaczego akurat tam?

– Niech będzie, że to taki mój kaprys – wykręciła się Nastia. – Jaką ci to robi różnicę?

Nastia Kamieńska nie była oczywiście aż tak nieufna jak Pączek. Za to bardziej przewidująca. Nie mając możliwości sprawdzenia słów Zacharowa o mitycznym kliencie, wzięła na wszelki wypadek poprawkę na nieszczerość Dimitrija. Fakty z życia Fiłatowej, które nazwała „świątecznymi kupletami”, nie zawsze odpowiadały rzeczywistości.

Wymyślając „refren”, Nastia próbowała twardo trzymać się dwóch zasad. Po pierwsze, wymyślone szczegóły nie mogą się wydawać dziwne i muszą odpowiadać charakterowi Iriny. Po drugie, w żadnym wypadku nie mogą się okazać prawdziwe.

W samym środku pracy zadzwonił Docenko, rozpracowujący wersję związaną z Interpolem.

– Anastazjo Pawłowno, tu chyba nie ma się czego czepić. Od lutego Idzikowski rozpracowuje ciekawą grupę, związaną z jednej strony z bojownikami z Karabachu, a z drugiej – z Turcją. To są nasi obywatele, którzy przez dłuższy czas pracowali na Bliskim Wschodzie i mają tam spore znajomości. Ale Interpol zbiera tylko informację i nie prowadzi pracy operacyjnej. W każdym razie Idzikowski zapewnia, że żadnych nacisków na niego nie było, a tym bardziej nie wtajemniczał w to Iriny.

– On może sobie zapewniać – spokojnie odparła Nastia, starając się mówić tak, by Zacharow nie zorientował się, o co chodzi. – Sprawdzajcie. Nikomu nie można ufać, Miszeńka.

Żegnając się z Dimą, który zabierał ze sobą na wpół prawdziwą i na wpół wymyśloną biografię Iriny Siergiejewny Fiłatowej, Nastia prawie na pewno wiedziała, kto i kiedy będzie wykonywał „piosenkę z fałszywym refrenem”.

\*\*\*

Wymach, obrót, znów obrót, noga lekko zgięta, głowa w prawo, wymach, obrót... Żle. Jeszcze raz od początku. Wymach, obrót...

Nastia padła zmęczona na kanapę i podniosła słuchawkę telefonu.

– Halo!

– Czym zajmuje się moje dziecko?

– Trenuję klacz. Rudą, narowistą.

– I jak? Udaje się? – zapytał poważnie Leonid Pietrowicz.

– Na razie nie – szczerze przyznała się Nastia. – Wygląda beznadziejnie. Jak się okazuje, są rzeczy mi niedostępne.

– Nie poddawaj się – pocieszył ją ojczym. – Nie wszystkie muszą być pięknosciami. Masz za to dobrze poukładane w głowie.

Odłożywszy słuchawkę, Nastia znów podeszła do lustra. Nie, nigdy jej się nie uda wyglądać tak, jak ta ruda z bulwaru. Ależ ładna bestia! – pomyślała Nastia. Podniosła rękę, zatopiła palce we włosach i spróbowała powtórzyć zapamiętany gest. Powoli obmacała twarz, pogłaskała kości policzkowe i policzki, przypatrując się swemu odbiciu w lustrze. Wszystko płaskie, myślała, wszystko bezbarwne, jak czysta kartka papieru. Kiedy światło w mieszkaniu Nasti zgasło, w innym mieszkaniu rozległ się dzwonek telefonu. Niewysoki smagły mężczyzna w rogowych okularach wysłuchał wiadomości i coś zaznaczył w notesie.

# ROZDZIAŁ 6

W środę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych odbyła się konferencja prasowa poświęcona problemowi walki z korupcją. Dziennikarzy na sali było niewiele, ich zainteresowanie działalnością ministerstwa ostatnio spadło. Przemawiał pierwszy wiceminister.

– I ostatnia rzecz, o której chciałbym państwa poinformować – dodał na zakończenie swego wystąpienia. – Nasze ministerstwo bierze aktywny udział w pracy nad ustawą o służbie bezpieczeństwa narodowego i nad ustawą o walce z korupcją. Kieruje tymi pracami mój doradca, konsultantem naukowym jest główny ekspert Aleksander Jewgienjewicz Pawłow, który od dawna zajmuje się tym problemem.

Pawłow lekko się uśmiechnął i skinął głową, przedstawiając się obecnym. W ostatnim rządzie natychmiast uniosła się ręka.

– Gazeta „Kontynent Ekspres”. Pytanie do eksperta Pawłowa. Ma pan jakąś koncepcję walki z korupcją? – Oczywiście. Wprawdzie wielu się z nią nie zgadza, ale nie tracę nadziei, że uda mi się przekonać moich kolegów.

– Na czym polega w skrócie pańska koncepcja?

– Trudno jest przedstawić ją w kilku słowach, ale ogólnie rzecz biorąc, pomysł polega na tym, żeby rozpatrywać zjawisko korupcji z punktu widzenia pojęć ekonomicznych. Związki korupcyjne – to w

zasadzie transakcja handlowa, w której występuje towar, sprzedawca i nabywca, mamy tu również do czynienia z kosztami własnymi, ceną kupna i ceną sprzedaży. Tak to w skrócie wygląda. Jeśli interesują państwa szczegóły, zapraszam do siebie, chętnie na ten temat porozmawiam. Pawłow chciał upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu. Zdążył już się przyjrzeć dziennikarce, która zadała pytanie, i nie miał nic przeciwko temu, żeby poznać ją bliżej. A i obszerny wywiad też by się przydał. Strzał Aleksandra Jewgienjewicza okazał się celny, bo dziennikarka podeszła do niego od razu po konferencji. – Lebediewa – przedstawiła się, wyciągając dłoń. – To ja zadawałam panu pytania.

– Bardzo mi miło. – Pawłow z galanterią pocałował jej wypielęgnowaną dłoń z długimi brązowymi paznokciami.

– Chciałabym skorzystać z pańskiej propozycji. Kiedy możemy umówić się na rozmowę?

Wysoka, z długimi nogami, bez problemów dotrzymywała kroku postawnemu Pawłowowi i wydawało się, że z trudem powstrzymuje się od biegu. Aleksander Jewgienjewicz chwilę się zastanowił, zerknął na zegarek i szeroko się uśmiechnął.

– Mam teraz trochę czasu, jeśli chce pani porozmawiać. Idziemy?

– Z przyjemnością.

– Kawy, herbaty, koniaku? – gościnnie zaproponował Pawłow, kiedy usiedli w jego gabinecie.

– Kawę z koniakiem, jeśli można – wybrała bez wahania kobieta.

Aleksander Jewgienjewicz włączył ekspres do kawy, wyciągnął koniak, filiżanki, miniaturowe kieliszki. – Jak pani na imię? Łarisa? A więc, Łariso, za znajomość! O czym będziemy rozmawiać, piękna

Lariso? Dziennikarka się roześmiała. Głos miała niski, a śmiech trochę ochrypły. Potrząsnęła kasztanową grzywą włosów, po których przebiegła ciężka fala.

– Aleksandrze Jewgienjewiczu, chciałam z panem porozmawiać o korupcji, a pan mnie rozmiękcza... Tak nie można.

– Możemy rozmawiać o korupcji – odezwał się z gotowością Pawłow. – Interesuje panią moja teoria?

– Nie tylko. Ale możemy od niej zacząć, jeśli pan chce.

Lebiediewa wyciągnęła notatnik i długopis, i założyła nogę na nogę takim ruchem, że Pawłowowi aż dech zaparło.

– Wychodzę z założenia – zaczął niespiesznie Aleksander Jewgienjewicz – że człowiek dający łapówkę czuje ogromną potrzebę konkretnego działania ze strony osoby wpływowej albo urzędnika państwowego. Działanie to – nazwijmy je usługą – ma w oczach tego człowieka pewną wartość, czyli wartość nabywczą. I za tę usługę człowiek gotów jest zapłacić cenę, która nie przewyższa według niego owej wartości nabywczej. Czy mówię zrozumiale?

Lebiediewa skinęła głową, nie przestając notować.

– No to kontynuujmy. Opieram się na tym, że urzędnik, posiadający możliwość wyprodukowania towaru, czyli wykonania pożądaney usługi, powinien zdecydować, czy produkować ten towar, czy nie. Inaczej mówiąc, powinien podjąć się rozwiązania zadania ekonomicznego: jakie będą koszty własne towaru i jaką cenę może za niego otrzymać. Koszty własne zależą od efektywności kontroli wewnętrznej i zewnętrznej, krótko mówiąc, od stopnia ryzyka zdemaskowania. Na takiej oto teoretycznej podstawie została zbudowana koncepcja walki z korupcją. Główny cel to zniszczenie

rynku usług korupcyjnych za pomocą rozregulowania kosztów własnych towaru u producenta oraz ceny nabywczej u klienta. Tę pierwszą trzeba zwiększać, drugą – obniżać, wtedy produkcja będzie nieopłacalna. Jak pani widzi, to nic trudnego.

– Aleksandrze Jewgienjewiczu – dziennikarka zamknęła notatnik i położywszy go na brzegu stołu, zatopiła palce w swoich gęstych włosach – to, co zapisałam, pójdzie w wywiadzie. A teraz pytanie, które interesuje mnie osobiście. Pozwoli pan? Zawsze interesował mnie tok myślenia naukowego. Chcę zrozumieć, jak powstają nowe poglądy, nowe teorie. Proszę mi opowiedzieć, jak pan doszedł do takich wniosków. To już nie dla prasy.

– Ależ nie chcę pani zanudzać, Łariso! – zawołał błagalnie Pawłow. – Mam opowiadać pięknej kobiecie, jak ślęczałem po nocach nad książkami z ekonomii i kryminologii?! Nie, po stokroć nie! Takie nudziarstwa – to nie dla pani uszu!

– Pan jest inny, Aleksandrze Jewgienjewiczu – powiedziała Łarisa. – Zadawałam to pytanie wielu ludziom i wszyscy opowiadali mi o swych pomysłach nie tylko bardzo chętnie, ale wręcz z prawdziwą przyjemnością. Dla nich sam proces poszukiwań naukowych był bardziej interesujący niż jego wynik.

– Widocznie byli to prawdziwi naukowcy, a ja jestem tylko praktykiem ze stopniem naukowym. – Pawłow rozłożył ręce. – Poza tym, Łariso, pani też jest inna niż wszyscy! Pani nie tylko jest wyzywająco piękna, dziwnie też pani mówi. Dlaczego?

Dziennikarka na chwilę się zmieszła, ale szybko się opanowała.

– Chodzi o to, że długo mieszkałam na Wschodzie, mój mąż pracuje w MSZ-ecie. Moja matka jest Turczynką z Azerbejdżanu,

spędziłam w dzieciństwie dużo czasu w środowisku ludzi mówiących po turecku. Czyżby zauważył pan akcent?

– Tylko intonację. Mówi pani bardzo poprawnie. Nawet za bardzo – wielkodusznie podkreślił Pawłow.

\*\*\*

Jeśli dla pułkownika Pawłowa środa 24 czerwca okazała się dniem przyjemnej i obiecującej znajomości, to Nastia Kamieńska zetknęła się tego dnia z nowym problemem. Wśród papierów Fiłatowej, zwykle starannie podpisanych i zaopatrzonych w szczegółowe komentarze, znalazła kartkę z niezrozumiałymi i niewyjaśnionymi liczbami, wypisanymi w ośmiu kolumnach. Nad kolumnami widniały lata od 1983 do 1990, tylko tyle w tym wszystkim można było zrozumieć. Obok, z góry w dół, ciągnęły się oznaczenia wierszy, w których Nastia do późnego wieczoru próbowała się połapać. Pierwszy wiersz oznaczony był literą „Z”, drugi – „R”, trzeci – „ZŚ”. Pozostałe oznaczono liczbami od 5 do 10 oraz „1 + 3”, „2” i „Razem”. Dokonawszy w głowie kilku działań arytmetycznych, Nastia doszła do wniosku, że sumy znajdujące się w wierszu „Razem” zostały uzyskane w wyniku dodania tylko dwóch przedostatnich liczb, a nie wszystkich wypisanych w odpowiedniej kolumnie. Obok wielkości bezwzględnych były dopisane drobnym wyraźnym charakterem pisma Fiłatowej ułamki, jedne z dopiskiem „P”, drugie – „R”. Było widać, że Fiłatowa też spędziła nad tą kartką sporo czasu: niezapisana liczbami część była cała zapełniona figurami geometrycznymi zakreślonymi w

skomplikowany sposób, ze splecionymi razem literami „W” i „N” w środku. Wiersz z cyfrą „2” zaznaczono jaskrawoczerwonym flamastrem.

Nastia dość szybko zrozumiała dwie rzeczy. Po pierwsze, ułamki oznaczały procenty: z uwagą „P” – od liczby zapisanej w wierszu „Razem”, z uwagą „R” – od liczby w wierszu „ZŚ”. Po drugie, w podkreślonym czerwonym flamastrem wierszu „2” te ułamki zadziwiająco szybko się zwiększały, czego nie było w pozostałych wierszach, z wyjątkiem wiersza „10”. Ale wiersz „10” widocznie Fiłatowej nie zainteresował, bo nie został podkreślony. Nastia była pewna jednego: ta kartka jej się nie podoba. Zdziwiło ją niedbalstwo pedantycznej i starannej zwykle Iriny, która, nie ufając swojej pamięci, szczegółowo opisywała wszystkie obliczenia. Niepokoiły ją litery „W” i „N”, pod którymi mógł się kryć jakiś Władimir Nikołajewicz, mocno zaprzątający głowę Iriny, sądząc po kartce w terminarzu, zapisanej tymi inicjałami. Nikt jednak ze znajomych i kolegów zmarłej o nim nie wspomniał. Nastia zdążyła już pojąć tok rozumowania i styl pracy Fiłatowej, toteż nie dawał jej spokoju wiersz „10”. W porównaniu z dość stabilnymi danymi w innych wierszach Irina nie mogła nie zauważyć tu gwałtownej dynamiki. Ale skupiła się tylko na wierszu „2”. Dlaczego?

Nastia długo nie mogła zasnąć przez tę kartkę. Wciąż przewracała się z boku na bok, zła na siebie, że nie wzięła zawczasu środka nasennego. Świecące cyferki na elektronicznym zegarze wskazywały parę minut po trzeciej, na proszki nasenne było już za późno, wkrótce musiała wstawać. Poszła do kuchni, otworzyła lodówkę, naląła do wysokiego kieliszka martini. Wyciąg z piołunu,

wchodzący w skład napoju, działał na nią lepiej niż wszelkie tabletki.

Stojąc rano zaspana pod prysznicem i tłumacząc na języki europejskie zdanie: „We wszystkim musi być porządek”, Nastia odruchowo zauważyła, że w niektórych językach używa się różnych słów w zależności od tego, czy chcesz powiedzieć: „jaki porządek” (na przykład, idealny) albo „porządek czego” (na przykład, kolejność, tryb)... Wskoczyła z wanny, zakręciła wodę, narzuciła na siebie w biegu frotowe prześcieradło i zostawiając na podłodze mokre ślady, pomknęła do pokoju. Chwyciwszy kodeks karny, kartkowała go przez chwilę, po czym radośnie i głośno się roześmiała. Gdyby była z nią ciekawska dziennikarka Lebediewa ze swoim koronnym pytaniem: „Jak pani na to wpadła?”, Nastia odpowiedziałaby jej krótko i niezrozumiale: „Tryb postępowania w sprawach karnych”.

Wychodząc do pracy, zerknęła jeszcze na swoje odbicie w lustrze.

– Niezła jesteś, stara! Jednak potrafisz! Kiedy jesteś szczęśliwa, nawet twoje oczy robią się z bladoszarych jaskrawoniebieskie – powiedziała do siebie na głos.

\*\*\*

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew przyszedł do pracy jak chmura gradowa. Wczoraj wieczorem żona długo rozmawiała przez telefon z ojcem i wróciła do pokoju zmartwiona.

– Tata jest wściekły – powiedziała, siadając na kanapie obok męża i czule głaszcząc go po ramieniu. – Odmówili mu. W zeszłym

tygodniu wszystko było dobrze, obiecali mu dać ostateczną odpowiedź w poniedziałek. W poniedziałek odłożyli do wtorku, we wtorek – do środy, ale rozmawiali nie wiadomo czemu chłodno, a dziś powiedzieli, że nie ma możliwości sponsorowania jego centrum. Tata miejsca sobie nie może znaleźć, że jego, światowej sławy kardiologa, potraktowano jak smarkacza.

Andriej Grigorjewicz Woroncow marzył o stworzeniu prywatnego centrum kardiologicznego, takiego jak lecznica oftalmologa Fiodorowa, ale potrzebował sponsorów, którzy pomagaliby mu przez pierwsze półtora – dwa lata, póki centrum nie okrzepnie. Woroncowa wiele razy zapraszano do pracy do największych klinik i centrów medycznych za granicą, ale on uparcie odmawiał, twierdząc, że ważniejsze dla niego jest zdrowie jego rodaków. Gorąco marzył o założeniu centrum, miał nadzieję, że otworzy je przed swymi siedemdziesiątymi urodzinami, znalazł sponsorów i cieszył się jak dziecko, że wszystko dobrze się układa. Aż tu nagle coś takiego...

– Zaczekaj – Gordiejew odwrócił się do żony – przecież obiecali mu pomoc w dwóch miejscach. W którym z nich odmówili?

– Właśnie o to chodzi, że w obu – smętnie odpowiedziała Nadieżda Andriejewna.

– Jest wściekły? – zapytał ze współczuciem Gordiejew. – Jest załamany, a to o wiele gorsze. Żeby się tylko nie rozchorował.

Od razu w obu! Winogradow nie traci czasu. Wiktor Aleksiejewicz ani przez chwilę nie miał wątpliwości, że to jego sprawka.

Pułkownik zadzwonił najpierw do Samochina z centrum prasowego, a później jeszcze do kogoś, kto poma gał mu, jak

twierdził, oddzielać prawdę głoszoną od rzeczywistej. Długo miotał się po gabinecie, pocierał łysinę, kilka razy podchodził do drzwi i już chwycił za klamkę, ale się rozmyślał, gwałtownie odwracał i znów zaczynał biegać po pokoju. Wszedł Igor Lesnikow.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, dzwonił Golcow ze szpitala. Natasza Kowalowa...

– Co? Co takiego? – poderwał się Gordiejew.

– Miała w nocy straszny atak hysterii, miotała się, łkała – ledwie ją uspokoili. A dziś zaczęła mówić. – To czym jesteś tak zmartwiony?

– Ojciec zabronił wpuszczać do niej oficerów milicji. – Jak to zabronił? – Gordiejew aż się zakrztusił. – Kim on jest? Głównym psychiatrą kraju?

– Powiedział, że dziewczynka jest zbyt słaba, żeby ze znawać. Może się zdenerwować, przypominając sobie trau matyczne wydarzenie, i znów się zamknie w sobie. Ja ko ojciec żąda, by zostawiono dziecko w spokoju. Siedzi przy niej cały czas matka. Krótko mówiąc, szlaban. Golcow próbował go przekonać, że muszą mieć chociaż pobieżny opis gwałciciela, ale Kowalow zaczął wrzeszczeć na cały oddział, że woli, by dziesięciu gwałcicieli zostało na wolności, byle tylko jego dziecko było zdrowe.

– No tak, no tak – pułkownik w zamyśleniu pokiwał głową. – Niech gwałciciele chodzą wolno, niech gwałcą i zabijają cudze dzieci, byleby jego dziecko było zdrowe. To jest bajeczka dla lekarzy i jego żony. Tak naprawdę ze skóry wyłazi, by pomóc Winogradowowi, a ten na pewno mu się odwdzięczy. Jeśli Awierin zostanie premierem, to Kowalow będzie ustawiony i zyska

dozgonną wdzięczność premiera. Jeśli się nie uda, Winogradow już przygotował mu miejsce w jakiejś rosyjskiej firmie z kapitałem zagranicznym. Wiadomo, że Kowalow jest ni czym bez Winogradowa. Pójdzie na wszystko, żeby mu dowieść swojego oddania. Kanalia!

Gordiejew zdecydowanym ruchem odsunął od siebie okulary i mocno uderzył dłońmi o biurko.

– Idź do roboty, Igorze. Daj mi parę dni, potem możesz robić, co chcesz, co będziecie uważali za śledczym za konieczne. Powiem wam, kiedy będę gotów. Idź. I zawołaj mi tu Kamieńską.

\*\*\*

– Wejdz, Anastazjo – wesoło przywitał się Gordiejew z Nastią. – Opowiadaj.

– Co się stało, Wiktorze Aleksiejewiczu? – zdziwiła się Nastia. – Jakieś święto?

– Nie, po prostu podjąłem decyzję i cieszę się z tego. Wiesz przecież, że nigdy nie atakuję pierwszy, a jak trzeba komuś oddać, zawsze długo się zastanawiam. Ostrożny się zrobiłem na starość. A kiedy podjąłem decyzję – kamień mi spadł z serca. Co z Fiłatową? Gdzie te twoje „dwieście”?

Nastia westchnęła ze skruchą. To, co miała powiedzieć, było strasznym zuchwalstwem wobec przełożonego, ale za to właśnie lubiła Pączka, że tolerował ją taką, jaka jest.

– Muszę pojechać do GIC<sup>\*</sup>, Wiktorze Aleksiejewiczu.

– No i w czym problem? – uniósł brwi Gordiejew.

– Nie chce mi się.

Główne Centrum Informacyjne MSW mieściło się w pięknym wielopiętrowym budynku w Nowych Czero muszkach, trzeba przyznać, że dość daleko od Pietrowki.

– Ależ z ciebie zołza, Anastazjo! – roześmiał się Gordiejew. – Dobrze, jestem dziś w dobrym humorze. Zapisz sobie telefon...

– Zapamiętam.

– Zadzwoń pod ten numer. Poprosisz Jelenę Konowałową i powiesz jej, że dzwoniś ode mnie. Kiedyś pracowałem razem z jej ojcem, pamiętam ją jeszcze jako małą Alonę. To fajna dziewczyna, na pewno ci pomoże. Jeśli oczywiście ładnie ją poprosisz. I jak tam twoje „dwieście”?

– Zostały niewyjaśnione dwie kwestie. Jedną mam nadzieję rozwikłać przy pomocy GIC. Drugą – nie wiem na razie jak. Jeśli Fiłatowa miała zamiar pisać monografię, to gdzie są materiały robocze? Nie znalazłam w jej papierach ani słowa, dotyczącego monografii. Żadnych śladów. Według planu miała złożyć ją w październiku w wydawnictwie, już zatwierdzoną w swoim dziale i wydrukowaną w wersji ostatecznej.

– Dobra, wyjaśnij to sama.

Gordiejew zamilkł, pogryzając zauszniki okularów.

– A powiedz mi, Anastazjo – zapytał nagle – czy pamiętasz, co odpowiedział gubernator Stark swemu asystentowi Burdenowi, kiedy ten odmówił szukania haka na uczciwego sędziego?

Nastia, ani chwili się nie zastanawiając, odpowiedziała bez zająknięcia:

– Człowiek poczęty jest w grzechu, rodzi się w brudzie i zmierza od śmierdzących pieluch do cuchnącego grobu. Na każdego coś się znajdzie.

– Mądre dziecko! – zachwycił się Gordiejew. – Co ty, całą powieść znasz na pamięć?

– Nie – uśmiechnęła się Nastia. – Tylko to jedno zdanie. Ale pan też je zapamiętał. Widocznie zwracamy uwagę na to samo. To nic dziwnego, pracujemy przecież w tej samej firmie.

– No tak – zgodził się Wiktor Aleksiejewicz. – No tak, Stasińko, posłuchaj mnie uważnie. Wiktor Jewgienjewicz Kowalow bardzo mnie uraził. Mnie osobiście. Ma poza tym do nas wszystkich lekceważący stosunek. Co więcej, próbuje osłonić przed wymiarem sprawiedliwości niebezpiecznego przestępcę. Jest w tym trochę i naszej winy. Nie chcieliśmy zatrzymać Szumilina, póki nie będziemy mieli niepodważalnych dowodów. Zawsze dążyłem do tego, by nasz wydział pracował precyzyjnie i uczciwie, żebyśmy nigdy nie wchodzili w konflikt ze śledczymi i prokuratorem. Przez długi czas nam się to udawało. Nie mieliśmy w ostatnich latach ani jednego zatrzymanego, którego musielibyśmy wypuścić po siedemdziesięciu dwóch godzinach. Starłem się dobierać do swego wydziału profesjonalistów albo takich, którzy szybko się uczą. Popelnialiśmy wiele błędów i uchybień. Ale najważniejsze jest to, że potrafiliśmy szybko je wyłapać i naprawić. Mamy do swej pracy stosunek krytyczny, cały czas się uczymy. O taki styl pracy walczyłem przez długie lata. I mam w tym duże osiągnięcia. Dlatego nasz wydział jest taki zgrany. Dlatego nigdy się nie kłócimy. To, co

inni nazywają krytyką, u nas jest wzajemną analizą. Mówię ci to wszystko nie dlatego, że o tym nie wiesz. Rozumiesz to może lepiej ode mnie. Chcę, żebyś wiedziała, jak bardzo mnie Kowalow uraził, zlekceważył moją ideę, moje dzieło, moje największe osiągnięcie w życiu. Wykorzystał naszą profesjonalną uczciwość. Ostatni cios, którym zmusił mnie do podjęcia decyzji, zadał wczoraj. Nie mnie zaatakował, tylko moją rodzinę, mojego teścia, który nie rwie się do tego, by zgarniać dolary, operując zachodnich milionerów, a chce leczyć swoich rodaków. Straciłem cierpliwość, Stasienko. Bardzo na ciebie liczę.

Nastia nigdy jeszcze nie słyszała w głosie szefa takiego głębokiego bólu, takiej goryczy. Gordiejew tymczasem ciągnął:

– A gubernator Willie Stark miał rację, na każdego coś się znajdzie. Nie wierzę, żeby człowiek, którego nie obchodzi prawo, cudzy los i własne dziecko, mógł przeżyć życie uczciwie. To niemożliwe. Dlatego mam nadzieję, że znajdę sposób, by go powstrzymać. Nie mamy ani środków, ani czasu, by szukać tego sposobu samodzielnie. Nie zapominajmy, że chodzi o człowieka, zajmującego się polityką. A to znaczy, że musi mieć wrogów albo, jeśli chcesz, politycznych przeciwników, którzy mają na niego swoje sposoby i tylko czekają na odpowiednią chwilę. Sami nam swojej broni nie zdradzą. Odebrać im jej siłą nie możemy, nikt nas teraz się nie boi. Zostaje jedno wyjście. Mam nadzieję, że wiesz, o co mi chodzi. Znam człowieka, który na pewno ma potrzebną nam broń przeciwko Kowalowowi. Jest nim pracownik kancelarii parlamentu Boris Wasiljewicz Rudnik.

\*\*\*

Pączek jej nie zawiódł. Kiedy Nastia znalazła pod podanym przez niego telefonem Jelenę Konowałową, ta chętnie zgodziła się jej pomóc i nawet dodawała otuchy Kamińskiej, która czuła się trochę niezręcznie, bo sama nie wiedziała, czego tak naprawdę szuka.

– Chodzi o to, że mam pewną liczbę, ale nie wiem, co ona oznacza. Mogę się tylko domyślać. Wydaje mi się, że jest to liczba zarejestrowanych przestępstw. Ale nie wiem, w jakim regionie kraju.

– Duża liczba? Ilucyfrowa? Spróbujmy ustalić, czy chodzi o miasto, czy obwód.

Nastia podyktowała wszystkie liczby z wiersza „Z” za osiem lat.

– To bez wątpienia obwód – zdecydowanie powiedziała Jelena. – Takie wskaźniki może mieć tylko Moskwa albo Petersburg, ale znam je na pamięć, to nie te. Niech pani chwilę zaczeka. Mam w komputerze dane z obwodów Rosji za ostatnie pięć lat, zaraz spróbujemy poszukać.

Przycisnąwszy słuchawkę ramieniem do ucha Nastia, czekając na odpowiedź, nalała wodę z dzbanka do kubka, żeby zaparzyć sobie kawę. Po kilku minutach Jelena znów podeszła do telefonu.

– Nastia, te liczby odpowiadają danym z lat tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem, osiemdziesiąt osiem, osiemdziesiąt dziewięć i dziewięćdziesiąt. To jest obwód eński. Chce pani szczegółowych informacji czy to wystarczy?

Zaskoczonej Nasti tak drgnęła ręka, że kawa wylała się na biurko. Myślała, że źle usłyszała.

– Jak to obwód eński? – Wszystkiego się spodziewała, tylko nie tego.

– A o co chodzi? – zaniepokoiła się Jelena. – To niemożliwe? Mogę sprawdzić kolejne lata.

– Długo to potrwa?

Oparzona wrzątkiem ręka piekła, ale Nastia nie zwracała na to uwagi. Ogarnęło ją potworne zniecierpliwienie.

– Muszę pójść do archiwum, są tam przechowywane roczniki statystyczne z poprzednich lat. Zajmie to jakieś piętnaście – dwadzieścia minut.

– Lenoczko – powiedziała błagalnie Nastia – nie chcę sprawiać pani kłopotu. Żeby pani wiedziała, jak tego potrzebuję!

– Ależ to drobnostka, Nastiu. Już idę.

Po dwudziestu minutach Nastia już wiedziała, że ma w rękach dane z obwodu eńskiego. Lena była tak uprzejma, że odszukała też inne dane, co okazało się już łatwiejsze, bo było wiadomo, o jaki obwód chodzi. A po dwóch godzinach nieopisana kartka nie była już dla Nasti Kamieńskiej żadną tajemnicą.

\*\*\*

Jura Korotkow czule pocałował Ludę w ramię i zaczął się ubierać. Nie chciał od niej wychodzić, ale nie mógł dłużej zostać.

Naciągnąwszy spodnie, przysunął fotel do okna i usiadł obok kanapy, na której leżała kobieta.

– Posłuchaj, Lusi – odezwał się nagle. – Jesteś pewna, że Irina nie spała z Pawłowem?

Ludmiła gwałtownie uniosła głowę z poduszki.

– Ira? Z Pawłowem? Zwariowałaś! Trzeba naprawdę jej nie znać, żeby wygadywać takie głupstwa.

– Przecież ja rzeczywiście jej nie znam – miękko zauważył Korotkow. – Chodzi o to, że Pawłow twierdzi, iż byli kochankami, i on prawie chciał się rozwodzić ze swoją żoną.

– Bzdury – odparła zdecydowanie Luda. – Nawet o tym nie myśl.

– Mówi, że bardzo Irinę kochał – nie ustępował Jura. – Po co by kłamał?

– Akurat! – fuknęła kobieta, wstając i owijając się w prześcieradło jak w hinduskie sari. – Bardzo ją kochał! Byłam wczoraj w ministerstwie, widziałam go z jakąś lalunią. Pożerał ją wzrokiem! – Luda wywróciła oczami, by to zademonstrować. – Tydzień nie minął od pogrzebu Iry, a ten już startuje do innej. Ludmiła czule rozczochrała Jurze włosy.

– Nie zawracaj tym sobie głowy, mój drogi. Irka była kochliwa, ale bardzo, podkreślam, bardzo wybredna. Jura przytrzymał jej rękę i przycisnął ją do policzka.

– A co to za lalunia? Z ministerstwa?

– Sądząc po tym, że z całym tłumem wyszła z konferencji prasowej, chyba dziennikarka. Bardzo atrakcyjna. Gdyby pracowała w ministerstwie, nasi chłopcy od razu by ją zauważyli, a baby – nie zostawiłyby na niej suchej nitki. Jesteś głodny?

– Jestem – odpowiedział z wdzięcznością Jura. Kiedy człowiek wraca do domu o pierwszej w nocy, lepiej od razu cichutko położyć się do łóżka, a nie tłuc się w kuchni i budzić żonę, która jest zła, że mąż przychodzi tak późno.

Stojąc już w przedpokoju, powiedział na pożegnanie:

- Lusi, poczekajmy, aż dzieci podrosną, i wtedy się pobierzmy.
- Zabraknie ci cierpliwości – roześmiała się. – Ale ja się zastanowię.

\*\*\*

Zleceniodawca i Organizator jedli razem kolację w walutowym „Pizza Hut”. Zleceniodawca był skupiony i energiczny, Organizator zaś – rozkojarzony i chorobliwie apatyczny.

- Twój chłopak trochę spartaczył robotę.

Taki już był Zleceniodawca: nawet kiedy chwalił i dziękował, zawsze starał się znaleźć jakiś powód do narzekań.

- On nie jest mój. Nigdy go nie spotkałem. Znalazłem przez pośrednika.

– Dziś mijają dwa tygodnie i na razie jest spokój. Względny. Mam nadzieję, że się udało.

Zleceniodawca rzucał krótkie zdania, starannie przeżuując gorącą pizzę.

- A karty?

Organizator podniósł na rozmówcę zbolące, pełne beznadziei spojrzenie. Dla Zleceniodawcy najważniejszy był oczywiście maszynopis, więc mógł być spokojny, bo maszynopis mu znaleźli. Ale dla niego, Organizatora, liczyły się karty, nie wszystkie, tylko jedna, z jego nazwiskiem wypisanym drukowanymi literami. Mój Boże, jaki koszmar, jaki koszmar go czeka, jeśli się dowiedzą... Żeby

jeszcze sprawa dotyczyła przestępstwa gospodarczego, wtedy można by było jakoś się wykręcić – mało to teraz takich, co zostali zrehabilitowani, bo niby wyprzedzali swoje czasy? Weźmy choćby Starodubcewa. – A co z kartami? – powtórzył.

Pytanie nie spodobało się Zleceniodawcy. Wiedział, że to on przegapił te karty. Jak mógł zapomnieć o takiej drobnostce! Akta z archiwum usunął, a o kartach przypomniał sobie dopiero po kilku miesiącach. Ta suka zagroziła mu fotokopiami, ale jak sprawdzić, że nie kłamała? Może żadnych fotokopii wcale nie ma. Żeby je zrobić, trzeba przejrzeć wszystkie karty, cały ogrom dokumentów z kilku lat. I do tego zostać w kartotece samemu, bez świadków. To bardzo ryzykowne. Chyba jednak blefowała. Ale nawet jeśli nie, jest mu już wszystko jedno. Niech znajdą te kopie, niech wybuchnie skandal. Co mu do tego? Najważniejsze, że skandal wybuchnie nie z jego winy, nie przez maszynopis, nie jego osoba będzie w centrum uwagi. Nic więc nie wskórają, jeśli chodzi o niego. A wszyscy ci nadziani politycy niech sami płacą za własne grzechy z przeszłości. Więc do diabła z tymi kartami. Wykonawca nie znalazł ich w mieszkaniu Fiłatowej. Ten, co został przekupiony, by przeszukał sejf i biurko, też nic nie znalazł. No nie tak całkiem, bo maszynopis przyniósł. Ale fotokopii nie było. Widocznie nie istnieją.

– Nie martw się – pocieszył pewnym tonem Organizatora. – Nikt ich nie będzie szukał. Póki było niebezpieczeństwo, że książka się ukáže, istniało zagrożenie, że zaczną w tym grzebać. Ale książka się przecież nie ukáže. Możesz więc spać spokojnie, stary rozpustniku – zaśmiał się bez troski.

– Jak mogę spać – wymamrotał Organizator, odsuwając z obrzydzeniem talerz i nalewając do kieliszka białe francuskie wino.

– Kowalow ze swoją bandą nie daje mi spokoju. Przeciągnął połowę posłów na swoją stronę, będzie forsował na zjeździe swojego szefa na premiera. A naszym celem jest zachowanie na stanowisku obecnego, jesteśmy z nim w jednej drużynie. No i walczymy.

– A twoja blondyneczka? Jest jeszcze z tobą? Może mi ją odstąpisz? – zakpił Zleceniodawca. – Trochę za stara dla ciebie, ty przecież przepadasz za młodym ciałem?

– Proszę cię, daj spokój – odparł z cichym smutkiem Organizator.  
– I tak jest mi źle.

# ROZDZIAŁ 7

W piątek Pawłow znów zaszczyił swoją wizytą Pie trowkę.

– Co nowego, Anastazjo Pawłowno? Trzymam się obietnicy, nigdzie się dziś nie spieszę, więc proszę mi powiedzieć, co nowego w śledztwie, a ja pani opowiem o Irocze.

Nastia poinformowała go o ciekawych wiadomościach, które zdobyli Docenko i Łarcew, rozpracowując hipotezę związaną z Interpołem. Tureccy terroryści otrzymywali broń z Karabachu, płacąc za nią narkotykami. Całkiem możliwe, że zabili Fiłatową, próbując zastraszyć Idzikowskiego, który był na tropie grupy rosyjskich obywateli, pośredniczących w tej sprawie. W odpowiedzi Pawłow oddał się lirycznym wspomnieniom. – Irocza bardzo ciężko zniosła rozstanie z mężem. Nawet chciała rzucić pracę doktorską, chociaż obrona była już blisko. Wszystko wtedy straciło dla niej sens: i praca, i miłość. Pisała wiersze, wie pani o tym? – Nie, nikt nam o tym nie mówił.

– No widzi pani. Była skryta, z nikim się nie dzieliła swymi przeżyciami. Znacznie później, po wielu latach znajomości, kiedy byliśmy już ze sobą blisko, dała mi do przeczytania niektóre wiersze z tamtego okresu. Taki na przykład:

*Jestem sama w codzienności,  
Jak w bezkresnym oceanie.*

*Moja łódź się nie wywróci,  
Nie zatonie, no bo jak?  
Brak pociechy, brak radości.  
Tylko ból i oderwanie.  
Jakże mam kotwicę rzucić,  
Gdy donikąd wiedzie szlak?*

– Dobry wiersz – pochwaliła Nastia.

– Nie tylko dobry – podchwycił z uniesieniem Pawłow. – Piękny! Iroczka była nie tylko zdolnym naukowcem, była wszechstronnie utalentowana. A oto co napisała po pogrzebie matki:

*O, takiej męki niech nie dozna nikt,  
Gdy strach i ból wyciska zimne poty  
I beznadziejne jak stopnie szafotu  
Jest każde jutro, każdy nowy świt.*

– Dziękuję panu, Aleksandrze Jewgienjewiczu – serdecznie powiedziała Nastia pod koniec rozmowy. – Proszę nas odwiedzać. Pan przecież rozumie, że im lepiej będziemy wiedzieli, jakim człowiekiem była Irina, tym łatwiej nam będzie pracować nad tą sprawą. Ale następnym razem zapraszam do Gordiejewa. Bo idę na urlop.

Kiedy drzwi za Pawłowem się zamknęły, na twarzy Nasti zagościł ironiczny uśmiech. Kto by mógł pomyśleć, że wiersze, które napisała dawno temu z nieodwzajemnionej miłości do pewnego człowieka, tak się teraz przydadzą. I nawet znalazł się znawca, który

nazwał je „nie tylko dobrymi, ale pięknymi”. Może jest ekspertem, ale nie w poezji. Dla niego każdy wiersz jest dobry. No więc, Aleksandrze Jewgienjewiczu, dał się pan przyłapać na kłamstwie. Zapłacił pan, i to sporo, by przekonać nas, że od dawna dobrze zna Irinę Siergiejewnę. Uporczywie interesuje się pan śledztwem, częstując nas przy okazji ciastem, które własnoręcznie upiekliśmy. Do czego pan zmierza?

Spróbujmy podejść do sprawy z innej strony. Jeśli wierzyć dokumentacji wydziału koordynacji i planowania, Fiłatowa ani razu w ciągu trzynastu lat pracy nie wyjeżdżała w delegację do pańskiego rodzinnego miasta Enska. Może była tam prywatnie? Ani ojciec, ani koleżanki, ani kochankowie tego sobie nie przypominają, ale biorąc pod uwagę skrytość Iriny, jest to całkiem możliwe. Jeśli tak, to po co robić z tego tajemnicę? Po co ukrywać te wyjazdy, skoro tam rzeczywiście była? W każdym razie ten obwód ją interesował, przy czym nie jako obiekt badań nad przestępczością, tylko ze względu na jedną, jedyną kwestię. Którą Nastia już sobie chyba wyjaśniła.

Kamieńska wyciągnęła tajemniczą kartkę Fiłatowej, na której wszystko się teraz zgadzało. „Z” – zarejestrowano przestępstw, „W” – wykryto, „ZŚ” – liczba spraw karnych zakończonych śledztwem. Wiersze opatrzone numerami od 5 do 10 oznaczały liczbę spraw zamkniętych przez śledczych na podstawie artykułów 5 – 10 kodeksu karnego. „1+3” to sprawy, zamknięte zgodnie z paragrafem 1 i 3 artykułu 195, stosowanego w przypadkach, kiedy przestępca albo nie został zidentyfikowany albo się ukrywa. A tajemnicza linijka „2” pokazuje liczbę spraw, wstrzymanych na podstawie paragrafu 2 tegoż artykułu 195 z powodu ciężkiej

choroby oskarżonego. I jeśli do 1986 roku udział takich spraw wśród wszystkich wstrzymanych wynosił 3 procent, to kiedy kierownikiem wydziału dochodzeniowego UWD został pan, Aleksandrze Jewgienjewiczu, wskaźnik ten wzrósł do 18 procent. Jaki wniosek wyciągnęła z tego Fiłatowa? Chyba taki sam, jak ja, bo mogę sobie wyobrazić tok jej rozumowania. Fiłatowa domyśliła się, że okopał się gdzieś u pana lekarz łapówkarz, który za pańską wiedzą stawiał fałszywe diagnozy, na podstawie których można było wstrzymać postępowanie „do chwili wyzdrowienia”, czyli na zawsze. Łapówki dostawały minimum trzy osoby: lekarz, śledczy i pan. Może pan nie otrzymywał ich osobiście, może dzielili się z panem lekarz i śledczy. Ciekawa sprawa!

Ale nawet jeśli to prawda i rzeczywiście jest pan takim złym człowiekiem, pozostaje niezrozumiałe, dlaczego Irina interesowała się właśnie obwodem eńskim i tak to ukrywała (nawet nie podpisała kartki). To zainteresowanie nie mogło wiązać się z panem osobiście, bo pan mnie całkowicie przekonał, że nigdy przed przyjazdem do Moskwy nie znał i nie spotkał się z Fiłatową, chociaż twierdzi pan zupełnie co innego. Ale musi przecież być jakiś związek! Musi!

Spróbujmy trzeciego wariantu. Wszystko, co mówią koledzy Fiłatowej z pracy, jest prawdą. Pawłowa najpierw bezskutecznie zaleca się do Iriny, potem zaczyna, jak wyraził się jej szef, „czepiać się”. Denerwuje ją, doprowadza do wściekłości, a ona próbuje znaleźć coś, co go powstrzyma. Ktoś z kolegów jedzie do Enska, więc prosi go, by przywiózł jej dane statystyczne dotyczące prowadzenia spraw karnych. To nie są dane utajnione, można je dostać w każdym terenowym ośrodku informacyjnym. Możliwe, że tak rzeczywiście było, chociaż nie wszystko pasuje. Konflikty z

Pawłowem zaczęły się wiosną, a dane za poprzedni rok były gotowe o wiele wcześniej. Poza tym w schemacie Fiłatowej znalazłby się również rok 1991, a nie ma go, schemat kończy się na roku 1990. I w ogóle Irina nie wygląda na osobę zdolną do szantażu, tym bardziej z tak błahego powodu. Co by miała powiedzieć Pawłowowi? Aleksandrze Jewgienjewiczu, wiem, że pan jest łapówkarzem, niech więc pan przestanie zwracać mi papiery do poprawki? Nonsens. Pozostaje jeszcze pytanie, dlaczego Pawłow kłamie.

Czwarty wariant – wszyscy mówią prawdę, chociaż brzmi to paradoksalnie. Irina rzeczywiście nie była kochanką Pawłowa i wracała zdenerwowana i zmartwiona po spotkaniach z nim w ministerstwie. Pawłow i Irina rzeczywiście poznali się dopiero kilka miesięcy temu. Ale Pawłow zna Irinę od wielu lat. A ona go nie zna. Zna natomiast niejakiego Władimira Nikołajewicza, o którym myśli przez cały dzień 12 października 1991 roku (jak wynika z terminarza), jak również tego dnia, kiedy studiuje dane statystyczne pochodzące z obwodu eńskiego. A 15 października w jej kalendarzu pojawia się numer służbowego telefonu głównego eksperta ze Sztabu MSW A.J. Pawłowa.

Nastia była przekonana, że prawda musi leżeć gdzieś pomiędzy tymi kilkoma prawdami.

\*\*\*

Wieczorem na biurku Gordiejewa znalazł się raport z obserwacji „politycznego przeciwnika” Kowalowa, Borysa Wasiljewicza

Rudnika. Gordiejew przez kilka minut pomrukiwał, czytając go i jak zwykle pogryzając zausznik okularów, a potem wezwał do siebie Nastię. – Anastazjo – zwrócił się do niej surowo – gdzie te twoje „dwieście”? Chcę wiedzieć, czy mogę odwołać z Interpolu naszych chłopców. Brakuje mi ludzi, w tym tygodniu dorzucili nam kolejne cztery zabójstwa. I jak? – Proszę odwołać – twardo odrzekła Nastia. – Jestem przekonana, że nic tam nie znajdą. Za to ja mam same zagadki. Ale róbmy, jak postanowiliśmy.

– Dobrze – od razu zmiękł Wiktor Aleksiejewicz. – Teraz o Kowalowie. Weź to i przeczytaj.

Podał jej raport. Nastia uważnie go przeczytała i gwizdnęła przeciągle.

– Ale numer! Naszego Rudnika, prócz chłopców, „prowadzi” jeszcze dwóch niezależnych szpicli. To się nazywa mieć powodzenie!

– Żebyśmy się nie spóźnili, Stasińko. Rudnik jedzie właśnie na lotnisko. Obawiam się, czy nie ma zamiaru odlecieć. Wywiadowcy obiecali zadzwonić, jak coś się wyjaśni. Jeśli odleci, cały nasz plan weźmie w łeb. Trzeba będzie wtedy wymyślać co innego. Nie możemy czekać, aż wróci.

Rozległo się pukanie i do gabinetu zajrzał Kola Siełujanow.

– Po co pukasz? – naskoczył na niego Gordiejew. – Ile razy mam ci powtarzać, że do gabinetu służbowego się nie puka. Chcesz tym podkreślić, że tu Bóg wie co się dzieje... – Podkreślił te słowa gestem dłoni. – Wiktorze Aleksiejewiczu, jak Boga kocham, nic takiego nie miałem na myśli. Ja z przyzwyczajenia – tłumaczył się

Siełujanow. – Byłem przez miesiąc w ośrodku wypoczynkowym, a tam, sam pan wie, wszędzie trzeba pukać...

– On nic takiego nie miał na myśli – nie przestawał burczeć Pączek. – Przez takich jak ty różne plotki później się rozchodzą. Żeby mi to było ostatni raz. Co tam masz? – Przyszedł asystent Fiłatowej, przyniósł jakąś teczkę. Wziąć od niego czy chcecie z nim porozmawiać? – popatrzył pytająco na Nastię.

Ta od razu się podniosła.

– Pójdę już, Wiktorze Aleksiejewiczu, dobrze? Jakby co – jestem u siebie.

\*\*\*

– Co to jest? – spytała Nastia, otwierając grubą zieloną teczkę.

– Monografia Iriny Siergiejewny. Piszę pracę doktorską o wskaźnikach przestępczości, więc dała mi poczytać, są tu ciekawe koncepcje na temat danych utajnionych.

Egzemplarz był prawie nieczytelny, widocznie czwarta kopia. Ciekawe, gdzie są pierwsze trzy? – Dawno to panu dała?

– Dawno, po sylwestrze. Przyniósłbym wcześniej, ale pomyślałem, że skoro macie pozostałe egzemplarze, to ten nie będzie wam potrzebny. A wczoraj powiedziano mi, że wasz pracownik interesował się monografią Iriny Siergiejewny. – Jak panu na imię?  
– Anton.

– Bardzo mi miło. Anton, nie wie pan przypadkiem, gdzie są pozostałe egzemplarze? Nie znaleźliśmy ich. – Jak to? – zdziwił się

szczerze Anton. – Leżały wszystkie razem w zielonych teczkach, wszystkie cztery egzemplarze. Irina Siergiejewna przy mnie wyjmowała je z sejfu. Powiedziała, że trzy egzemplarze pójdą do działu wydawniczego, a czwarty nie jest jej potrzebny i mogę go sobie zatrzymać. Nie rozumiem! Nastia wzruszyła ramionami.

– Proszę mi powiedzieć, Anton, był pan kiedyś w Ensku? – Oczywiście. – Uśmiechnął się szeroko.

– Czy Irina Siergiejewna nie prosiła pana, by przywiózł jej pan stamtąd dane statystyczne dotyczące śledztwa wstępnego?

Nastia zadała pytanie pro forma, bo знаła już odpowiedź, ale reakcja Antona jej się nie spodobała. Zesztywniał, jak zwierzę wyczuwające niebezpieczeństwo.

– I jak, Anton? Prosiła czy nie? Tylko niech pan nie próbuje kłamać, wiem, że prosiła. I wiem, jakie dane pan jej stamtąd przywiózł. Proszę popatrzeć. Te? Nastia podała mu kartkę Fiłatowej. Anton zerknął na nią przelotnie i bez słowa skinął głową.

– Dlaczego rozmowa na ten temat pana niepokoi? – łagodnie spytała Nastia. – W tym, co pan zrobił, nie ma nic nielegalnego i nagannego.

Anton uparcie milczał, patrząc gdzieś w bok.

– Dobrze, zostawmy to – powiedziała niespodziewanie. – Kiedy pan przywiózł Irinie Siergiejewnie te dane? – Zeszłego lata, w sierpniu – odpowiedział z wyraźną ulgą Anton.

– Proszę sobie przypomnieć, jak to było. Co na ten temat powiedziała. Może coś panu wyjaśniła? – Zapytała, dokąd się wybieram w najbliższym czasie w delegację. Powiedziałem, że do Kiemierowa. Ona na to: „Szkoda. A do Enska pan się nie wybiera?”.

Odpowiedziałem, że Ensk mam zaplanowany na listopad, ale jeśli trzeba, mogę przełożyć delegację, to bez różnicy. Powiedziała wtedy, że będzie mi bardzo wdzięczna, jeśli pojedę najpierw do Enska, bo potrzebuje danych statystycznych do pracy, a w GIC Moskwy ich nie ma, są natomiast w oddziale terenowym. Wyjaśniła, o jakie dane chodzi. I to wszystko.

– Czy rozmawiała z panem kiedykolwiek wcześniej o tym Ensku?

– Muszę się zastanowić... Chyba nie. Tylko raz zapytała, gdzie oni się bronią.

– Co robią? – nie zrozumiała Nastia.

– Gdzie prawnicy z Enska bronią swoich prac doktorskich – cierpliwie wyjaśnił Anton.

– No i gdzie?

– Zwykle w Moskwie albo w Jekatierinburgu, na uczelni. Tak jej właśnie powiedziałem.

– I nic więcej?

– Nic.

– Jeszcze jedno pytanie, Antonie. Czy Irina Siergiejewna wspominała kiedykolwiek w związku z Enskiem o Władimirze Nikołajewiczu?

– Nie pamiętam. Nie, chyba nie.

– A nazwisko Pawłowa?

– Nie.

– A bez związku z Enskiem? Wspominała?

– Oczywiście. Szukała jego autoreferatu. A ściślej mówiąc, ja go szukałem, na jej polecenie. – Kiedy to było?

– Jakiś rok temu. Powiedziała, że to bardzo ciekawa praca i dobrze by było, żebym ją przeczytał, ale nie pamięta, kto jest autorem, zna tylko tytuł. Znalazłem ten autoreferat w bibliotece Akademii MSW. Nazwisko autora Pawłow.

– Teraz, Antonie, proszę uważać. Chcę wiedzieć dokładnie, co było najpierw, a co – potem. Dokładnie. – Najpierw był autoreferat, jestem absolutnie pewny. Pamiętam, że przepisywałem ze strony tytułowej dane bibliograficzne dla Iriny Siergiejewny, ale nie czytałem go, spieszyłem się. Jeszcze wtedy pomyślałem: do zamknięcia biblioteki na wakacje mam cały miesiąc, przeczytam następnym razem. W akademii biblioteka jest nieczynna od pierwszego sierpnia do pierwszego września. Potem miałem tyle spraw, że w końcu nie przeczytałem. Otóż, kiedy przywiozłem jej dane bibliograficzne, zobaczyła, że praca została napisana w katedrze prawa karnego na wydziale prawa na uniwersytecie eńskim i zapytała, gdzie bronią się mieszkańcy Enska. A kiedy jej odpowiedziałem, wzruszyła ramionami i mruknęła: „A ten się bronił nie wiadomo czemu w Saratowie”. A o delegacji rozmawialiśmy przed sierpniowymi wydarzeniami, wyleciałem do Enska w przededniu puczu. – Wróćmy jednak do Enska – płynnie nakierowała Nastia, widząc, że Anton trochę się uspokoił. – Jest pan rozsądnym człowiekiem, prawnikiem, zdaje pan sobie sprawę, że chodzi o zabójstwo. Pańska próba ukrycia informacji nie ma sensu. Im dłużej będzie pan milczał, tym bardziej będziemy naciskać i nie damy panu spokoju, póki pan nam nie powie, co pan zrobił w Ensku takiego, o czym nie chce pan powiedzieć. Irinie Siergiejewnie nie może już pan zaszkodzić, ona nie żyje. Boi się pan o siebie? Proszę pana, jesteśmy dorośli; i cokolwiek pan tam w Ensku narozrabiał,

nie będziemy grozić paluszkami, zwłaszcza że spełniał pan prośbę swego promotora, osoby, od której był pan zależny. Postaram się zgadnąć, co pan zrobił, zgoda?

Anton wciąż siedział ze wzrokiem wlepionym w ścianę.

– Po uzyskaniu komputerowych danych dla Iriny Siergiejewny poszedł pan do kartoteki i poprosił o karty ze sprawami karnymi z kilku lat, które zostały zamknięte na podstawie paragrafu drugiego artykułu sto dziewięćdziesiąt pięć. Zgadza się? Wystraszony chłopak skinął głową.

– A potem? Co pan zrobił potem? Kopie?

– Nie. – Anton wziął głęboki wdech, jak przed skokiem do wody.

– Wypisałem tylko nazwiska śledczych i oskarżonych oraz numery paragrafów. Daję słowo, to wszystko.

– Kto panu pozwolił to zrobić?

– A, co tam – Anton z rezygnacją machnął ręką. – Mnie tam wszyscy znają, nikt mnie nie pilnował. – Gdzie są teraz te notatki?

– Nie wiem. Oddałem Irinie Siergiejewnie.

– I żadnych nazwisk oczywiście pan nie pamięta?

– Jedynie śledczych, i to nie wszystkich, tylko tych, których nazwiska często się pojawiały. Oskarżonych oczywiście nie.

– Proszę napisać, co pan pamięta. – Nastia podała mu kartkę papieru.

Podczas, gdy Anton przypominał sobie nazwiska śledczych, Nastia odszukała telefonicznie Miszę Docenkę i poprosiła go, by natychmiast przyjechał. – Anton, będzie pan musiał trochę tu

zostać. Zaraz przyjedzie nasz pracownik i pomoże panu przypomnieć sobie nazwiska podejrzanych.

– Powiedziałem przecież, że nie pamiętam.

– Tak się panu tylko wydaje – uśmiechnęła się Nastia. – W rzeczywistości nie umie pan sobie przypomnieć. A Michaił Aleksandrowicz tego się specjalnie uczył.

Anton siedział zasepiony. Denerwuje się – pomyślała ze współczuciem Nastia. – Spełnił prośbę pani promotor i ściągnął na siebie kłopot.

– Proszę posłuchać – odezwał się nagle Anton. – W październiku bronię pracy doktorskiej. Jeśli mam dostać nagane, czy można to zrobić nie przed obroną, ale po...?

– Niech pan nie wygaduje głupstw, Anton – zirytowała się Nastia. – Pan jest jak dziecko, naprawdę! Nikt nie ma zamiaru pana karać, nikt niczego się nie dowie. Co, pierwszy raz jest pan na milicji?

Anton wymijająco pokręcił głową, ale trochę się uspokoił. Nastia sprzątnęła z biurka wszystkie papiery, zamknęła je w sejfie, zostawiła asystenta samego w gabinecie i poszła do Gordiejewa.

– W porządku, Anastazjo – poinformował ją z ulgą pułkownik. – Rudnik nigdzie nie poleciał. Odprowadził żonę na samolot i wrócił do miasta.

– Na urlop? – Nastia zapytała prawie odruchowo, myślami była daleko od Rudnika, a tym bardziej od jego żony. Ale prawie podskoczyła, usłyszawszy odpowiedź Gordiejewa.

– Do Enska. Chyba do rodziców. Przeprowadzili się stamtąd do Moskwy jakieś półtora roku temu. Słynne miasto Ensk! Czy nie za

często ostatnio się pojawia? Nastia podzieliła się z szefem swymi wątpliwościami.

– Może Rudnik zna Pawłowa? Można by to wykorzystać. Powiedziałaś Pawłowowi, że idziesz na urlop?

– Owszem. Tak jak umówiliśmy się.

– Świetnie. Zróbmy więc tak...

\*\*\*

Wracając do siebie, Nastia usłyszała przez drzwi ożywione głosy. W gabinecie śmiali się po przyjacielsku Anton i Misza Docenko. Jak się okazało, studiowali razem w Omskiej Szkole Milicyjnej i teraz wspominali wspólne młodzieńcze figle. Tatuś jak zawsze ma rację, pomyślała Nastia, wszędzie spotykasz swoich. Dobrze, że Pawłow nie zdążył jeszcze obrosnąć znajomościami w moskiewskim światku milicyjnym. To by bardzo utrudniło pracę.

Położyła przed sobą wykaz przebiegu służby Pawłowa. Z wykształcenia prawnik, pracował w organach partyjnych i administracji, w 1986 roku został awansowany w obwodowym Urzędzie Spraw Wewnętrznych na stanowisko kierownika wydziału śledczego. Kto mógł wpaść na taki pomysł? Zresztą nie ma się czemu dziwić, w tamtych czasach uważano za normalne kierowanie działaczy partyjnych na dowolne stanowiska kierownicze, w celu „wsparcia”. Wygląda więc na to, że Pawłow słabo się zna na pracy śledczej. Nie jest profesjonalistą. Zawód – dyrektor. Sądząc po sposobie myślenia – typowa baba w spodniach. Nastia bardzo lubiła opowiadanie Arkadija Awierczenki *Kłamstwo* i często je czytała.

Życie potwierdzało opinię satyryka: kobieta, żeby ukryć jakieś głupstwo, wznosi prawdziwą wieżę kłamstw, ogromną niczym wieża Eiffla, przy czym robi to nieudolnie, konstrukcja w każdej chwili może się zawalić, a ona podpira ją jeszcze większym kłamstwem, grzęznąc w nim, jak mucha w łyżce miodu. Umysł męski różni się tym, że mężczyźni wolą niedopowiedzianą prawdę i nie ryzykują przyłapania na jakimś głupstwie. Jaką więc prawdę chce pan, panie Aleksandrze Jewgienjewiczu, ukryć, maskując ją bajkami o nieziemskiej miłości?

Wpadł po klej i nożyce Kola Siełujanow. Kiedy Nastia szukała, podszedł do otwartego okna i wyjrzał na zewnątrz.

– Aśka, a gdzie twój wielbiciel? Coś go dziś nie widzę. – Jaki wielbiciel?

– Ten, co czekał na ciebie po pracy. Przedwczoraj też go widziałem.

– Żartujesz!

Nastia przyzwyczała się do ciągłych żartów i podpuszczania Siełujanowa. Ale tym razem złe przecucie ścisnęło jej żołądek.

– Kola, pytam cię poważnie. Nie mam żadnego wielbiciela, w ogóle nikogo nie mam prócz Loszki. Ale Loszkę przecież znasz.

– Widocznie weszłaś komuś w drogę. Potrzebujesz pomocy?

Kola, znany żartowniś i gaduła, zawsze dobrze wyczuwał granicę pomiędzy grą i realnym niebezpieczeństwem i potrafił natychmiast przejść na poważny ton. – Nie mam... pojęcia...

Nastia była w rozterce. Rzeczywiście nie bardzo wiedziała, co się robi w takich wypadkach. Ależ jest głupia, oburzała się na Pączka, nie wiedząc, po co ją trzyma w ukryciu, czemu chowa przed

wszystkimi. I oto przestał ją chować, „oddał” Pawłowowi, i okazało się, że Nastia nie daje sobie rady...

– Zaczekaj, nie denerwuj się. Zaraz wracam. Kola szybko wrócił z pękiem kluczy.

– Pączek powiedział, żebym cię zawiózł do mieszkania jego syna, jest teraz na wsi. Jedziemy najpierw do ciebie, spakujesz się i wyprawimy cię na urlop. Nie bój się – dodał, zauważywszy, że zbladła. – Zgubimy go. Mnie to nie pierwszozna.

Nastia Kamieńska bała się niepotrzebnie. Wiadomość, że idzie na urlop, dotarła do kogo trzeba, więc przestano ją śledzić, bo, nie stanowiąc już niebezpieczeństwa, wypadła z gry. Usługi prywatnych firm detektywistycznych sporo kosztują, po co niepotrzebnie wyrzucać pieniądze.

\*\*\*

Gordiejew junior miał duże, rozkładowe mieszkanie z wielkim kwadratowym przedpokojem. Siełujanow postawił na podłodze pojemną torbę podróżną, krytycznie obejrzał zamek w drzwiach, zajrzał do pokoi. – Czuj się jak w domu. Pączek kazał ci powiedzieć, żebyś się nie krępowała. No to lece.

Pożegnawszy Kołę, Nastia zaczęła rozpakowywać rzeczy. Wyciągnęła ładne kolorowe topy, spódnice, dwie pary jasnych modnych spodni, trzy pudełka z butami. Chociaż przez okrągły rok chodziła do pracy w tych samych dżinsach, miała w co się ubrać, bo zaopatrywała ją mieszkająca za granicą matka. Nastia tych rzeczy nie nosiła, ale uwielbiała je przymierzać przed lustrem.

Rozłożywszy ubrania na krzesłach, wyciągnęła z dużej torby mniejszą. Miała w niej swoje zabawki, jak mawiał ojciec, śmieszne hobby – jak określała matka, najlepszą rozrywkę – jak sama uważała. Ustawiła na stole mnóstwo flakoników, słoiczków, pudełeczek, zamszowych futerałów. Obok położyła kilka grubych, pięknie wydanych żurnali. Ale była już zbyt zmęczona. Zajmie się tym jutro.

Zrobiła sobie spanie na kanapie w małym pokoju, wzięła prysznic, położyła się i otworzyła zieloną teczkę, w której leżał czwarty egzemplarz monografii Iriny Siergiejewny Fiłatowej.

\*\*\*

Z budynku Biblioteki Lenina wyszła zgrabna kobieta o kasztanowych włosach i wesoło postukując wysokimi obcasami eleganckich sandałów, skierowała się w stronę Wojentorgu, skręciła za róg i wsiadła do ciemnowiśniowego moskwicza aleko.

– No i jak? – zapytał ją siedzący za kierownicą mężczyzna. – Zapoznałaś się?

Kobieta skinęła głową.

– Zachwycające. – Zamilkła, dobierając słowa. – Język, logika, precyzyjne sformułowania – po prostu wspaniałe. Wyjątkowa praca.

– I jaki z tego wniosek?

– Jaki może być wniosek? – Kobieta wyjęła z torebki lusterko i zaczęła poprawiać makijaż. – Wyjątkowe prace piszą wyjątkowi autorzy. Oto cały wniosek. Nie spóźnię się?

Mężczyzna zerknął na zegarek. – W porządku. Zdążysz.

\*\*\*

Aleksander Jewgienjewicz Pawłow z galanterią czekał na swego gościa, stojąc w cieniu na schodach, przy szklanych drzwiach obrotowych.

– Dzień dobry, Łariso.

Ucałował wyciągniętą rękę, ściskając dłoń trochę dłużej, niż wypadało.

– Aleksandrze Jewgienjewiczu – zaczęła Lebediewa, kiedy Pawłow przygotował jej w swym gabinecie kawę i dał do zrozumienia, że można zaczynać. – Rozumiem, że jest pan człowiekiem zajęтым, dlatego postaram się nie zabierać panu dużo czasu.

– Robi mi pani przykrość, Łariso – żartobliwie obraził się Pawłow.  
– Pragnę spędzić z panią jak najwięcej czasu.

– Pokazałam materiał z pańskim wywiadem redaktorowi – niewzruszenie odparła kobieta, nie podchwytyjąc lekkiego tonu. – Jest bardzo zainteresowany pańską koncepcją. Polecono mi, bym zrobiła nie, jak było wcześniej planowane, krótki wywiad, tylko rozwinęła go w obszerny artykuł. Żeby zbytnio panu nie przeszkadzać, przeczytałam w Lenince\* pańską pracę doktorską. Nie musi pan mi wyjaśniać szczegółowo wszystkich niuansów i detali.

Możemy teraz uzgodnić plan wywiadu i pytania, które chciałabym panu zadać. A odpowiedzi napiszę sama na podstawie pańskiej pracy. Zgadza się pan na to?

– Niezmiernie mi pochlebia, że ktoś czytał moją pracę, zwłaszcza pani. Do głowy by mi nie przyszło, że może kogoś zainteresować.

– Niech pan nie będzie przesadnie skromny, Aleksandrze Jewgienjewiczu. – Lebediewa uśmiechnęła się uwodzicielsko. – Dobrze pan wie, jaką wagę przywiązuje się teraz do problemu walki z korupcją. Nie dalej jak w środę ogłosił pan publicznie, że będzie bronił swojej koncepcji. Ale nie odpowiedział mi pan na pytanie. Zgadza się pan na moją propozycję?

– Całkowicie, jeśli pani sobie tego życzy – odparł sucho Pawłow.

– A pan? – Czekoladowe oczy błysnęły, pełne usta rozchyliły się, jakby chciała podpowiedzieć Pawłowowi potrzebną odpowiedź. I ten od razu zrozumiał, czego się od niego oczekuje.

– Proszę się ze mną nie droczyć, Łariso. – Zmusił się do uśmiechu. – Przecież widzi pani, że jestem panią oczarowany. Przystanę na każdą propozycję, która będzie pani odpowiadała. Ale w zamian chciałbym zaprosić panią na kolację.

– Zgadzam się. Jeśli wszystko już ustaliliśmy, bierzmy się do pracy.

Przez jakiś czas byli pochłonięci układaniem pytań, na które Łarisa miała później sama, bez pomocy Pawłowa, sformułować odpowiedzi.

– Uściślijmy kilka momentów. Powołuje się pan na sondaż przeprowadzony przez Amerykanów wśród radzieckich obywateli pod koniec lat siedemdziesiątych. Co to był za sondaż, jak

wybierano respondentów? Chciałabym, żeby to znalazło się w artykule.

– Sądzi pani, że to jest konieczne? – zawahał się Pawłow. – Według mnie, to nic ciekawego. Nie włączajmy tego.

– Dobrze – potulnie zgodziła się dziennikarka. – Krytykuje pan pracę Susan Rose-Ackerman, która proponuje model matematyczny, pozwalający określić możliwość brania łapówek przez urzędników w zależności od określonej struktury hierarchicznej. Dlaczego pan się z jej modelem nie zgadza i czym różni się od niego pańska koncepcja?

– Ależ, Łariso, chce pani zamęczać czytelników takimi szczegółami? Po co im matematyka? Przeczytają do tego miejsca i zaczną się nudzić. Po co psuć materiał – przekonywał Pawłow. – Jak pan chce. To pański wywiad.

Ale wyglądało na to, że Łarisa wcale się nie obraziła. – Pisze pan, że opierał się na klasycznej definicji korupcji. Sam pan przetłumaczył z angielskiego to sformułowanie, czy korzystał pan z przekładu rosyjskiego? – Gdzieś to przeczytałem. Teraz już nie pamiętam gdzie. Dużo jeszcze ma pani pytań?

– Dużo – całkiem poważnie odparła Lebediewa. – Ale boję się pana zanudzać, bo jeszcze zostawi mnie pan bez kolacji.

Kiedy kelner przyniósł kawę, Łarisa popatrzyła na zegarek.

– Mam jeszcze trzydzieści minut.

– A co będzie za trzydzieści minut? Wybije zegar i zamieni się pani z księżniczki w kopciuszka? – zażartował Aleksander Jewgienjewicz.

Łarisa uniosła brwi, jej usta rozciągnęły się w lekkim uśmiechu, ale oczy wcale się nie uśmiechały. Były poważne i dziwnie nieruchome. Jak ukryta w lesie pułapka – pomyślał Pawłow. – Podstępnie czekająca na zdobycz. Niebezpieczna bestia.

– Za pół godziny przyjedzie po mnie mąż. Nie sądził pan chyba, że będę wracała wieczorem sama transportem miejskim.

– Odprowadziłbym panią. Z ogromną przyjemnością. – Pieszko? Czy taksówką? – Łarisa roześmiała się cicho swym ochrypłym śmiechem. – Proszę nie robić sobie kłopotu, Aleksandrze Jewgienjewiczu. Mąż jest teraz u rodziców na Bronnej. Za pół godziny będzie czekał na mnie obok McDonalda, więc nie ma problemu. Jeśli pójdziemy już teraz, możemy spokojnie się przespacerować.

Poszli powoli bulwarem od Arbatu w stronę Twerskiej. Kobieta czuła gorzkawy zapach wody toaletowej swego towarzysza. Podobał jej się jego cichy napięty głos, niedopowiedziane wieloznaczne zdania, podobało się, jak dotykał jej nagiego ramienia, niby przypadkowo, ale pożądliwie. Przyjemnie było czuć, że się komuś podoba. Chociaż sam Pawłow wcale się jej nie podobał. Nie dochodząc do McDonalda, Łarisa się zatrzymała. – Czeka na mnie. Pójdę dalej sama. Zadzwoń do pana.

Przysunęła się na chwilę do Pawłowa, tylko na tyle, by dotknąć go lekko piersią i żeby poczuł słodki zapach jej perfum. Potem gwałtownie się odwróciła i prawie pobiegła do srebrzystego volvo, zaparkowanego na rogu Twerskiej.

Samochód był inny, ale kierowca ten sam.

– Ależ wóz – powiedziała kobieta z zachwytem, zatraskując drzwi.

– Jestem w końcu pracownikiem MSZ – uśmiechnął się mężczyzna za kierownicą. – Gdybyś powiedziała, że jestem ślusarzem, przyjechałbym moskwiczem. Kobieta roześmiała się.

– Dimka, jesteś cudowny. Jedź szybciej do domu, oczy mnie bołą – dłużej nie wytrzymam. Jakby mi ktoś piasku nasypał. Nie zapomniałeś, że nocujesz dziś u mnie?

– Jakże mógłbym o tym zapomnieć – zażartował Dima. – Nie każdy ma takie szczęście – spędzić noc z samą Nastią Kamińską.

\*\*\*

Weszli do mieszkania Gordiejewa juniora – udając na wszelki wypadek parę małżeńską. Nastia natychmiast padła na fotel, wyciągając nogi.

– Boże, jak mnie wszystko boli! – wystękała. – Co za męczarnia. Sandałki chyba przyrosły mi do stóp. Hej! Jesteś moim mężem, czy nie? Pomóż chorej żonie. Zacharow ukląkł przed nią i zaczął ostrożnie zdejmować jej buty.

– Masz piękne nogi – powiedział, przeciągając palcem od łydki do kolana.

– Dopiero teraz zauważyłeś? – zapytała ironicznie Nastia.

– Przecież cały czas jesteś w dżinsach, jak miałem zauważyć.

– Podaj mi, proszę, tamto pudełeczko – poprosiła.

Zdjąwszy wieczka z dwóch plastikowych pojemniczków z solą fizjologiczną szybko i zręcznie wyjęła z oczu szkła kontaktowe,

które zmieniały jej jasne tęczówki w czekoladowobrązowe.

– Od razu lepiej. – Odetchnęła z ulgą. – Długo tak będziesz siedział na podłodze?

– Długo. Stąd wygodniej się patrzy.

Nastia odchyliła się na oparcie fotela i zamknęła oczy. Odpoczywała.

– I co tam widzisz ze swego wygodnego miejsca? – zapytała, nie unosząc powiek.

– Że jesteś bardzo ładna.

– Nie wygłupiaj się. To tylko makijaż. Zaraz się pozbieram, pójdę do łazienki, zmyję z siebie całą tę charakteryzację, zdejmę te szmatki i znów zamienię się w szarą myszkę.

Nastia mówiła powoli, leniwie, ledwo ruszając ustami. Udawanie przez cały dzień energicznej dziennikarki z temperamentem dużo ją kosztowało.

– Pawłow chyba umierał z pożądania? – Tak – obojętnie potwierdziła Nastia. – A ty? Ciebie to nie podnieca?

– Nie. Gdyby to był kto inny, a nie Pawłow, wtedy co innego.

– A ja?

– Co ty?

Dima ostrożnie pocałował ją w kolano. Nastia nawet się nie ruszyła.

– Jesteś bardzo ładna.

– Już to mówiłeś. Mam dobrą pamięć.

– I znów powtórzę.

- Po co?
- Żebyś sobie zapamiętała.
- Już zapamiętałam.
- Ale nie uwierzyłaś?
- Nie.
- A czemu wybrałaś akurat taki typ urody? Pawłow lubi rude?
- Nie wiem. – Nastia lekko wzruszyła ramieniem.
- Po prostu zobaczyłam taką kobietę na ulicy, spodobała mi się. Skopiowałam ją.
- A kogo jeszcze potrafisz udawać?
- Kogo chcesz. Wiele lat ćwiczyłam. Mam takie hobby – lubię zmieniać powierzchowność. Moja mama często jeździła za granicę, przywoziła mi stamtąd różne zabawki.
- Jakie zabawki?
- No, kosmetyki, farbę do włosów, szkła kontaktowe w różnych kolorach. Resztę sama wymyślałam. Uczyłam się zmieniać głos, gesty, chód. To pozwala się oderwać. – Od czego?
- Od myśli o marności istnienia. – Uśmiechnęła się. – Więc jak wyrzucą mnie z milicji, nie zostanę bez pracy. Będę podkładać głos w filmach.
- Dima przysunął się bliżej, kładąc jej głowę na kolanach.
- Jeśli potrafisz takie rzeczy, czemu tego nie wykorzystujesz?
- Nastia leniwie podniosła rękę, bezwładnie zwisającą z oparcia fotela, i zatopiła palce w jego włosach.
- Po co oszukiwać swoich? Jestem jaka jestem.

- Faceci uganiałoby się za tobą.
  - Nie bawi mnie to.
  - Dlaczego? Normalną kobietę by to bawiło.
  - Nie jestem normalną kobietą. Ja w ogóle nie jestem kobietą. Jestem chodzącym komputerem. A poza tym i tak by mnie kiedyś zobaczyli po prysznicu. I cała ich miłość od razu by wyparowała.
  - Nie przesadzaj. Jesteś normalną, młodą, ładną kobietą. Tylko ognia w sobie nie masz.
  - Ognia nie mam – zgodziła się Nastia.
  - Może nie chcesz go zapalać?
  - Może nie chcę. Przestań mnie namawiać. Jestem zmęczona. Nie mam sił, by dojść do łazienki, a ty mi opowiadasz o porywach namiętności. No, nie mam tego w sobie, co na to poradzę?
  - Chcesz, to ci pomogę.
  - W czym? – Nastia otworzyła oczy i popatrzyła uważnie na Zacharowa.
  - Dojść do łazienki. Skoro nie masz w sobie namiętności, niczego nie musisz się obawiać.
  - Pomóż. – Znów bezsilnie zamknęła oczy.
- Dima odkręcił wodę w łazience, nalał płynu do kąpieli i wrócił do pokoju. Nie podnosząc Nasti z fotela, zdjął jej minispódniczkę, potem ostrożnie, starając się nie dotykać jej ciała, ściągnął turkusowy top.
- Ależ piersi! – Pokręcił z wyrzutem głową. – Trzeba naprawdę siebie nie lubić, żeby ukrywać takie cudo.
  - Bo nie lubię – odparła z zamkniętymi oczami Nastia.

– To co ty lubisz?

– Rozwiązywać zagadki.

Wziął ją na ręce, zaniósł do łazienki i ostrożnie zanurzył w wannie. W gorącej wodzie szybko doszła do siebie, jej blade policzki poróżowiały. Dima usiadł na brzegu wanny, wciąż przyglądając się z ciekawością jej umytej twarzy.

– Ile razy Pawłow widział cię bez charakteryzacji?

– Dwa.

– Nie bałaś się, że cię rozpozna? Lubisz ryzykować.

– Żadnego ryzyka. Trudno mnie zapamiętać. Jestem nijaka. Ty znasz mnie tyle lat, a opisać byś nie potrafił. Nie mam w sobie nic wyjątkowego.

– Kto ci powiedział, że jesteś nijaka? Sama to wymyśliłaś?

– Ojczym. Przypadkowo. Miałam wtedy piętnaście lat. Rozmawiał przez telefon, myślał, że go nie słyszę. Beształ kogoś za to, że wysłali gdzieś zbyt rzucającego się w oczy chłopaka. Pracował wtedy jeszcze w wydziale kryminalnym. I mówi: „Powinien być taki jak moja Aśka, nijaki. Sto razy przejdiesz obok i nie zapamiętasz”. Ja oczywiście w płacz. Zrozumiał, że usłyszałam, rzucił się mnie pocieszać. I właśnie wtedy powiedział: „Masz twarz jak czysta kartka papieru. Można na niej namalować, co się chce. I piękno, i brzydotę. To rzadki dar natury, trzeba umieć z niego korzystać”. Poza tym, Dima, zwykle nie zapamiętujemy rysów twarzy, tylko kolor, mimikę, ruchy, głos, sposób zachowania. A to wszystko łatwo zmienić, jak się chce. Powtarzam więc, żadnego ryzyka nie było.

– Głos przy nim też zmieniałaś?

– Oczywiście.

– Powiedz coś, ciekaw jestem, jak to brzmiało – poprosił Dima.

Nastia powiedziała niskim głosem, w którym wyraźnie pobrzmiwała anglojęzyczna intonacja:

– Wydaje mi się, Dmitriju Władimirowiczu, że pan próbuje mnie uwieść. Zakładam, że jest pan człowiekiem rozsądnym i zdaje pan sobie sprawę, że nie ma pan żadnych szans.

Ześlizgnęła się w dół i aż po podbródek ukryła w białej pianie.

\*\*\*

– No i jak, doszłaś do siebie? – zapytał Zacharow, kiedy Nastia wyszła z łazienki, otulona w szlafrok.

– Zaparzyłem herbatę. Siadaj i opowiadaj.

– Nie wolno mi pić herbaty na noc – pokręciła głową Nastia. – Zjem jabłko. No więc, Dimula. Po pierwsze. Aleksander Jewgienjewicz Pawłow dobrze się orientuje w swojej pracy doktorskiej, pamięta ją i dość spójnie streszcza. Ale jestem przekonana, że sam jej nie napisał. Tylko rzetelnie nauczył się jej treści. Nie umiał odpowiedzieć na żadne pytanie, na które odpowiedziałby każdy prawdziwy autor.

– Wygląda na to, że Fiłatowa nie przesadzała, kiedy mówiła mi w samochodzie, że szefom piszą prace doktorskie profesorowie. Szczerze mówiąc, nie uwierzyłem jej.

– Błąd. To jest bardzo częsta praktyka. Specjalnie to sprawdzałam. Po drugie. Swoją monografię Irina Siergiejewna Fiłatowa napisała z

całą pewnością sama. Wśród jej papierów są przekłady wszystkich zachodnich prac, na które się powołuje, przy czym przekłady nie publikowane, ale własne. Dobrze znała angielski. Styl, tok rozumowania, ujęcie – wszystko wskazuje na jej autorstwo. – A co, były jakieś wątpliwości?

– Sam pomyśl. Plan na przyszły rok jest układany we wrześniu. Do tego czasu Fiłatowa przez dłuższy okres odmawia pisania pracy habilitacyjnej, jest zawałona bieżącą robotą. Wreszcie po długich namowach zgłasza swoją monografię, by włączyli ją do planu wydawniczego, dzieje się to we wrześniu zeszłego roku, a już w okolicach Nowego Roku książka jest gotowa do druku. Jej asystent otrzymał egzemplarz od razu po świętach, jak twierdzi. Kiedy zdążyła ją napisać?

– Zdarza się przecież, że są wszystkie materiały i szkic pracy, zostaje tylko połączyć je w całość. To nie zajmuje dużo czasu.

– Zdarza się – zgodziła się Nastia. – Ale gdzie jest ten szkic? Nic nie znalazłam, najmniejszej karteczki. Coś takiego jest możliwe, jeśli ktoś jej tę książkę napisał. Albo jeśli ukradła komuś rękopis. Ale to nie wchodzi w tym przypadku w grę, bo, powtarzam, że nie mam żadnych wątpliwości, iż to ona jest autorką.

– Czy widzisz jakiś związek między pracą doktorską Pawłowa i tą monografią? – zapytał z niedowierzaniem Dima.

– Jak najbardziej. – Nastia westchnęła. – Teksty są absolutnie identyczne. Co do słowa. Tylko tytuły się różnią. U Pawłowa – *Charakterystyka kryminologiczna deliktów konsensualnych w radzieckiej administracji państwowej*, a u Fiłatowej *Kryminologia. Korupcja. Władza*. W zasadzie tytuły też niewiele się różnią, delikty

konsensualne – to eufemizm, charakterystyczny dla okresu, w którym bronił się Pawłow. W rzeczywistości to zawoalowana nazwa korupcji.

– Nic nie rozumiem. W osiemdziesiątym siódmym roku ktoś pisze Pawłowowi pracę, a po czterech latach Fiłatowa pisze taką samą? Nastia, nie wciskaj mi kitu. – A nie pomyślałeś, że tym „kimś” była właśnie Fiłatowa? Czemu by nie miała napisać dla Pawłowa praca za pieniądze? Wtedy przynajmniej zgadzałyby się, że Pawłow zna ją od dawna, ale nie chce przyznać, że ich stosunki były czysto biznesowe, więc udaje miłość. Tu wiele rzeczy się nie zgadza, masz rację, ale jako wstępna hipoteza jest całkiem do przyjęcia. Wyjaśnia, w każdym razie, brak brudnopisów i niebywałą szybkość napisania książki. Pawłow musiał Irinę czymś bardzo urazić, że zdecydowała się na publikację dawno napisanej pracy. Gdyby Pawłow to nagłośnił i oskarżył ją o plagiat, bez problemu udowodniłaby własne autorstwo.

– I co ci się tu nie zgadza? Według mnie to jest bardzo możliwe.

– Nie, w tej hipotezie jest więcej dziur niż powiązań. W jednej dziurze zginął mi autoreferat pracy doktorskiej Pawłowa, której Fiłatowa szukała według tytułu, a nie nazwiska autora. Z innej dziury sterczy głowa jakiegoś Władimira Nikołajewicza. A tak w ogóle to do niej niepodobne: napisać komuś pracę, wziąć za to pieniądze, a potem próbować za pomocą tejże pracy zrobić habilitację. Jakby chciała nieuczciwie zebrać drugi raz plon z tego samego zasiewu. Coś mi tu nie pasuje. Jeśli napisała pracę dla pieniędzy, nie publikowałaby książki. I odwrotnie, opublikowałaby książkę, gdyby nie było tej historii z pracą doktorską Pawłowa. Albo

– albo. I analiza danych statystycznych z Enska nie wpisuje się w ten schemat. Irina wyraźnie szukała haków na Pawłowa. Po co?

– Może po to, żeby nie podskakiwał, kiedy ukaże się książka?

– Zbyt skomplikowane. – Nastia pokręciła głową. – Nie musiała się tego obawiać. Każda ekspertyza filologiczna potwierdziłaby jej autorstwo. A poza tym zamk nać usta Pawłowowi – to nie byłoby rozwiązanie. Każdy może przeczytać i pracę doktorską, i monografię, zwłaszcza że są poświęcone temu samemu problemowi. Nie, to co innego. Ale najważniejsze, że nie wiadomo, jaki to wszystko ma związek z zabójstwem. Idziemy spać, Dimula. W łóżku lepiej się myśli.

– Kobieta, której łóżko kojarzy się z miejscem do rozmyślań, jest beznadziejna – żartobliwie westchnął Dima.

Ale nie miał racji, Nastia wcale nie była tak beznadziejna. Po prostu przyzwyczaiła się do rozwiązywania zagadek stopniowo, w miarę ich pojawiania się. Leżąc w łóżku w małym pokoju mieszkania młodszego Gordiejewa, po raz kolejny próbowała ułożyć równanie, którego rozwiązaniem byłyby dwie identyczne prace i jeden trup. Była prawie czwarta nad ranem, kiedy równanie wreszcie się ułożyło.

Nastia wstała, zarzuciła szlafrok i poszła na paluszkach do pokoju, w którym spał Dima. Drzwi były otwarte na oścież i Nastia ostrożnie zajrzała do pokoju. – Dima – zawołała szeptem.

Ten od razu otworzył oczy, jakby w ogóle nie spał.

– Czemu nie śpisz? – zapytał też szeptem.

– Rozwiązałam.

– Co rozwiązałaś?

– Zagadkę. Wszystko już wiem. Mam nowe pytania, ale nie ma w tym już żadnych dziur.

Dima włączył lampkę u wezglowia i popatrzył na zadowoloną twarz Nasti i jej błyszczące radośnie jaskrawoniebieskie oczy.

– Wariatka! – powiedział cicho z uśmiechem. – Dla ciebie rozwiązana zagadka jest słodsza niż miód. Chodź tu.

Nastia wyciągnęła się obok niego na kanapie, objęła go za szyję i szepnęła z podnieceniem:

– Żeby już szybciej nadszedł poranek! Wtedy będę mogła coś sprawdzić...

– Dość tego – powiedział Dima, bezgłośnie, przytulając ją do siebie i całując. – Przestań już być mądrą dziewczynką. Bądź przez chwilę po prostu kobietą...

\*\*\*

– Myślę, że stało się coś takiego – opowiadała Nastia Gordiejewowi, który zjawił się u niej następnego dnia. – W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym, zostawszy szefem wydziału śledczego obwodowego urzędu spraw wewnętrznych, Pawłow postanawia zrobić doktorat, żeby móc awansować dalej. O tym, by samemu napisać pracę, nawet nie myśli. Zwraca się do pewnej osoby, nazwijmy ją pośrednikiem, żeby ta znalazła dla niego „murzyna”, chcącego zarobić dziesięć tysięcy. Tyle kosztowała w tamtych czasach gotowa praca doktorska, czyli ze wstępem, posłowiem, bibliografią i autoreferatem. Pośrednik znajduje Fiłatową, która bardzo potrzebuje pieniędzy, bo nie może sobie

ułożyć życia osobistego z powodu braku mieszkania. Jest w kulminacyjnym momencie romansu z chirurgiem Koreckim, który zakończyłby się pewnie rozwodem Koreckiego i jego małżeństwem z Fiłatową, gdyby mieli gdzie mieszkać. Irina podejmuje się napisania pracy i wszczyna starania w spółdzielni mieszkaniowej, licząc na obiecane honorarium. Ale Pawłowi jest człowiekiem ostrożnym. Stawia pośrednikowi warunek: „murzyn” nie może wiedzieć, dla kogo pracuje. Ani nazwiska, ani stanowiska, ani miasta, w którym mieszka zleceniodawca. Irina zna tylko jego wymyślone imię – Władimir Nikołajewicz, nie zna nawet jego telefonu. Kontaktuje się wyłącznie z pośrednikiem, który przekazuje zleceniodawcy jej zamiary. Czyli łączność między nimi jest jednostronna, „Władimir Nikołajewicz” sam dzwoni do Iriny, ustala z nią temat, treść rozdziałów i podrozdziałów, a kiedy ona oznajmia, że praca jest gotowa, wysyła po tekst pośrednika. I znika, nie zapłaciwszy tych dziesięciu tysięcy, na które tak liczyła Irina i których się nie doczekała. Fiłatowa nie wie, gdzie szukać nieuczciwego zleceniodawcy. Nie wie też, jak znaleźć pośrednika. Rozumie, że została oszukana. Będąc osobą jednocześnie drażliwą i dumną, nie próbuje szukać oszusta. I oczywiście nikomu o tym nie opowiada. Na razie usiłuje po prostu zapomnieć.

Mijają cztery lata, szef coraz uporczywiej namawia ją, by zajęła się pracą habilitacyjną, co jest wymagane na stanowisku głównego specjalisty. Fiłatowa zastanawia się, czy nie wykorzystać napisanej pracy. Może zleceniodawca jej nie bronił? Rozmyślił się, okoliczności się zmieniły, nie spodobał mu się tekst – mało to różnych powodów? Jeśli praca nie została obroniona, można wykorzystać rękopis. Zwraca się do swego asystenta i ten dostarcza

jej odpowiedź: praca została obroniona w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym siódmym roku, autor – Aleksander Jewgienjewicz Pawłow z Enska. Fiłatowa prawdopodobnie zasięga o nim informacji i dowiaduje się, gdzie i na jakim stanowisku Pawłow pracuje. Odzywa się jej dawna uraza, pogłębiona przez nieudane życie osobiste i lekceważące traktowanie nauki przez wysokich urzędników z ministerstwa. Zamknięta w sobie i bez reszty oddana pracy Irina żywi do Pawłowa taką nienawiść, o jaką trudno ją podejrzewać. Jest pewna, że człowiek, który ją wystawił do wiatru, nie może być uczciwy. Jako doświadczony analityk dobrze wie, gdzie szukać dowodów. Ale nie szuka haków na Pawłowa, bo nie ma zamiaru go szantażować, a tym bardziej nic udowodniać. Szuka czegoś, czym można by było go wystraszyć, śmiertelnie wystraszyć, a jeszcze lepiej – zniszczyć jako człowieka, zmusić, by żył w ciągłym oczekiwaniu na kłopoty. I znajduje. Znajduje nazwiska osób, które nie przebaczyłyby Pawłowowi za mieszania wokół jego osoby, bo wówczas mogłyby wyjść na światło dzienne ich własne grzeszki z przeszłości. A skandal na pewno by wybuchł, gdyby opublikowała swoją książkę i znalazłby się choćby jeden człowiek, który porównałby ją z pracą doktorską Pawłowa. Wtedy zgłasza książkę w dziale wydawniczym instytutu. Tymczasem Pawłow pojawia się w Moskwie, w Sztapie MSW. Irina nigdy go nie widziała, nazwisko ma dość rozpowszechnione, więc kiedy słyszy, że w ministerstwie zatrudniono nowego głównego eksperta Pawłowa, nie jest jeszcze niczego pewna. Zastanawia się, nawet zapisuje sobie jego służbowy telefon. Ale spotkają się później, dopiero zimą. Szef Fiłatowej pamięta, że to on przedstawił w swym gabinecie nowemu głównemu ekspertowi swego głównego specjalistę. Pawłow wie,

kogo ma przed sobą. Przez jakiś czas Fiłatowa trzyma go w napięciu, potem daje mu do zrozumienia, że rozpoznała w nim swego zleceniodawcę. Prawdopodobnie stało się to w marcu, dlatego że właśnie wtedy Pawłowa zaczął odwiedzać instytut, jak twierdzi Siemionowa, „z kwiatami i prezentami”. Można przypuszczać, że dowiedział się o zamiarach Iriny i próbował ją jakoś udobruchać. Widząc jednak, że to nie skutkuje, zmienił taktykę. Od połowy kwietnia zaczęły się wezwania do ministerstwa i zamieszanie z poprawianiem dokumentów. W rzeczywistości Pawłowa wykorzystuje każdy powód, żeby zobaczyć się z Iriną, uparczywie próbuje ją złamać za pomocą pieniędzy, pogroźek i innych środków. Siemionowa twierdzi również, że Irina nie umiała nikomu odmówić, była miękka i uступliwa. Bóg jeden wie, ile ją kosztowało, by nie ugiąć się przed Pawłowem. Po ich rozmowach wraca do instytutu wykończona i zdenerwowana. Widocznie uraza była zbyt silna. Fiłatowa nienawidziła oszustwa.

Ale Irina coś przegapiła, czegoś nie wzięła pod uwagę, ponieważ Pawłowa wystraszył się skandalu bardziej, niż się spodziewała. Na tyle, że zaczął się obawiać o swoje życie. Było w tej sytuacji coś takiego, o czym Irina nie wiedziała i nie mogła wiedzieć, a Pawłowa nie mógł i nie miał prawa jej o tym powiedzieć. Właśnie to stało się powodem jej śmierci. Kiedy namierzyliśmy Pawłowę, kłamał na całego o swojej miłości do niej, twierdził, że zna Irinę od dawna. Po co to robił? Wszystkie zarejestrowane egzemplarze maszynopisu zniknęły, przepuszczam, że nie bez jego pomocy. Nic nie wiedział o czwartym egzemplarzu. Nikt nigdy nie powiązałby nazwiska Iriny z jego pracą doktorską. Przepuszczam, że chodzi tu o pośrednika. Pawłowa mu nie ufa. Nie ma żadnej pewności, czy ten nie wydał go

Fiłatowej już wtedy, w osiemdziesiątym szóstym roku. A nuż Irina komuś o tym powiedziała? On zacznie się wypierać znajomości z nią, ale ktoś będzie twierdzić co innego, powołując się na Irinę. Postanowił się zabezpieczyć, ale zrobił to bardzo nieudolnie i topornie. Musiał za to dużo zapłacić i ściągnął na siebie naszą uwagę. Myślę, że tak właśnie to wyglądało. Nasuwają się dwa pytania: czym konkretnie chciała Fiłatowa zastraszyć Pawłowa i czego on tak naprawdę się bał? Na pewno nie popełnił zabójstwa osobiście. Zlecił je, co znaczy, że miał ku temu jakiś bardzo, ale to bardzo poważny powód...

– Dobrze brzmi. – Gordiejew postukał w zamyśleniu łyżeczką o brzeg filiżanki, z której pił herbatę. – I wszystko, o czym na razie wiemy, niby się w to wpisuje. A jeśli było inaczej? Co, Anastazjo? Jest taka możliwość?

– Oczywiście, że jest. Po prostu na razie nic innego nie wymyśliłam.

– No cóż, jak nie ma nic innego, będziemy rozpracowywać tę hipotezę. Ustalmy, co możemy zrobić, a czego – nie. Możemy pójść tropem Fiłatowej, pojechać do Enska, przejrzeć karty i archiwa spraw karnych, odtworzyć w całości spis nazwisk, dokładnie wszystko sprawdzić i spróbować się dowiedzieć, czym Irina tak nastraszyła naszego przyjaciela Pawłowa. Założmy, że nam się to uda. Co to da? Naszym celem nie jest oskarżenie Pawłowa o łapówki, zwłaszcza że nie możemy mu praktycznie nic udowodnić. Zyskamy tylko pewność, że Aleksander Jewgienjewicz brał w łapę. I co z tego? Ani na krok nie przybliży nas to do zabójcy Fiłatowej. Poza tym Pawłow wyjechał z Enska niecały rok temu, ma tam pełno

zaufanych ludzi i jeśli zaczniemy grzebać, do wie się o tym po dwóch godzinach. A tego byśmy nie chcieli.

Tak, tatuśku – pomyślała Nastia – krąg rzeczywiście jest ciasny. Miałaś rację, mówiąc, że nie ma nic gorszego, niż szukać wśród swoich.

– Jeśli założymy, że Anastazja ma rację i to Pawłow zainicjował zabójstwo, ponieważ istnieje coś, co stanowi dla niego śmiertelne niebezpieczeństwo – ciągnął dalej Gordiejew – to nie możemy go spłoszyć. Nie możemy z dwóch powodów. Po pierwsze, Fiłatowa została zabita, bo była jedynym źródłem niebezpieczeństwa. Po jej usunięciu Pawłow spokojnie odetchnął. Co może zrobić, jeśli wystraszymy go zamieszczeniem wokół Enska? Przecież nie zrzuci bomby na urząd spraw wewnętrznych w Ensku czy na Pietrowkę. Ucieknie, zastrzeli się, ale w żadnym wypadku nie doprowadzi nas do zabójcy. W tej sytuacji zabójca mu nie pomoże, zbyt wiele osób maczało w tym palce. Po drugie, nie możemy wystraszyć Pawłowa, ponieważ jego pewność siebie jest naszym atutem. Mam nadzieję, że nie wytknęłaś mu kłamstwa? – zwrócił się do Nasti.

– Ależ skąd – zapewniła. – We wszystko uwierzyłam, i w Fiłatową, i w pracę doktorską.

– To dobrze. Pawłow jest ostrożny, ale to nie profesjonalista, a w dodatku bardzo pewny siebie. Popęłił już mnóstwo błędów, ale o tym nie wie. I nie powinien wiedzieć. Udało nam się go przekonać, że hipoteza „naukowa” została sprawdzona i zamknięta. Kamieńska poszła na urlop, a my zajmujemy się wątkiem Interpolu i Idzikowskiego. Z drugiej strony, zasugerowaliśmy mu, że jest człowiekiem sprytnym, inteligentnym i chytrym. Musimy za wszelką cenę podtrzymywać w nim tę iluzję. Wtedy zacznie działać tak, jak

chcemy. A człowiek wystraszony, chociaż popełnia ze strachu mnóstwo błędów, jest nieprzewidywalny, nie można nim pokierować. Niech Pawłow myśli, że wszystko robi, jak trzeba. Dmitrij – popatrzył na Zacharowa – ty jak, umywasz ręce czy dalej będziemy razem pracować? – Pułkowniku, mówiłem już przecież panu, że może pan na mnie całkowicie polegać.

– Dziękuję. W tej sprawie to wszystko. Teraz Kowalow, a raczej Rudnik. Rudnik dobrze zna Pawłowa, już to sprawdziłem. Anastazjo, zaczynasz rozpracowywać Rudnika. Poproś Pawłowa, żeby mu cię zaprotegował. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu. Uspimy czujność Pawłowa, damy mu do zrozumienia, że ty jako dziennikarka interesujesz się nie tylko jego genialną pracą doktorską i nie tylko problemem korupcji. I przyjdiesz do Rudnika nie „z ulicy”. Uściślijmy legendę. Opowiadałaś Pawłowowi coś o sobie? – Mąż pracuje w MSZ, długo mieszkałam z nim na Wschodzie, matka jest Turczynką z Azerbejdżanu. To wszystko.

– Skąd to wzięłaś? – zdziwił się Gordiejew. – Ależ masz wyobraźnię, dziecino. A czemu nie nieślubna córka króla Norwegii?

– Nie ten typ urody – roześmiała się Nastia. – Ciemno ruda, brązowe oczy i temperament nienorweski. Tak naprawdę skopiowałam całkiem realną kobietę, którą kiedyś widziałam. Miała lekki akcent, który zachowałam, żeby obraz był pełny. Kiedy Pawłow go zauważył, musiałam przecież coś powiedzieć, no to powiedziałam, co mi przyszło do głowy. A pomyślałam wtedy o Turcji, ponieważ właśnie rozmawialiśmy z Docenką o wątku turecko-karabaskim. I to wszystko.

– I co na to Pawłow? Wystarczyły mu twoje wyjaśnienia?

– Chyba dość naturalnie udałam zmieszanie, więc może rzeczywiście myśleć, że jestem cudzoziemką. Mam nadzieję, że się to przyda przy rozpracowywaniu Rudnika.

– Przyda się – zgodził się Gordiejew. I dodał:

– Jeśli mądrze to rozegrasz. I pamiętaj, Rudnik, o ile wiem, jest w złym stanie psychicznym. Przygnębiony, zdenerwowany, wysłał żonę do Enska, spotkał się ze swoją panią i upił się do nieprzytomności, chociaż nie jest to w jego zwyczaju. Pomyśl nad tym. Jutro zaczynasz. Gordiejew wyszedł razem z Zacharowem, który obiecał go podwieźć. Dima obejrzał się na progu, próbując złapać spojrzenie Nasti i wyczytać w nim zaproszenie na wieczór. Ale w jej oczach nie było ani śladu porannego uniesienia. Rozwiązała jedno zadanie i zabierała się już do następnego.

# ROZDZIAŁ 8

A następnym zadaniem Nasti Kamińskiej było przygotowanie się do spotkania z Pawłowem. Musiała napisać artykuł przedstawiający koncepcję zwalczania ko rupcji, a wynikiem spotkania miał być telefon Pawłowa do Rudnika i zgoda tego ostatniego na rozmowę z dziennikarką Lebediewą. Nastia siedziała nad tym do wieczora, posiłkując się monografią Fiłatowej, która w pełni zastępowała pracę doktorską Pawłowa, dzięki czemu nie zachodziła konieczność przesiadywania w bibliotece. Wydrukowawszy tekst przejrzała krytycznie swoją garderobę i wybrała ciemnogrnatowy kombinezon z cienkiej syntetycznej tkaniny. Wprawdzie kombinezony były już w tym sezonie niemodne i w taki upał nie będzie dobrze się czuła w syntetyku, ale za to taka tkanina łatwo się pierze. Nastia zdjęła szlafrok, poszła do kuchni i zrobiła kilka prób. Wyglądało nieźle. Na wypadek, gdyby Pawłow okazał się niezbyt spostrzegawczy, obmyśliła parę sztuczek, które w razie czego będzie mogła wykorzystać.

Na koniec zrobiła jak zwykle podsumowanie. No, moja droga, powiedziała do siebie, zobaczymy, jakie wnioski można wyciągnąć z wczorajszego dnia. Po pierwsze, kiedy udaje ci się wzbudzić w mężczyźnie zainteresowanie, nie podnieca cię to, albo, jak to określił Dima, nie rusza, ale sprawia satysfakcję, jak każda dobrze wykonana robota. Po drugie, Zacharow poczuł pociąg nie do Nasti, ale do stworzonej przez nią postaci pięknej dziennikarki. Dobrze o

tym wiedziała, ale Dimce udało się wykorzystać moment, kiedy była radośnie podekscytowana po rozwiązaniu trudnej zagadki. Z tym koniec. Teraz Ensk. Cierpliwemu i skrupulatnemu Docence udało się wycisnąć z Antona blisko trzydzieści nazwisk, ale żadne z nich nie wzbudzało żadnego podejrzenia. Byli oskarżeni głównie o nadużycia służbowe w sferze gospodarczej – zawłaszczenia, defraudacje, łapówkarstwo i tylko kilka spraw kryminalnych. Ciekawe, czy nie figuruje tam nazwisko Rudnika? Anton o nim nie wspomniał. Ale jeśli...

Nastia chwyciła za telefon. Nieczęsto wszystko szło jej jak z płatka, ale dziś był widocznie właśnie taki dzień. Anton był akurat u Docenki.

– Rudnik? – powtórzył. – Był. Na pewno. Z artykułu sto dwadzieścia.

– Z jakiego artykułu?! – Nastia mało nie upuściła słuchawki.

– Sto dwadzieścia. Zapamiętałem go dlatego, że to dość rzadki przypadek, a w tych kartach w ogóle jedyny. Pomyślałem wtedy, że ma takie samo nazwisko, jak kierownik naszej drukarni. Nie, nie pamiętam oczywiście jego imienia ani imienia ojca.

Zbieżność nazwisk? Krewny? Czy to właśnie ten Borys Wasiljewicz Rudnik jest amatorem nieletnich dziewczynek? Cholera, ależ wpakowała się w historię. Dobrze, jeśli to tylko zbieżność nazwisk. A jeśli nie? Wtedy nie może się zwracać do Pawłowa z żadnymi prośbami o protekcję u Rudnika. Będzie musiała zmieniać cały scenariusz. Co za pech, jeśli to rzeczywiście ten sam Rudnik! To znaczy, dla sprawy Fiłatowej dobrze, ale w walce z Kowalowem – nie bardzo. Jeśli Pawłow zauważy, że Lebiediewa kręci się koło

Rudnika, zacznie się niepokoić, a to nie jest wskazane. Ale tylko w wypadku, gdyby to był ten sam Rudnik... Jeśli nie można ruszać Rudnika, trzeba znaleźć inne źródło informacji o Kowalowie, co znów wymaga dużo czasu. Będzie musiała zagrać z Pawłowem w otwarte karty.

\*\*\*

– Już gotowe? – nie krył zachwyty Pawłow, kartkując przyniesiony przez dziennikarkę tekst wywiadu. – Szybko pani pracuje, Łariso. Piękna kobieta nie powinna się przepracowywać – dodał znacząco.

– Ale ja muszę. Żeby zarabiać, trzeba być szybkim i obrotnym.

Pawłowowi wydało się, że powiedziała to z rozdrażnieniem i chłodem. I w ogóle była dziś jakaś inna, czymś zdenerwowana, cały czas zerkąła z niepokojem na zegarek. Jakby tylko czekała na to, by się poderwać i wybiec. Ale Aleksander Jewgienjewicz tak łatwo się nie poddawał. Zbyt dobrze pamiętał, jaka była jeszcze dwa dni temu, w sobotę. Nie, w takim nastroju jej nie wypuści.

– Co pani jest? – zapytał delikatnie. – Ma pani jakieś zmartwienie?

Uchyliła się od odpowiedzi, udając, że nie dosłyszała. – Proszę przeczytać tekst, Aleksandrze Jewgienjewiczu. Jeśli panu odpowiada, damy do numeru za dwa tygodnie.

– A jeśli coś mi się nie spodoba? Czy będzie pani musiała wtedy poprawiać i znów do mnie przychodzić? Czy rzuci to pani?

Palła w milczeniu, wyraźnie zniecierpliwiona. Pawłow wstał, podszedł do stolika, przy którym siedziała, przysunął sobie krzesło, usiadł obok. Wziął ją delikatnie za rękę i powiedział cicho:

– Łariso, chyba pani rozumie, że nie chcę, aby to było nasze ostatnie spotkanie. Ale moje chęci to za mało, pani musi zdecydować o tym sama. I jeśli uzna pani, że nie będziemy się więcej widywać, nie mogę pozwolić, żebyśmy się rozstali w taki sposób – sucho, oficjalnie, niezadowoleni z siebie. Przecież nie mamy powodów, by się na siebie gniewać.

Nie zabierając ręki, Łarisa podniosła na niego swoje ciemne oczy i gorzko się uśmiechnęła.

– Chciałabym, by pan miał rację, ale niestety, tak nie jest.

– A w czym problem?

– Nie ja decyduję. Decyzja została mi narzucona i jestem w takiej sytuacji, że nie mogę odmówić. Pawłow poczuł, że zaraz mu wszystko opowie, podzieli się swymi zmartwieniami, a wtedy, być może, rozmowa zrobi się serdeczniejsza, i Łarisa trochę zmięknie. Zaczął się szybko zastanawiać, co będzie lepsze: siedzieć dalej, trzymając ją za rękę, czy zaproponować kawę. Ostrożnie podniósł jej dłoń do ust i pocałował. – Może zrobię kawy, a pani opowie, co to za sytuacja, w której nie może pani odmówić. Może i ja potrafię taką stworzyć. – Uśmiechnął się uwodzicielsko. Okazało się, że Łarisa dostała zamówienie na artykuł dotyczący walki przedwyborczej w parlamencie, przy czym wyraźnie dano jej do zrozumienia, że ma trzymać stronę obecnego premiera i ostro krytykować jego konkurenta. A ona jest z natury niezależna i nie znosi, kiedy każą jej pisać to, co chce ten czy tamten, bo zawsze

pisze to, co myśli. To po pierwsze. Po drugie, zbyt długo mieszkała za granicą, w Rosji jest stosunkowo od niedawna, nie zna nikogo w kręgach parlamentarnych i nie ma pojęcia, jak zbierać informacje. Postanowiła odrzucić propozycję, ale chodzi o to, że artykuł zamówiła nie gazeta, w której pracuje, tylko całkiem inna. Prośbę przekazano jej przez męża, który jest od nich zależny i bardzo ją prosił, żeby się zgodziła. Zwłaszcza zaniepokoiło ją wyśrubowane honorarium, które jej obiecano, ale z drugiej strony, pieniądze bardzo by się przydały... – To pani tym tak się zamartwia? – współczuł jej Pawłow, podając filiżankę z kawą.

Łarisa bez słowa przytaknęła, kasztanowe loki opadły jej na twarz. Gwałtownie potrząsnęła głową, odrzucając włosy, jej ręka odruchowo drgnęła. Na ciemnogrnatowej tkaninie rozpląnęła się plama po kawie. Pawłow wyraźnie usłyszał, jak burknęła coś z irytacją, jednak nie zrozumiał ani słowa, pochwycił tylko gardłową intonację. Łarisa zagryzła wargę, rzuciła szybkie spojrzenie spod oka, ale Pawłow udał, że nic nie słyszał.

– Oparzyła się pani? – rzucił się do niej. – Trzeba uważać!

Ale Łarisa chyba już się opanowała; wyciągnęła chusteczkę do nosa i starannie wytarła plamę na kombinezonie.

– To nic strasznego, na ciemnym nie będzie tak widać, jak wyschnie – powiedziała spokojnie.

Rozgryzłem cię, kochana – pomyślał Aleksander Jewgienjewicz. – Widać za długo mieszkałaś na Wschodzie, w tym swoim tureckim środowisku. Miałaś świetnego nauczyciela rosyjskiego, ale wystarczył nagły przestrah i wylazło twoje prawdziwe pochodzenie – jak to w takich sytuacjach bywa. Taka sama z ciebie Lebiediewa

jak ze mnie – Saddam Husajn. I żadna gazeta nic ci nie zlecała. Zbierasz informacje dla jakichś kręgów przemysłowych, które chcą pomóc premierowi i nie dopuścić do jego dymisji. Może i nazywasz się Lebediewa, ale po mężu. Ależ się Borys ucieszy! Niech wie, że nie opuszczam przyjaciół w biedzie. Szkoda, że nie mogę cię zaciągnąć do łóżka, jesteś taka piękna! Ale to niebezpieczne. Dobrze, że w porę się na tobie poznałem. A zresztą, może to i nie jest aż tak niebezpieczne. Dobra, zobaczymy.

– Niech ta plama pozostanie największym pani zmartwieniem na dziś – powiedział uroczyście. – Ponieważ jeśli chodzi o ten drugi problem, chyba jestem w stanie pomóc. Mam starego przyjaciela w kancelarii parlamentu. Chce właśnie dołączyć do ugrupowania, które wspiera premiera i walczy z opozycją. Jeżeli go poproszę, chętnie z panią porozmawia.

Oczy Łarisy radośnie błysnęły, policzki się zaróżowiły.

– Nie żartuje pan, Aleksandrze Jewgienjewiczu? Rzeczywiście może pan mi pomóc? A ten pański przyjaciel jest wystarczająco kompetentny? Pan przecież rozumie, jakiego typu informacji potrzebuję... – zawiesiła głos.

– Rozumiem – powiedział Pawłow bardzo poważnie – że nie płacą dużych pieniędzy za coś, o czym można przeczytać w każdej gazecie. Może pani być pewna, Łariso, że polecę panią właściwemu człowiekowi. Nazywa się Rudnik. Słyszała pani o nim?

– Nie. A oprócz niego, nikogo pan tam nie zna?

– Zapewniam panią, Łariso, że Rudnik w zupełności pani wystarczy. Może bardzo – Pawłow podkreślił ostatnie słowo – ale to

bardzo dużo pani opowiedzieć. Nikt inny nie będzie pani już potrzebny. To jak, mam do niego dzwonić?

– Oczywiście. Bardzo panu dziękuję. – Łarisa odetchnęła z ulgą. – Po prostu kamień mi spadł z serca.

\*\*\*

Wysławszy dziennikarkę do Rudnika, Aleksander Jewgienjewicz znów chwycił za telefon.

– To jeszcze raz ja. Posłuchaj, ta laska, którą do ciebie wysłałem... Jednym słowem, możesz ubić dobry interes. Informacja pójdzie za granicę, na sto procent. A ty będziesz czysty jak łąza, oficjalnie jest naszą dziennikarką. Więc opowiedz jej wszystko, co wiesz. Przestań urabiać sobie ręce, niech milionerzy popracują teraz dla ciebie. I nie upadaj na duchu, Borys, zrozumiałeś mnie? Pawłow skrzywił się z obrzydzeniem, przypomniawszy sobie ponury głos swego rozmówcy. Szmata! Ledwo zapachniało spalenizną, jeszcze nawet ognia nie widać, a on już spanikował. Stać go było tylko na znalezienie wykonawcy, chociaż już wtedy o mało nie pękł. A kiedy sprawa została załatwiona, całkiem się rozkleił. Na nic więcej go już nie stać. Trzeba go podtrzymać na duchu, trochę fartu mu nie zaszkodzi. Bo jeśli wszystko będzie układało się źle, nie daj Boże, pobiegnie jeszcze się przyznawać. Niepojęte, jak takie oferty trafiają na szczyty władzy! Tchórz. Czegoś takiego się wystraszyć. Żeby on tylko wiedział...

Wzdrygnął się. Ta zołza Irina miała rację tylko w połowie, jeśli wybuchnie skandal, on zawsze zdąży uciec z organów. Wielka mi

kariera! Marne grosze. Ale z drugiej strony racji nie miała, bo z drugiej strony... Och, lepiej nawet o tym nie myśleć. *On* mi tego nie daruje. Dałem *mu* przecież w Ensku słowo, że nic na *niego* nie mają, że wszystko zostało zniszczone, że nikt się nie dowie. I *on* mi uwierzył. Ale uprzedził, że jeśli coś się stanie z mojej winy, koniec ze mną. *On* karze okrutnie za oszustwo i nieposłuszeństwo. Ma po swojej stronie taką siłę, że lepiej o tym nie myśleć. Międzynarodowy biznes narkotykowy. Umieścili go na stanowisku w jakimś joint venture, przez które piorą brudne pieniądze. I postawili warunek: w Rosji musisz być czysty jak łąza, na twoją firmę nie może paść najmniejszy cień, żadne podejrzenie. Zagwarantował im to, opierając swoją gwarancję na jego, Pawłowa, słowie honoru. A on popełnił taki błąd z tymi cholernymi kartami! Przecież nie pójdzie do *niego* teraz, by się przyznać! Nie dożyłby następnego ranka. U nich się nie cackają. Dlatego i wykonawcy trzeba było szukać przez Borysa, chociaż Pawłow zdawał sobie sprawę, jakie to ryzykowne. Lepiej by było oczywiście przez *niego*, ale musiałby wyjaśnić, o co chodzi, a to by oznaczało podpisanie na siebie wyroku. Żadnego skandalu tak się nie bał, jak *jego*. Dobrze, że Borys o niczym nie wie, od razu pobiegłby ze strachu na Pietrowkę. Albo do *niego*...

Zrobiło mu się niedobrze, kiedy o tym pomyślał. Nie – uspokajał sam siebie – to niemożliwe, Borys go nie zna. Borys w ogóle nie wie, że jest jeszcze ktoś inny w tej sprawie. Może się tylko domyślać, że nie tylko jemu pomogłem, ale komu konkretnie – tego nie wie. Ale *tamten* wie o wszystkim, przed *nim* nie mogłem niczego ukryć. Lepiej o tym nie myśleć.

W końcu nic się na razie nie stało. Arif był na pogrzebie, podsłuchał, co mówią. Nic strasznego, wszyscy myślą, że została

zabita z powodu kochanka. Z zazdrości albo przez tego z Interpolu. Lalunia nie była przecież zakonnicą. Dobrze to wymyślił z tą historią miłosną, uwierzyli mu. Za to teraz myślą, że skoro potrafiła ukryć romans z nim, to może miała też innych facetów, o których nikt nie wie. A niech się w tym grzebią. Najbardziej niebezpieczna była ta Kamieńska, krążą o niej legendy. Gdyby ta szara myszka znalazła u Iriny choćby jeden podejrzany papierek, już by się nie odczepiła. Ale widać nic nie znalazła. Poza tym jest na urlopie. Więc już po sprawie. Można swobodnie odetchnąć. Jutro odwiedzę Gordiejewa, zapytam, jak sprawy się mają. Bo inaczej będzie to wyglądało podejrzanie: u Kamieńskiej byłem dwa razy, a tu nagle przestałem się pokazywać. No nic, będziemy dalej udawać niepokieszonego wdowca. Ciekawe, jak ta dziewczucha na mnie trafiła? Czyżby przez Arifa? Tyle razy ją pytałem i słowa nie pisnęła. Musiała znaleźć moje nazwisko w autoreferacie, że też się wcześniej nie domyśliłem. Przecież wtedy, pięć lat temu, pojęcia nie miałem, że autoreferaty są rozsyłane prawie po całym kraju, do wszystkich uczelnianych wydziałów prawa. Przyniosłem dziewczynom z rady naukowej pudełko czekoladek i butelkę koniaku i one wszystko załatwiły za mnie. Ale co tam nazwisko, jak dowiedziała się reszty? Chyba jednak przez Arifa, nie inaczej. Zapewnia, kanalia, że nic jej nie mówił, ale tego nie da się sprawdzić. Prawdę mówią, że Wschód – to delikatna sprawa. Jak dzwoniłem do niego do Baku, żeby wziął z Moskwy pracę doktorską, czekał, żebym to ja zaczął o pieniądzach, sam nie zapytał. Po głosie było słyhać, że tego nie pochwała. Ale kim on jest, by mnie osądzać? Przyłapali go kiedyś na złocie, z trudem go uratowałem przed więzieniem. Jest moim dłużnikiem na całe życie. Dobrze wtedy zrobiłem, że nie wziąłem od

niego pieniędzy, jakbym przeczuwał, że jeszcze się przyda. No i przydał się. Nie ufam mu za grosz, ale nie mam wyjścia, nie mam się na kim oprzeć. Borys się nie liczy, nie można go spuścić z oka. Ciężko się pracuje, kiedy wokół sami obcy. W obwodzie wszyscy mnie znali, wszystko mogłem załatwić przez telefon. A tu... Po co mi była ta Moskwa? Po co się zgadzałem? Idiota. Ale czy ktoś mnie pytał? Zgodziłem się, bo *on* mi kazał...

\*\*\*

Borys Wasiljewicz Rudnik zbyt się nie opierał. Nastia nie mogła się nadziwić, jak gładko jej wszystko idzie, bez żadnych problemów, wystarczyło trochę przycisnąć i już mówił o wszystkim, co chciała usłyszeć. Pewnie Pawłow dzwonił do niego jeszcze raz po jej wyjściu i wydał mu instrukcje. Mimo że Pączek uprzedzał, iż Rudnik jest nerwowy, rzeczywistość przeszła wszystkie oczekiwania. Rudnik był nie tylko nerwowy i wyraźnie zmartwiony. W drodze do domu próbowała znaleźć odpowiednie słowo dla określenia stanu swego rozmówcy. Przygnębiony – tak, ponury – tak, ale to coś innego... Przypomniała sobie słowa ze swojego wiersza: „I beznadziejne jak stopnie szafotu jest każde jutro, każdy nowy świt”. To chyba najlepiej określa stan jego ducha. Tak, to właściwe słowa. Rudnik – to człowiek czekający na rozwiązanie, przy czym jego ciekawość nie ma nic wspólnego z ciekawością widza oglądającego dobrze zrobiony kryminał. On wie, jaki będzie koniec, i z pokorą na niego czeka. Życie przestało go interesować, bo jest przekonany, że niewiele mu go zostało. Dla niego nie ma już żadnej nadziei. Odczuwa wyłącznie smutek, beznadziejny, otepiający, pozbawiający

woli walki. Nastia zdawało się chwilami, że gdyby zapytała go o Ensk, to i o nim chętnie by jej opowiedział. Ale nie zapytała. Po pierwsze, Pączek kategorycznie zabronił wymieniać w rozmowie słowo „Ensk”, żeby nie spłoszyć Pawłowa. Po drugie, dobrze wiedziała, że to właśnie Rudnik był sądzony z artykułu sto dwadzieścia. Z każdym dniem Nastia coraz lepiej rozumiała sens słów swego ojczyma, Leonida Pietrowicza, o ciasnym kręgu. Chodzi nie tylko o to, że na każdym kroku natykasz się na swoich. Najgorsze jest to, że jesteś ograniczony, jeśli chodzi o źródła informacji. Gdyby Pawłow nie pracował w ministerstwie, nie służył w organach MSW – nie męczyłoby się teraz z powodu braku informacji, uzupełniając białe plamy hipotezami i domysłami. Mogliby się dowiedzieć tego samego co Fiłatowa. Ona na pewno wiedziała więcej niż tylko o liście nazwisk, ale ponieważ sama w Ensku nie była, ktoś musiał zdobyć dla niej te informacje. Znowu ktoś ze swoich, ktoś, kto jeździł tam w delegacji, może nawet w grupie przeprowadzającej kontrolę. Dowiedzieć się w ministerstwie, czy była taka kontrola, poprosić o listę członków grupy, sprawdzić, czy nie było wśród nich znajomych Fiłatowej – to praca na parę godzin. Ale zanim dostaną wyniki, Pawłow będzie o tym wiedział. Przecież inspekcje leżą w gestii Sztabu.

Skończ już z tymi marzeniami, skarciła się Nastia, co by było, gdyby... Jak powiedział Pączek, będziemy pracowali na tym materiale, który mamy. Spróbujemy odtworzyć ciąg zdarzeń.

Wróciwszy do domu zaczęła z siebie zmywać Łarisę Lebiediewą, nie przestając rozmyślać nad sprawą. Wczoraj zatrzymała się na tym, że Pawłow czegoś śmiertelnie się boi. Albo kogoś. I Fiłatowa się tego nie domy ślała. Zacznijmy od tego miejsca. Rudnika

Pawłow się nie boi, to oczywiste. Tak samo jak to, że Rudnik jest zamieszany w zabójstwo i pokornie czeka na zdemaskowanie. Jeśli istnieje ktoś bardziej niebezpieczny, czyli bardziej potężny, to dlaczego Pawłow, aby się pozbyć Fiłatowej, związał się z Rudnikiem, a nie z tym wszechpotężnym nieznanym? Odpowiedź była tak prosta, że Nastia aż się uśmiechnęła.

\*\*\*

Wiktor Aleksiejewicz Gordiejew oderwał się od papierów, leżących przed nim na biurku. No cóż, to wystarczy, by porozmawiać z Kowalowem w zrozumiałym dla niego języku. Gordiejew westchnął, włożył materiały do teczki i uśmiechając się z zadowoleniem, zamknął je w sejfie.

Po półgodzinie w jego gabinecie zebrali się Docenko, Łarcew, Korotkow, Siełujanow i Dmitrij Zacharow. – Nadszedł moment przełomowy – zaczął pułkownik. – Skończyliśmy część teoretyczną sprawy Fiłatowej. Chyba już wiemy, dlaczego została zabita. Jesteśmy przekonani, że to było zabójstwo na zlecenie, i sądzymy, że zleceniodawcą albo, jeśli wolicie, inicjatorem zabójstwa był Aleksander Jewgienjewicz Pawłow. Czy są wśród was tacy, co myślą inaczej?

Gordiejew obrzucił obecnych spojrzeniem.

– Dobrze, kontynuujmy. Mamy bardzo ograniczone możliwości, by sprawdzić tę teorię. Dysponujemy na razie tylko domysłami i kilkoma ubocznymi, podkreślam, ubocznymi, poszlakami. Mamy dwa identyczne teksty i wyraźne kłamstwa pułkownika Pawłowa.

Na tej podstawie, jak sami rozumiecie, nie możemy go oskarżyć. Poza tym nie jest wykluczone, że się mylimy i Pawłow nie ma nic wspólnego z zabójstwem Fiłatowej. Niemniej teoretyczna część pracy jest, jak już powiedziałem, zakończona, przystępujemy do działań praktycznych. Chodzi o próbę wywabienia płatnego zabójcy z jego nory. To jedyny sposób, by go znaleźć. Sądząc po modus operandi, nie jest to przypadkowy killer, z którego usług korzystają w swych porachunkach grupy przestępcze. To człowiek dobrze chroniony przez świetnie działający system bezpieczeństwa i kontroli. I nawet jeśli stanie się cud i Pawłow zdradzi nam kontakt, z którego skorzystał, zamawiając wykonawcę, dojdziemy tylko do pierwszego ogniwa. Reszta natychmiast zniknie i nigdy nie znajdziemy końca tego łańcuszka. Zgadza się ze mną? Odpowiedzią było milczenie.

– Mamy wyjątkową szansę – możliwość złapania wykonawcy, pracującego dla tych na górze. Takiego przypadku w naszej pracy jeszcze nie było, nie mamy więc doświadczenia w tego typu sprawach. Ryzyko popełnienia błędu jest bardzo duże, a szansa na sukces niezwykle mała. Chcę, żebyście o tym wszyscy pamiętali. Wiktor Aleksiejewicz zamilkł, wsunął jak zwykle do ust zausznik okularów i zamyślił się. Nagle chytrze się uśmiechnął i zapytał: – Który z was jest wędkarzem?

Pytanie było tak niespodziewane, tak nie pasowało do atmosfery spotkania, że oficerowie nawet się nie uśmiechnęli.

– Ja – odezwał się po chwili wahania Kola Siełujanow.

– Ach, to młode pokolenie – zażartował Gordiejew – nie potraficie korzystać z najprostszych przyjemności. To może wicie chociaż, jaka jest różnica między błyską a żywcem?

Wszyscy od razu się rozluźnili i zaczęli zgodnie kiwać głowami.

– Otóż w sprawie Kowalowa wykorzystaliśmy Kamieńską jako błyskę, na którą dał się złapać najpierw Pawłow, a potem, z jego pomocą, Rudnik. A teraz zrobimy coś, co w wędkarstwie jest niemożliwe – zrobimy z błystki żywca. Waszym zadaniem będzie zapewnienie maksymalnej kontroli nad sytuacją. Pawłow jest pracownikiem naszego ministerstwa, dlatego nie mamy prawa go śledzić. Chcę powiedzieć, że nie możemy zwrócić się w tej sprawie o pomoc do odpowiednich służb. Musimy więc liczyć wyłącznie na własne siły. Nie zapominajcie, że Pawłow tu bywał i może w każdej chwili znów się zjawić. Każdego z was mógł widzieć i zapamiętać wasze twarze. Zacharow? – Gordiejew popatrzył pytająco na Dime.

– Da się zrobić, Wiktorze Aleksiejewiczu. Mamy jeszcze przyjaciół – odezwał się Dima.

– Dobrze. Potrzebny jest portret psychologiczny Pawłowa. Łarcew? – pułkownik zerknął na Wołodę, który słynął z tego, że się zna na ludziach, za co był ceniony przez kolegów, którzy czasami dość bezceremonialnie korzystali z tej jego umiejętności.

– Na jutro będzie gotowe – obiecał Łarcew. Gordiejew pokręcił przecząco głową.

– Na dziś wieczór. Gdzieś tak na dziewiątą, nie później – uciął kategorycznie.

Wołodia potulnie westchnął.

– Jeszcze jedno. Ubezpieczać Kamieńską, nikt nie może się domyślić, kim jest dziennikarka Lebiediewa. Tu nie może być żadnych potknięć. Korotkow. Jura w milczeniu skinął głową.

– I ostatnia sprawa. Mamy w naszym schemacie jedno słabe ogniwo – Borysa Wasiljewicza Rudnika. Zakładamy, że organizując zabójstwo Fiłatowej, Pawłow działał przez niego. Jeśli historia się powtórzy i Pawłow spróbuje skontaktować się z zabójcą przez Rudnika po raz drugi, cały nasz pomysł weźmie w łeb. Rudnik się denerwuje, jest, jak by powiedzieli psychiatrzy, niezrównoważony. Jak tylko zacznie szukać kontaktu, w organizacji od razu to zauważą i zadziała system bezpieczeństwa. Nie uda mu się skontaktować z zabójcą. Czyli nasz cel nie zostanie osiągnięty. Pawłow nie może więc zwrócić się do Rudnika. A my nie możemy mu w tym przeszkodzić. Pozostaje nadzieja, że Pawłow będzie myślał tak jak my. Nie odważy się denerwować Rudnika drugim zabójstwem. Narada u pułkownika Gordiejewa trwała jeszcze półtorej godziny. Pożegnawszy pracowników, Wiktor Aleksiejewicz jeszcze raz przemyślał wszystkie szczegóły. Chyba zostało zrobione wszystko, co można, nic nie umknęło jego uwagi. Niemniej ryzyko było ogromne. Cała operacja opierała się na domysłach, na analizie, zrobionej przez Kamińską. Ma głowę nie od parady, to fakt, ale trzeba pamiętać również o tym, że i ona może się mylić.

Przypomniała mu się ostatnia wizyta Pawłowa. Wtedy plan operacji dopiero powstawał, nie było jeszcze żadnej pewności, ale Wiktor Aleksiejewicz zrobił pierwszy krok, powiedział Pawłowowi, że znalazł się świadek, który widział zabójcę, wychodzącego z budynku, gdzie mieszkała Fiłatowa, więc milicja ma już rysopis przestępcy. To powinno zadziałać, jeśli dobrze wszystko wykalkulowali. No właśnie, jeśli dobrze wykalkulowali... A jeśli nie?

Gordiejew usiadł przy telefonie, wybrał numer. Skarcił się w duchu, że wykorzystuje zyczliwość człowieka, pomagającego mu w

„oddzielaniu prawdy głoszonej od rzeczywistej”. Od momentu zabójstwa Fiłatowej dzwonił do niego już po raz trzeci, a wcześniej niekiedy nie odzywał się miesiącami. Nieładnie.

– Jak zdrówko, Stiepanie Ignatjewiczu? – zapytał dziarsko, kiedy na drugim końcu podniesiono słuchawkę.

– Widzę, że mocno cię przycisnęło, Witusza – rozległ się w odpowiedzi skrzeczący starczy śmiech. – Nie dajesz mi spokojnie umrzeć. Co się znowu stało?

– Nic podobnego, Stiepanie Ignatjewiczu, nic się nie stało, po prostu postanowiłem pana odwiedzić – skłamał Gordiejew i ku swemu przerażeniu poczuł, że się czerwieni.

– To jak, przez telefon chcesz odwiedzać, czy wprosisz się do mnie na filiżankę herbaty? – zapytał złośliwie Stiepan Ignatjewicz.

– Wproszę się, jeśli pan zaproponuje.

– Herbatę? Herbatę pewnie, że zaproponuję, czemu nie. To co, mam już nastawiać czajnik, czy wpadniesz kiedy indziej?

– Proszę nastawiać – powiedział zdecydowanie Gordiejew, zerknąwszy na zegarek. – Zaraz będę. Stiepan Ignatjewicz Gołubowicz był niegdyś nauczycielem Gordiejewa, jego wychowawcą i aniołem stróżem. Miał koło osiemdziesiątki i serce mu ostatnio nie tylko nawalało, ale całkiem odmawiało posłuszeństwa, nogi też czasami zawodziły i ręce się trzęsły. Mieszkał sam, w przytulnym pokoiku ogromnego mieszkania komunalnego, jakie zachowały się jeszcze w centrum Moskwy. Gołubowicz miał troskliwe dzieci, szanujących go zięciów i synową oraz kochające wnuki, ale za nic nie chciał z nimi zamieszkać mimo ich gorących namów. Nie było w tym nic dziwnego, dzieci

mieszkały ze swymi rodzinami daleko od centrum, na częste odwiedziny u ojca nie miały czasu, czuły się więc winne, że robią to rzadko, no i martwiły się o niego, bo naprawdę go kochały. Stiepan Ignatjewicz był człowiekiem pogodnym i gdyby przeniósł się do syna czy córek, wszyscy odetchnęliby z ulgą. Ale był nieugięty.

– Ja już się nie przyzwyczaję do waszych porządków – mówił – a wy mi będziecie tylko przeszkadzać. W czym dzieci i wnuki mogłyby mu przeszkadzać, nikt nie wiedział, a sam Gołubowicz nigdy tego nie wyjaśnił.

Wiktor Aleksiejewicz po drodze do Gołubowicza kupił w kiosku kilka batoników Mars i Snickers. Wiedział, czym zrobić przyjemność gderliwemu staruszkowi, który, zachowując dobrą pamięć i jasność umysłu, jednak zdziecinniał w swych gastronomicznych upodobaniach. Krocząc powoli rozgrzany czerwcowym upałem ulicami, Pączek-Gordiejew dziękował losowi za to, że istnieje ktoś taki jak Stiepan Ignatjewicz, który nie tylko bardzo dużo wie, ale i może podpowiedzieć, gdzie i jak zdobyć informacje, których on sam nie ma. Kiedy Gordiejew zwrócił się do niego z pytaniem o Kowalowa i Winogradowa, stary powiedział:

– Pamiętasz, Witiusza, prosiłem cię kiedyś, żebyś pomógł pewnemu człowiekowi załatwić zameldowanie? Byłem już wtedy na emeryturze, a on właśnie wrócił z łagru. Pomogłeś mu, za co jestem ci wdzięczny. Ale ten człowiek oczywiście jest wdzięczny jeszcze bardziej. Nie gniewaj się, ale powiedziałem mu, komu zawdzięcza zameldowanie. A on ma dobrą pamięć, potrafi docenić przysługę. Otóż pracuje teraz w piwiarni, którą często odwiedzają kierowcy samochodów służbowych. Zbiera tam kufle i zmywa – krótko mówiąc, jest dla klientów czymś w rodzaju mebla. Myślę, że słyszy

tam dużo ciekawych rzeczy. Kierowca to przecież dla swego szefa też coś w rodzaju mebla, nie krępują się okazywać przy nim emocje czy rozmawiać. Odwiedź go, powiedz, że to ty jesteś tym Gordiejewem, pozdrów ode mnie. Idź, idź. Nie pożałujesz.

I rzeczywiście. Ale dziś Wiktor Aleksiejewicz przyszedł do Gołubowicza z pytaniem tak delikatnym, jak nieuchwytne odbicia światła na powierzchni wody. Jeśli nie otrzyma odpowiedzi na nie od Stiepana Ignatjewicza, pomyślał Gordiejew, to nie otrzyma go nigdzie. Gołubowicz był prawdziwą skarbnicą informacji, ale źródła, z których je czerpał, były dość specyficzne. Kiedyś, wiele lat temu, zapytał Gordiejewa:

– Często cię twoi „byli” odwiedzają z butelką koniaku po powrocie z łagru?

– Zdarza się – uśmiechnął się Pączek.

– No widzisz. Gdyby tak nie było, nie siedziałbyś dziś tu ze mną i nie pił herbaty. Bo to by znaczyło, że jesteś złym detektywem i nie miałbym o czym z tobą gadać. A skoro cię odwiedzają – znaczy, że nie na próżno cię szkoliłem i uczyłem życia. Mnie też odwiedzają. Tylko ja o wiele dłużej od ciebie przepracowałem w milicji, więcej też ludzi złapałem i wsadziłem, dlatego do mnie przychodzą częściej. Ale to teraz. Kiedy odejdę na emeryturę, nie będę nikomu potrzebny, a ty będziesz już doświadczony i stary, i wtedy do ciebie będą przychodzić częściej niż do mnie.

Ale Gołubowicz się mylił. Może nie doceniał ludzi, a może rzeczywiście był człowiekiem niezwykłym, ale i po odejściu na emeryturę jego „byli” nie przestali go odwiedzać...

Stiepan Ignatjewicz otworzył drzwi, ledwo Gordiejew zdążył dotknąć dzwonka. Pułkownikowi serce się ścisnęło: zrozumiał, jak samotny czuje się staruszek, jak czeka na każdego gościa, jak cieszy się z każdej wizyty, nawet kiedy gość przychodzi nie bezinteresownie, ale w jakiejś sprawie.

– Szybko dotarłeś – mruknął Gołubowicz, ukrywając uśmiech. – I nie kłam, że nie masz do mnie żadnej sprawy. Nie jestem obraźliwy. Nawet przyjemniej mi jest, kiedy ludzie przychodzą do mnie po radę, znaczy, że jestem jeszcze potrzebny. A kiedy zaczną mnie odwiedzać z litości czy z wdzięczności, nie będę miał już po co żyć, stanę się ciężarem.

Gołubowicz przyniósł z kuchni czajnik, starannie zaparzył herbatę i rozlał ją do filiżanek.

– Śmiało, Witiusza, mów, o co chodzi. Nie męcz starego człowieka.

Uważnie odwinął papierek, nadgryzł batonik i przygotował się do słuchania.

– Stiepanie Ignatjewiczu, proszę mi opowiedzieć o płatnych zabójcach. Nie o pospolitych, z pistoletami i innymi pukawkami, a o tych, prawdziwych... Rozumie pan.

– Ależ wymyśliłeś... – Gołubowicz poruszał w zamyśleniu wargami. – Nie wiem o nich wiele. Ale to zrozumiałe. Gdyby wszyscy o nich wiedzieli, to by ich nie było. To spece od nieszczęśliwych wypadków. Albo tak to wszystko urządzają, żeby wyglądało na naturalną śmierć, jeśli człowiek jest już niemłody i schorowany. Krótko mówiąc, pracują tak czysto, że właściwie nigdy nie wszczyna się w tych sprawach śledztwa. Dlatego nikt ich nie

szuka. I nikt nie zna ich prawdziwych imion i nazwisk. Tylko ksywki. – Dużo jest takich, jak pan myśli?

– A gdzie tam – machnął ręką staruszek. – W całym kraju – na palcach jednej ręki można policzyć. Profesjoniści wysokiej klasy. Jest jeden taki, o ile wiem, w Rostowie, przywisko Buriat. Jeszcze jeden w Primorju czy w Chabarowsku – Chirurg. Potem jeszcze chyba Carden, nasz, moskiewski. W Soczi–Black. Więcej nikogo nie pamiętam. Może znajdzie się jeszcze parę osób, ale jest ich nie więcej niż dziesięciu. Na pewno.

– A oni co, są specjalistami od wszystkiego?

– Różnie. Buriat na przykład to majsterkowicz. Dlatego specjalizuje się w wypadkach samochodowych. To jego hobby. Chirurg uwielbia morze, kurorty. Wzywają go, kiedy trzeba spowodować nieszczęśliwy wypadek na wodzie. Mówią, że jest doświadczonym nurkiem. Gal – odwrotnie, nie cierpi otwartej przestrzeni, pracuje tylko w mieszkaniach i domach. O Italiańcu mówią, że specjalizuje się w zatruciach pokarmowych, Carden i ten z Soczi, jak mu tam, Black – są od wszystkiego, działają w każdych okolicznościach, dlatego biorą najwięcej.

– Jak pan sądzi, Stepanie Ignatjewiczu, który z nich mógłby spowodować śmierć od porażenia prądem? – Praktycznie każdy. Oprócz chyba Chirurga. Jeśli mówimy, że w czymś się specjalizują, nie znaczy to przecież, że robią tylko to. Działają tak najczęściej, ale nie zawsze. To po pierwsze. A po drugie – nie wszystkich tu wymieniłem. Wiem więcej od ciebie, Witusza, ale nie jestem Duchem Świętym. I moje informacje mogą być niedokładne albo niekompletne. Mogą się przydać do ogólnej orientacji.

– Zrozumiałem, Stiepanie Ignatjewiczu. Dziękuję panu. Zauważył, że policzek staruszka drgnął na te słowa. Jak mu już dziękują, znaczy wizyta jest skończona. Znów zostanie sam. Gordiejew ukradkiem zerknął na zegarek i uśmiechnął się przepraszająco.

– Może zrobimy jeszcze herbatkę, Stiepanie Ignatjewiczu? Ta już wystygła.

– Świetnie – podchwycił ucieszony staruszek i poszedł do kuchni.

Gordiejew ze smutkiem pomyślał o tym, ilu takich starych ludzi żyje na świecie, staruszków, którzy wychowali i wyszkolili setki detektywów i śledczych, staruszków, posiadających ogromną wiedzę i doświadczenie. Odwiedzają ich byli przestępcy, których potraktowali kiedyś po ludzku, kogoś z nich w porę powstrzymali, komuś pomogli zachować rodzinę. Ale ci, co zajęli po nich ich służbowe gabinety, raczej do nich nie zagląдают. Czyżby nikt już nie potrzebował ich rad? Jakie to smutne.

\*\*\*

Aleksander Jewgienjewicz Pawłow, rozparty wygodnie w fotelu, ospale obserwował perypetie intrygi rozgrywającej się w luksusowym domu Antonia. Paskudny Maks knuł przeciwko swemu braciszкови, Rachela cierpiała, jej krewni popełniali różne głupstwa... Małżonka Aleksandra Jewgienjewicza szczerze się przejmowała losami bohaterów i kiedy kolejny odcinek zakończył się w najciekawszym miejscu, rozgoryczona walnęła pięścią w stół.

– Znów muszę czekać do jutra! Jak myślisz, czym to się skończy?

– Nie wygłupiaj się, jak możesz poważnie traktować takie brednie – powiedział lekceważąco Pawłow. – To nie są brednie, Saszeńka, to bardzo dobry film. – Powiedz jeszcze, że ten twój wyciskacz łez pod tytułem *Bogacze* to też dobry film.

– Oczywiście. Nic nie rozumiesz – rozzłościła się. – Nikt nie twierdzi, że to jest ambitne dzieło. Ale takie filmy uczą ludzi, jak należy postępować w sytuacjach trudnych z moralnego punktu widzenia. Uczą podstawowej zasady: jeśli kochasz, nie traktuj swego ukochanego jak kogoś gorszego i głupszego od siebie.

– No, no – ożywił się Pawłow. – Co ty powiesz!

– Nie ironizuj, proszę. Dlaczego Rachela ma tyle kłopotów? Bo boi się wyznać prawdę Antoniowi, sądząc, że źle ją zrozumie. To samo jest z Marianną. Ona też ukrywa przed mężem prawdę nie dlatego, że ta prawda jest niewygodna dla niej, ale dlatego, że się boi, iż Luis Alberto źle ją zrozumie. Obie są takie mądre i przenikliwe, że z góry wiedzą, kto i co o nich pomyśli, chociaż same w podobnych sytuacjach pomyślałyby co innego. Czyli siebie uważają za dobre i szlachetne, ale mężów – już nie. A to jest złe podejście. Te dwa filmy właśnie pokazują, że to błędna postawa. Ludzi trzeba oceniać według siebie, a nie przypisywać im Bóg wie jakie pobudki. Pismo Święte też powiada: jaką miarą mierzycie, taką i wam będzie odmierzono...

– Mówi się też – dorzucił Pawłow, przeciągając się – że ludzie różnią się od siebie i że są gusty i guściki.

– Ależ, Sasza, to zupełnie co innego – oburzyła się żona. – Chodzi mi o to, że nie wolno traktować z góry człowieka, którego się szanuje. Co w tym niezrozumiałego?

- No dobrze już, dobrze – uspokoił ją Aleksander Jewgienjewicz.
- Wyprowadzę psa, póki nie zaczęły się „Wiadomości”.

Wziąwszy na smycz płowego bulteriera o czerwonych ślepiach, wyszedł na dwór. Przechadzał się powoli w chłodnym zmierzchu po skwerze, pogrążony w leniwych rozmyślaniach, kiedy usłyszał z tyłu szybkie kroki.

- Aleksandrze Jewgienjewiczu!

Ze zdziwieniem rozpoznał głos Lebediewej.

- Skąd pani tu się wzięła, Łariso?

– Szukałam pana – roześmiała się Lebediewa. – Byłam u pana w domu, pańska żona powiedziała, że wyszedł pan na spacer z psem. To wszystko. Chciałam panu podziękować za Rudnika. I jak to jest przyjęte między ludźmi interesu, wręczyć drobny dowód wdzięczności. Mówiąc to, wyciągnęła z torebki zawiniętą w papier butelkę.

– Ależ, Łariso, to niepotrzebne... Czuję się głupio – zaprotestował Pawłow.

– Potrzebne, Aleksandrze Jewgienjewiczu, potrzebne. Przepraszam, że niepokoiłam pana w domu, ale tak będzie lepiej.

Coś w jej głosie zaniepokoiło Pawłowa. Serce ścisnęło mu złe przeczucie. Wyciągnął rękę i bez słowa przyjął butelkę.

– Mam dla pana jeszcze jeden prezent – ciągnęła Lebediewa. – W tej oto kopercie. Proszę sobie przejrzeć w wolnej chwili, może to pana zainteresuje. A może i nie. Ale jeśli zawartość koperty wyda się panu warta uwagi, możemy jutro zjeść razem kolację. Zadzwoń do pana i da mi pan odpowiedź. O której mam zadzwonić?

– O piątej – powiedział niepewnie Pawłow, ale zaraz się poprawił:  
– Nie, o piątej mogę być zajęty. Wpół do szóstej.

– Umowa stoi, Aleksandrze Jewgienjewiczu – rzuciła wesoło Łarisa. – Zadzwoń jutro o wpół do szóstej. Dobranoc.

Znikła tak samo nagle, jak się pojawiła. Pawłow usłyszał trzask zamykanych drzwi samochodu i odgłos zapalającego silnika.

Oprzytomniawszy, zdał sobie sprawę, że nie mówił Łarisie, gdzie mieszka. Jak go znalazła? I w dodatku była u niego w domu. Bezczelna! Teraz będzie musiał tłumaczyć się przed żoną. Ciekawe, co jest w kopercie? Chciał otworzyć ją od razu na ulicy, ale zrobiło się już tak ciemno, że nic by nie przeczytał. Musi poczekać, aż wróci do domu.

Ku jego zdziwieniu żona ani słowem nie wspomniała o Łarisie.

– Nikt do mnie nie dzwonił? – ostrożnie zapytał Pawłow.

– Nikt – spokojnie odparła żona. – Czekasz na telefon?

Dziwne, pomyślał Aleksander Jewgienjewicz. Poszedł do swego pokoju, włożył okulary i otworzył kopertę. Na początku nie zrozumiał, co to za dokumenty, zauważył tylko, że papier jest marnej jakości, tekst nieczytelny, a na marginesach widnieją odręczne uwagi naniesione czarnym długopisem. Były to cztery kartki ponumerowane u góry: 24, 97 i 153. Ostatnia bez numeru – stro na tytułowa monografii *Kryminologia. Korupcja. Władza* autorstwa Iriny Siergiejewny Fiłatowej. Do jutrzejszego telefonu Lebediewej zostało dwadzieścia godzin.

# ROZDZIAŁ 9

W ciągu tych dwudziestu godzin Aleksander Jewgien je wicz starał się możliwie obiektywnie ocenić sytuację. Były dwie możliwości. Albo Lebediewa współpracuje z Pietrowką, więc jest podejrzany i chcą go sprowokować, albo to zwykła szantażystka. Skąd miała maszynopis? Prawdopodobnie człowiek wynajęty do przeszukania gabinetu Fiłatowej znalazł cztery egzemplarze, trzy oddał, a jeden zatrzymał dla siebie, żeby wyciągnąć później od Pawłowa pieniądze. Jeśli tak, to wszystko w porządku, egzemplarz można odkupić i po sprawie. Ten, kto go sprzedaje, nie zna jego właściwej wartości. Jeśli zaś Łarisa otrzymała egzemplarz inną drogą, jeśli działa nie w imieniu tego typu, tylko we własnym, jeśli przeczytała pracę, to sytuacja się komplikuje. Jest trzecią osobą, która dobrze zna treść pracy doktorskiej Pawłowa, poza nim samym i oczywiście Fiłatową. Kto wie, do jakich wniosków doszła. Chociaż, jeśli ta panienka nie jest z Pietrowki, to do żadnych szczególnych wniosków nie doszła. Zawsze może jej powiedzieć, że Fiłatowa była jego kochanką, chciał jej pomóc przy monografii i zgodził się, by wykorzystowała jego pracę – i tak nikt jej nigdy nie czytał, niech ukochana kobieta ma przynajmniej publikację. To nie jego wina, że wykorzystowała jego szlachetne pobudki w tak nieuczciwy sposób, przepisując wszystko słowo w słowo. Oczywiście to plagiat, ale zmarłych się nie osądza. Rozwiązanie było więc proste: sprawdzić, czy Lebediewa nie jest związana ze śledztwem w sprawie

zabójstwa. Jeśli nie, w żadnym wypadku nie płacić, jest nieszkodliwa. Jeśli tak – trzeba jeszcze się zastanowić.

Pawłow miał na Pietrowce swojego człowieka i właśnie do niego się zwrócił z prośbą o sprawdzenie, kim jest Łarisa Lebiediewa, dziennikarka, koło trzydziestu pięciu lat, zamężna, mąż pracuje w MSZ, urodzona w Azerbejdżanie. „Swoją człowieka” zadzwonił po godzinie i poinformował, że nie znalazł w Moskwie Łarisy Lebiediewej o takich danych osobowych. To znaczy Lebie diowych jest mnóstwo, ale żadna nie pasuje albo ze względu na wiek, albo na zawód, albo na miejsce urodzenia. Pierwszy etap sprawdzania Pawłow miał więc za sobą, teraz zamierzał zastosować dość sprytny chwyt. Pojedzie do GUWD do Gordiejewa, pod pretekstem zapytania, jak się mają sprawy z poszukiwaniem zabójcy, i poprosi go przy okazji, by zbadał, kim jest Lebiediewa. Jeśli kobieta współpracuje z nimi i działa na ich polecenie, Gordiejew powie, że Lebiediewa istnieje, i powtórzy całą jej legendę. Aleksander Jewgienjewicz był bardzo zadowolony ze swego pomysłu. Mógł, jeśli się uda, upiec dwie pieczenie na jednym ogniu: nie tylko sprawdzić, kim jest szantażystka, ale, w razie jej związku z Gordiejewem, pokazać, że w ogóle się jej nie przestraszył, że nie ma nic do ukrycia, że wszystkie podejrzenia pod jego adresem są absolutnie bezpodstawne, jako że nie bał się pójść do Gordiejewa ze swoimi kłopotami. Pawłow zadzwonił do Gordiejewa i uprzedził go o swojej wizycie, ale mimo to nie zastał pułkownika na miejscu o umówionej porze. Aleksander Jewgienjewicz nacisnął klamkę zamkniętych drzwi i niepewnie podszedł do okna, zastanawiając się, czy zaczekać na powrót Gordiejewa, czy może przyjechać później jeszcze raz. Nie chciał odkładać wizyty, była już prawie dwunasta, o

wpół do szóstej zadzwoni Lebediewa, a on musi przygotować się do rozmowy z nią. Słyszając pospieszne kroki na korytarzu, obejrzał się i zobaczył Igora Lesnikowa.

– Pan do Gordiejewa? Jest u generała, proszę przyjść za dwie godziny – nie zatrzymując się, rzucił Lesnikow. Dwie godziny! Pawłowowi było to bardzo nie na rękę. Zrobił zdecydowany krok do przodu i wyciągnął dłoń, by się przywitać.

– Pułkownik Pawłow. Ze Sztabu MSW – przedstawił się.

– Kapitan Lesnikow, wydział zabójstw – uśmiechnął się Igor, mocno ściskając rękę Pawłowa. – Mogę panu w czymś pomóc?

– Chyba tak.

– Zapraszam do mojego gabinetu.

– Proszę mi mówić Igorze Walentinowiczu. Co pana do nas sprowadza?

– Chodzi o to, Igorze Walentinowiczu, że interesuje mnie pewna kobieta... – Pawłow chwilę się zawahał. – Piękna kobieta, ale trochę dziwnie się zachowuje. Była na konferencji prasowej w ministerstwie, przeprowadzała ze mną wywiad na temat zwalczania korupcji, ale coś mnie w niej niepokoi. Jednym słowem...

– Zrozumiałem, towarzyszu pułkowniku. Chce pan, żebym sprawdził przez centralne biuro adresowe, kim ona jest? Zaraz to zrobimy. – Igor otworzył notes, przygotowując się do zapisywania. – Proszę o jej dane.

Pawłow podyktował wszystko, co wiedział o Łarisie Lebediewej.

– A imię ojca?

– Nie znam. – Pawłow rozłożył ręce.

Lesnikow wybrał numer telefonu, długo o coś pytał, robiąc notatki w notesie, uściślał, prosił o sprawdzenie, wreszcie odłożył słuchawkę i powiedział zmartwiony:

– Muszę pana rozczarować, towarzyszu pułkowniku. Albo pan coś nie tak zrozumiał, albo nie powiedziała panu prawdy. Łarisa Lebediewa nie figuruje wśród mieszkańców Moskwy.

– Tak myślałem. – Pawłow odetchnął z ulgą. – Bardzo panu dziękuję. Nie będę panu dłużej zawracał głowy, Igorze Walentinowiczu, proszę przekazać panu Gordiejewowi, że byłem, ale nie doczekałem się go.

– Przekażę. Wszystkiego dobrego.

Igor stał przy oknie, póki nie zobaczył Pawłowa na dziedzińcu. Począł, aż ten minie dyżurnego przy bramie i skieruje się do wozu, po czym wziął słuchawkę i wybrał numer wewnętrzny.

– Wszystko w porządku, Wiktorze Aleksiejewiczu, poszedł.

– Świetnie – usłyszał krótką odpowiedź.

\*\*\*

Dokładnie o siedemnastej trzydzieści w gabinecie głównego eksperta Pawłowa zadzwonił telefon. Aleksander Jewgienjewicz niespiesznie podniósł słuchawkę, uprzejmie przywitał się z Łarisą Lebediewą i starannie unikając wzmianek o interesującej ich sprawie, zaproponował jej kolację w cichej restauracji „Tadżykistan”, mieszczącej się w zaułku niedaleko stacji metra Wojkowska. Ton rozmowy i jej wynik w pełni zadowalały

szantażystkę Liebiediewą, ale nie bardzo się spodobały majorowi Kamieńskiej. Wiedziała, że obok metra Wojkowska mieszczą się w jednym budynku Akademia MSW i kilka wydziałów instytutu, również ten, w którym pracowała Fiłatowa. Pawłow wyraźnie chciał wzbudzić w niej obawę, że zostanie rozpoznana przez pracowników, którzy wychodzą zwykle z pracy o tej porze i idąc do metra, przechodzą akurat obok restauracji. Świadczyło to o tym, że wymyślona przez Gordiejewa i Lesnikowa gra nie całkiem go przekonała. Nastia z wdzięcznością pomyślała o swoim szefie, który nie pozwolił jej przesłuchiwać w instytucie kolegów Fiłatowej. Zresztą i tak nikt by jej nie rozpoznał w Łarisie Liebiediewej.

Minęła już prawie godzina spotkania, a rozmówcy nie poruszyli jeszcze głównego tematu. Każde z nich czekało, że to przeciwnik zrobi pierwszy krok, a wtedy można byłoby się zorientować, co zamierza. Pawłow złośliwie czekał na moment, kiedy będzie mógł zdemaskować tę oszustkę z jej bajeczkami o dzieciństwie wśród Turków i fałszywymi papierami. Nastia miała własne plany. Obmyśliła przebieg rozmowy na podstawie sporządzonego przez Wołodę Łarcewa portretu psychologicznego Pawłowa, opartego na twierdzeniu: „Nigdy nie planuje na parę posunięć naprzód. Mając w rękach jeden atut, jest przekonany, że wygra. Jeśli odkrywa, że to wcale nie atut, traci zimną krew i nie wie, co robić. Bezkrytyczny w stosunku do własnej osoby”. Przy sąsiednim stoliku rozmawiało dwóch mężczyzn w wyraźnie skandynawskim typie. Jeden z nich, przystojny flegmatyczny blondyn, co chwila zerkał na Łarisę, co nie umknęło uwagi czujnego Pawłowa. – Szwed przy stoliku obok patrzy na panią jak kot na śmietankę – uśmiechnął się. – Duńczyk –

poprawiła automatycznie. – Skąd pani wie? – Nie wiem. Słyszę ich rozmowę. – Zna pani duński? – zdziwił się Pawłow.

– Duński też. Ja znam wiele rzeczy, Aleksandrze Jewgienjewiczu.

Pierwszy krok został więc zrobiony. Pawłow nagle zrozumiał, co go tak niepokoiło od samego początku ich spotkania.

– Łariso, a gdzie podział się pani akcent?

– No nareszcie. – Roześmiała się. – Pan jest albo niezbyt spostrzegawczy, albo bardzo cierpliwy. Akcent schowałam do szafy do następnego razu. W tej chwili nie jest mi potrzebny... – Chce pani powiedzieć, że...

– Właśnie, Aleksandrze Jewgienjewiczu. Tani chwyt, ale pan dał się na to nabrać. I pociągnął za sobą swego przyjaciela Rudnika. Za wszystko, co opowiedział, dobrze mi zapłacą. Więc bardzo panu dziękuję.

– A życie z mężem na Wschodzie? Też bajeczka? – Oczywiście.

– A mama Turczynka?

– Aleksandrze Jewgienjewiczu – cierpliwie wyjaśniała Lebediewa – nigdy bym do niczego nie doszła, gdybym opowiadała o sobie prawdę. To chyba oczywiste? Życie jest dziwne – pomyślała Nastia.

– W ciągu ostatnich pięciu minut nie skłamałam ani razu. Mówię szczerą prawdę. A jednocześnie wszystko to – same kłamstwa. Zwariować można.

– Mogę zerknąć na pani dokumenty?

– Nie może pan – odparła spokojnie, patrząc Pawłowowi prosto w oczy.

– Rozumiem.

Pawłow duszkiem dopił koniak i sięgnął po papierosy. Nie ma sensu wypytywać, pomyślał. Scena ze zdemaskowaniem oszustki wzięła w łeb. Lebediewa była na konferencji prasowej, więc musi mieć jakiś dowód tożsamości. Później sam po nią wychodził z ministerstwa i przeprowadzał przez portiernię.

– Może przynajmniej imię ma pani prawdziwe? Łarisa – to prawdziwe imię? Nie pytam już o nazwisko, ale muszę przecież jakoś się do pani zwracać.

– Po co te pytania, Aleksandrze Jewgienjewiczu? Przecież nie ma pan zamiaru się ze mną żenić.

– Jak mogę poważnie rozmawiać z kimś, kogo w ogóle nie znam?  
– nalegał Pawłow.

– Nie ma pan wyjścia, będzie pan musiał. Więc zdecydował się pan jednak porozmawiać? Cieszy mnie to. Żeby nasza rozmowa była rzeczowa i treściwa, chciałabym coś wyjaśnić. Nie ma pan nic przeciwko temu?

– Słucham panią.

– Aleksandrze Jewgienjewiczu, traktuję swoją pracę bardzo poważnie. I proszę nie nazywać mnie szantażystką nawet w myślach. Zdobywam informacje, analizuję je i sprzedaję wynik tej analizy. Do każdej operacji przygotowuję się starannie i skrupulatnie. Poza tym gram fair. Dlatego nikt jeszcze nie doniósł o moich, powiedzmy, interesach władzom. Niech więc pan od razu porzuci nadzieję, że przestraszę się pana. Sądząc po tym, że jemy razem kolację, jest pan zainteresowany moją propozycją. Żeby uniknąć zbędnych pytań z pańskiej strony, powiem od razu: tekst sprzedaję osobno, informację osobno. Chce pan mieć tylko tekst

pracy? Kosztuje sto tysięcy rubli. A może nie jest panu potrzebny, tylko chce pan wiedzieć, jak się u mnie znalazł i kto jeszcze o nim wie. Ta informacja będzie pana kosztowała pięćdziesiąt tysięcy. Wszystko razem – sto czterdzieści tysięcy. W promocji. Teraz słucham pana.

– Szczerze mówiąc, nie byłem przygotowany na tak otwarte postawienie sprawy. Skąd pani przyszło do głowy, że chcę zapłacić? Skąd pewność, że się pani boję?

Rzeczywiście, skąd – pomyślała Nastia. – Wyłącznie na podstawie domysłów, niczym niepodważonych, ale i niczym niepopartych. Cholera, czyżbym się myliła? Nie, jeśli nawet nie ma nic wspólnego z zabójstwem, i tak sprawa z jego pracą doktorską jest podejrzana.

Podczas gdy Nastię Kamieńską dręczyły wątpliwości, Łarisa Lebediewa mówiła:

– Nie powinien pan się mnie bać, nie o to mi chodzi. Nie lubię ludzi zastraszonego. Wolę mieć do czynienia z równymi partnerami, a nie z ofiarami. Nie chce mi pan zapłacić? Nie musi pan. Znajdę innego klienta. Proszę mnie zrozumieć: nie naciskam na pana i niczego nie żądam. Proponuję panu towar. Nie jest pan zainteresowany? To po co pan tu przyszedł?

– Interesuje mnie pani, Łariso. Skorzystałem po prostu z okazji, by się z panią zobaczyć. Nie przyszło to pani do głowy?

– Nie. Skoro tak chętnie skierował mnie pan do Rudnika, pewnie wyrobił pan sobie określoną opinię o mojej osobie. I już to wyklucza pańskie zainteresowanie mną osobiście. Pan jest odpowiedzialnym pracownikiem MSW, ja – zakamuflowaną cudzoziemką, zbierającą polityczne informacje. Czy pan jest aż tak lekkomyślny? Tylko niech

mi pan nie opowiada, że stracił pan głowę, widząc przed sobą femme fatale. Więc po co pan tu przyszedł?

– Z ciekawości. Nigdy nie byłem w podobnej sytuacji.

– Zachciało się panu mocnych wrażeń?

– Założmy.

– To niech pan podejdzie do kierownika, pokaże mu swoją legitymację pułkownika milicji, zadzwoni po patrol i przekaże mnie im jako szantażystkę. Co panu przeszkadza to zrobić? Nie będę miała o to do pana żadnych pretensji. Jeśli pan to zrobi, będę wiedziała, że popełniłam w swych obliczeniach jakiś błąd i pan jest niewinny jak noworodek. Odpowiem za swoją pomyłkę. Tylko proszę wziąć pod uwagę fakt, że mnie to niczym nie grozi. Powie im pan, że pana szantażuję, a ja wykorzystam pańską broń i powiem, że zakochałam się w panu bez pamięci i wymyślałam powody do spotkań. Nie widział pan moich dokumentów, ale zapewniam pana, że są w porządku. Zabiorą mnie na posterunek, pouczą i wypuszczą. Przeżyję parę przykrych chwil, ale taka jest cena za pomyłkę w obliczeniach. Ryzyko zawodowe.

Mój Boże, jestem szczerą do obrzydliwości. Mówię szczerą prawdę, zwłaszcza o pomyłce w obliczeniach. I o ryzyku zawodowym. Co za sytuacja!

– I proszę pamiętać, Aleksandrze Jewgienjewiczu, pana na pewno zapytają, kim jestem. A jeśli w dokumentach mam zupełnie co innego? Co wtedy pomyślą o panu milicjanci? Główny ekspert Sztabu MSW chodzi na randki nie wiadomo z kim. A może, nie daj Bóg, okażę się prostytutką czy narkomanką. Nie boi się pan?

Nieładnie będzie to wyglądało. Zapytają też pana, czym pana szantażują. Więc nie tylko ja przeżyję nieprzyjemne chwile.

Pawłow milczał, nie odrywając wzroku od palącego się papierosa. Był zmuszony przyznać, że Łarisa ma rację. Powinien podjąć jakąś decyzję, ale zanim to zrobi, musi wiedzieć, jak dużo ona wie. Zapłacić? A co dalej? Sto czterdzieści tysięcy jakoś znajdzie, ale gdzie gwarancja, że na tym się skończy? Istnieje przecież zasada, by nie płacić szantażystom. Ugniesz się, zapłacisz raz – i będą cię nękać przez wiele lat. Nie zapłacić? Gdyby wiedział, komu ona chce pokazać pracę, jeśli nie będzie jej chciał od niej odkupić... Mógłby spróbować zapłacić tylko za informację i później zorientować się na jej podstawie, jak daleko zaszły sprawy. A jeśli Łarisa go oszuka? Jak sprawdzić, czy mówi prawdę?

– Nie mogę wierzyć pani na słowo – powiedział głucho, nie podnosząc wzroku. – Muszę mieć gwarancje. Po pierwsze, chcę mieć pewność, że ma pani ostatni i jedyny egzemplarz książki, że nie zrobiła pani kserokopii i nie będzie pani później żądała ode mnie kolejnych pieniędzy. Po drugie, jeśli zapłacę pani za informację, skąd pani ma ten egzemplarz, muszę wiedzieć, czy mówi pani prawdę. Po trzecie, gdzie gwarancja, że opowiedziała to pani tylko mnie.

– Ma pan duże wymagania, Aleksandrze Jewgienjewiczu – uśmiechnęła się Lebediewa. – Odpowiem po kolei. Widział pan kartki z rękopisu i mógł się pan przekonać, że egzemplarz jest prawie nieczytelny. Nie da się zrobić z niego kopii nawet na najlepszej kserokopiarce. Jeśli chodzi o gwarancje, czy mówię prawdę, to tu mogę się odwołać do pańskiego zdrowego rozsądku. Mówiłam już panu, że gram fair. Gdybym nie była fair w stosunku

do swoich partnerów, gdybym złamała warunki umowy, to dawno bym już siedziała za kratkami albo wysłaliby mnie na tamten świat. Na szczęście jeszcze żyję i jestem wolna. Wystarczy to panu?

– Nie wiem. – Pawłow westchnął. – Nie zwykłem rozmawiać na takie tematy. Muszę się jeszcze zastanowić.

– Niech się pan zastanowi – zgodziła się. – Ile czasu pan na to potrzebuje? Dzień? Dwa?

– Pięć – poprosił Pawłow. – A najlepiej – tydzień. Jeśli zdecyduje się na ten... hmm... interes, muszę jeszcze zdobyć pieniądze.

– Pójdę panu na rękę. Niech będzie tydzień. Ale to maksimum, na jakie mogę się zgodzić. Albo pan zapłaci, albo towar pójdzie do kogo innego.

– Do kogo? – wyrwało się Pawłowowi.

– Drogi panie, niech pan nie będzie taki sprytny! – roześmiała się z całego serca Łarisa. – Jeśli panu powiem, komu zaproponuję swój towar, pan od razu odgadnie połowę, a może całą informację, którą oceniam na pięćdziesiąt tysięcy. Chce pan ją dostać bezpłatnie? Wie pan co – dodała poważnie – wydaje mi się, że dobrana z nas para, warci jesteśmy sobie. Po ubiciu tego interesu bardzo możliwe, że zaproponuję panu współpracę.

– Jak pani śmie! – Pawłow zakrztusił się z oburzenia. – Spokojnie, Aleksandrze Jewgienjewiczu – miękko powiedziała Łarisa, kładąc dłoń na jego rękę. – Uprzedzałam już pana, że traktuję swoją pracę poważnie. Ja nie blefuję. Nigdy. I jeśli mówię, że jesteśmy sobie warci, to mam do tego podstawy. A poziom mojego profesjonalizmu może pan ocenić po epizodzie z Rudnikiem. Pawłow gwałtownie cofnął rękę.

- Jak panią znajdę?
- Zadzwońię do pana za tydzień.
- A jeśli się zdecyduję wcześniej?
- Dobrze, zadzwonię za trzy dni. Mogę dzwonić codziennie, jeśli pan chce. Tylko niech pan nie będzie dziecinny, swojego telefonu panu nie dam. I niech pan się nie trudzi, próbując namierzyć mój numer, będę dzwoniła z budki.

Łarisa cały czas mówiła łagodnie, głosem niskim i przyjaznym, z serdecznym i ciepłym uśmiechem. Ale Pawłow miał wrażenie, że trzyma go za gardło żelazna ręka.

\*\*\*

Rozpoczął się chyba najdłuższy i najtrudniejszy tydzień w życiu Nasti Kamieńskiej. Przebywając w cudzym mieszkaniu i nie mogąc powrócić do normalnego trybu życia, zmagala się z niepokojem i wątpliwościami i dosłownie umierała ze strachu, wychodząc z domu. Rozpracowali wspólnie z Gordiejewem scenariusz, według którego w pobliżu Łarisy Lebediewej lub jej mieszkania musi w końcu pojawić się zabójca. Technik Zubow zabezpieczył na miejscu zbrodni pewne ślady, które wprawdzie nie mogły pomóc w schwytaniu zabójcy, ale pozwalały na jego identyfikację. Mówiąc krótko, gdyby złapali killera, mogliby dokładnie ustalić na podstawie tych śladów, czy to on był w mieszkaniu Fiłatowej, kiedy zginęła. Mimo że na miejscu zbrodni został zatrzymany Dima Zacharow, Zubow, człowiek posepny, małomówny i niezwykle uparty, odporny na sugestie i namowy, zareagował na ciepły czajnik

w jedyny prawidłowy sposób: jeśli na zabitą ktoś czekał, trzeba spróbować znaleźć w mieszkaniu ślady jego obecności. Lufciki były pootwierane na oścież, ale minęło zbyt mało czasu od momentu, kiedy zabójca opuścił miejsce zbrodni. Zubow obejrzał pokoje okiem profesjonalisty; wieloletnie doświadczenie mówiło mu, że jeśli tu coś jeszcze zostało, to prawdopodobnie zapach oraz mikroślady skóry i włosów na miękkim włóchatym obiciu górnej części oparcia fotela. Te mikroślady nie należały ani do Iriny, ani do jej ojca. Znaleźć zabójcę wśród wielu milionów mieszkańców kraju na ich podstawie było rzeczą niemożliwą, ale jeśli pojawi się konkretny podejrzany... Właśnie takiego podejrzanego chciał złapać Gordiejew, wystawiając jako przynętę Łarisę Lebiediewą. Liczyli na to, że Pawłow będzie zmuszony skorzystać z usług tego samego człowieka, który zabił Fiłatową. Żeby oczekiwania się spełniły, musiałyby być spełnionych kilka warunków: Pawłow powinien rzeczywiście porządnie wystraszyć się Łarisy Lebiediewej, ale nie mógł przy tym do nikogo się zwrócić z prośbą o skontaktowanie go z płatnym zabójcą. Musiał wykorzystać kontakt, który już miał. Sądząc po tym, że skorzystał z usług killera najwyższej klasy, powinien mieć wśród bliskich znajomych kogoś (może nie była to jedna osoba) z elity świata przestępczego, kto mu to umożliwił. Albo jest to ten sam człowiek, którego Aleksander Jewgienjewicz tak panicznie się boi, że aż musiał zabić Fiłatową, albo nie. Jeśli są to dwie różne osoby, prawie nie ma szans, by Pawłow zwrócił się do tego samego zabójcy. Poprosi wtedy, by skontaktowano go z kimś innym, co będzie z jego strony jedynym dobrym rozwiązaniem. Ale jeśli jest to jednak ten sam człowiek, Pawłow będzie się bał prosić go o pomoc, bo musiałby wtedy wyznać jakieś swoje grzechy.

Możliwość złapania zabójcy Fiłatowej w tym przypadku jest całkiem realna. Wóz albo przewóz.

Tak to wyglądało w oczach pracowników wydziału zabójstw. Ale Pączek-Gordiejew obmyślił grę o wiele zręczniejszą i chytrzejszą. I potrzebował do tego Nasti, z którą po jej wyjściu z restauracji „Tadżykistan”, mógł się porozumiewać wyłącznie telefonicznie. – Anastazjo, coś ci podyktuję, ale nie notuj tego. Chirurg, Buriat, Gal, Italianiec, Carden, Black. Zapamiętałaś? No to masz się czym zająć, żeby się nie nudzić. Przymierz każdą ksywkę do hipotetycznego zabójcy Fiłatowej.

– Dobrze – odpowiedziała z roztargnieniem Nastia. – Spróbuję.

Popatrzyła z irytacją na swoje odbicie w lustrze. Niedobrze jej się robiło na widok Lebediewej. Od mocnego makijażu w taki upał popsuka jej się cera, całą twarz miała podrażnioną i w wypryskach. Bała się brać środki nasenne, żeby nie stracić w nocy czujności i jasności umysłu, ale po kilku nieprzespanych nocach bolała ją głowa i czuła się osłabiona. Wprawdzie sprawa tkwiła w martwym punkcie, ale sytuacja mogła się zmienić w każdej chwili, toteż Nastia nawet w mieszkaniu musiała pozostawać Lebediewą i każdego ranka przesiadywała przed lustrem, podkręcając ufarbowane włosy i malując twarz. Zostawiała też trochę makijażu na noc, na wypadek, gdyby musiała otworzyć drzwi jakiemuś nieproszonemu „gościowi”. Próbowała porozmawiać na ten temat z Gordiejewem, ale nic nie wskórała. Wydawało jej się, że wystarczy podsunąć Pawłowowi jej adres i można spokojnie czekać, jak zjawi się wykonawca. Ale Gordiejew uporczywie robił z Lebediewej człowieka niewidzialnego, a ściślej mówiąc – nieuchwytnego, kobietę bez imienia i adresu. Jeśli ich plan się powiedzie, sprawi to

Pawłowowi albo wynajętemu przez niego zabójcy dodatkowe kłopoty, bo będą musieli ustalić jeśli nie tożsamość szantażystki, to chociażby jej adres. Co znaczy, że w każdej chwili do drzwi mógł zadzwonić „ślusarz”, „stolarz” czy „chłopak, szukający Kati. Nie mieszka tu? Przepraszam”. Nie musi to być koniecznie zabójca, może być ktokolwiek, komu zapłacą za to, żeby się dowiedział, w którym mieszkaniu mieszka długonoga piękność o kasztanowych włosach i brązowych oczach. Sprawiało to oczywiście Nasti mnóstwo kłopotów, zmuszając ją do pozostawiania Lebediewą przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Złościła się na Pączka tylko przez pół dnia, ale później doceniła jego pomysł, a raczej kolejną zagadkę, którą chciał w ten sposób rozwiązać.

Po otrzymaniu od szefa sześciu ksywek, snuła się chwilę bez celu po mieszkaniu, a potem zajęła się urządzeniem miejsca pracy. Czysty stół w kuchni, mocna kawa, papierosy, sześć kartek papieru z nic nieznaczącymi dla niewtajemniczonego nagłówkami. Upiła łyk kawy i zamknęła oczy. Chirurg... Carden... Lubi się modnie ubierać? Czy sam jest projektantem mody? Buriat... Od miejsca urodzenia? Z uwagi na wygląd? Black. Nic nie przychodzi do głowy. Pusty dźwięk czy po przetłumaczeniu z języka obcego nabiera dodatkowego znaczenia? Italianiec... Podobny do znanego aktora? Czy uczył się włoskiego? Brunet z temperamentem, ale nie w typie kaukaskim?

Nastia metodycznie powtarzała w myślach niezrozumiałe słowa ksywki i próbowała wszystkich tłumaczeń i znaczeń, poczynając od najbardziej powierzchownych, a kończąc na absolutnie pozbawionych logiki, niemających najmniejszego sensu. W pewnym momencie poczuła znajomy skurcz żołądka, ale nie wiedziała, przy którym pytaniu to nastąpiło. Po paru minutach sytuacja się

powtórzyła i Nastia znów nie zdążyła uchwycić myśli, a nawet nie myśli, tylko chwilowego odruchu w podświadomości. Zaczęło ją to już denerwować. Obce mieszkanie, ta wymuszona przewodniczka pokrzyżowały jej plany. Zaczęły jej dokuczać plecy, ale nie było obok wiernego Loszki, który wiedział, jak jej pomóc. Nie wysypia się, denerwuje, źle się czuje – i oto skutki. Nie jest w stanie rozwiązać zadania analitycznego. To znaczy, nie chodzi o to, że nie może rozwiązać; na świecie istniało mnóstwo tajemnic, których Nastia Kamińska nie była w stanie rozwiązać. Rzecz w tym, że rozwiązanie istnieje, była tego pewna, czuła to po znajomych skurczach w brzuchu, ale po raz pierwszy w życiu nie mogła „ściągnąć” go z podświadomości i jasno sformułować. Widocznie rzeczywiście nie nadaje się do pracy operacyjnej, jeśli w warunkach fizycznego dyskomfortu jej umysł dosłownie odmawia posłuszeństwa. Nie bez powodu koledzy śmieją się z niej i obgadują za plecami. Pewnie, siedząc spokojnie w gabinecie, jak Kamińska, każdy z nich miałby świetne wyniki. A kiedy teraz ona musi pracować tak jak inni, okazuje się, że niewiele jest warta. Cała praca na nic. Wszystko na próżno. Zawali całą operację. Tyle wysiłku pójdzie na marne... Nastia podciągnęła kolana do piersi, wtuliła w nie twarz i gorzko się rozpłakała. Major milicji Kamińska, siedząca w cudzej kuchni w niezwykle wyzywającym neglizżu, który w razie pojawienia się nieproszonych „gości”, miał podkreślać jej długie nogi, opłakiwała swoją służbę w wydziale kryminalnym, gotowa przyznać się jutro do zawodowej porażki. Nagle jej łzy w cudowny sposób wyschły. Rozmazując po twarzy tusz do rzęs, szybko przeszła do pokoju i zaczęła wpatrywać się w zawieszzone na ścianach półki. Obejrzała uważnie po kolei wszystko,

co na tych półkach stało: książki, drobiazgi, zdjęcia – nic niezwykłego. Potem zasepiła się, głęboko westchnęła kilka razy, gwałtownie wypuszczając powietrze, żeby opanować drżenie rąk i walenie serca, i podeszła do telefonu.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, ma pan moje klucze? Niech ktoś otworzy mój sejf, na dolnej półce są zdjęcia z mieszkania Fiłatowej.

Czekając na telefon, jeszcze raz przejrzała bibliotekę młodszego Gordiejewa, szukając encyklopedii. Niestety, nie znalazła, ale na szczęście było dużo książek z historii starożytnej. Szybko je przekartkowawszy, zatrzymała się na pierwszym tomie *Historii Francji*, otworzyła potrzebną stronę i siadła przy telefonie. Kiedy zadzwonił Misza Docenko, zadała mu kilka pytań, na które ten odpowiedział, patrząc na jedno ze zdjęć. Teraz już wiedziała, kto z tej szóstki mógł odwiedzić mieszkanie Fiłatowej. Była pewna, że się nie myli. Podniosła słuchawkę i zadzwoniła do Gordiejewa.

\*\*\*

Od stacji Trudowaja Gordiejew nie poszedł posypaną żwirem dróżką, która okrążała osiedle domków letniskowych, ale wybrał drogę na skróty – ledwo widoczną ścieżkę wydeptaną w trawie. W Trudowej były dobrze wszystkim znane „generalskie” daczki, które zajmowały rozległy teren z ogrodami, zagajnikami i kortami tenisowymi.

Wiktor Aleksiejewicz otworzył furtkę i grzecznie się zatrzymał, czekając na właściciela. Dobrze znał tę daczę i pamiętał, że jeśli zrobi bez wiedzy i zgody gospodarza choćby jeden krok, będzie miał

do czynienia najpierw z rasowym dobermanem, a potem – z lekarzami, a może nawet z samym Panem Bogiem. Zobaczywszy na tarasie znajomą siwą głowę, Gordiejew w porę się powstrzymał, żeby nie zamachać ręką (tego pies też nie lubił) i zawołał niegłośno (znów biorąc pod uwagę charakter dobermana): – Jewsieju Iljiczu! To ja, Gordiejew!

Siwy człowiek powoli zszedł z ganku i ruszył w stronę gościa. Kiedy był już całkiem blisko, powiedział przeciągle:

– Patrzcie no, to rzeczywiście Gordiejew. Po co przyszedłeś? Wyraźnie ci powiedziałem: póki nie zbierzesz przeciwko mnie worka dowodów, lepiej się nie pokazuj. Zebrałeś?

– Nie – odparł Pączek.

– Więc wynocha – powiedział twardo Jewsiej Iljicz i skierował się w stronę domu.

– Chciałem zwrócić dług – cicho rzucił za nim Gordiejew.

Jewsiej Iljicz zatrzymał się i powoli, bardzo powoli się obejrzał.

– Niczego ci nie pożyczałem, Gordiejew. Powiedziałem – wynocha.

– Uratował mi pan chłopaka.

– No to on mi jest dłużny, niech więc sam zwraca. A z tobą, Pączek, nie mamy o czym gadać. I nie będziemy mieli.

To lekceważące „Pączek” z ust Jewsieja Iljicza było dla Gordiejewa niczym policzek, wymierzony ubrudzoną w gównie ręką. To przezwisko przyklepiono mu wiele lat temu, ale nawet stary Gołubowicz nigdy się tak do niego nie zwracał. A postawny, o głowę wyższy od Gordiejewa, krzepki, mimo wieku, zawodowy

przestępca Jewisiej Iljicz Dorman, w młodości wielokrotnie karany, przez ostatnie dziesięć lat zaś oficjalnie zażywający zasłużonego odpoczynku, mógł sobie na to pozwolić. Ponieważ po wielu głupstwach i błędach popełnionych w młodości, dopiero w wieku sześćdziesięciu lat nauczył się nie wchodzić władzy w drogę. Taka była oficjalnie głoszona przez niego wersja, nikomu jednak nie wyjaśnił, czy oznacza to, że nauczył się żyć, nie łamiąc prawa, czy łamał prawo tak, by móc spokojnie żyć. Zeszłego roku chłopcy Gordiejewa zatrzymali na dacy Jewsiejja Iljicza dwóch uzbrojonych przestępców i Dorman, pod wpływem nagłego i niewytłumaczalnego porywu, uratował życie Jurze Korotkowowi. Kierujący zatrzymaniem Gordiejew już pożegnał się w myślach z Jurą, pewny, że ten nie wyjdzie stamtąd żywy. Dorman wówczas z łatwością dowiódł, że nic nie wiedział o przestępczej działalności zatrzymanych, nie udało się więc oskarżyć go o ukrywanie bandziorów; zresztą, nie bardzo się przy tym upierali, biorąc pod uwagę pomoc w uratowaniu Korotkowa.

Gordiejew znał Dormana od wielu lat, ich stosunki były dość skomplikowane i bardziej przypominały solidny konflikt, niż niepewną zgodę.

– Jewsiejju Iljczu, niech pan zaczeka – zawołał niemal z rozpaczą Gordiejew. – To nieuczciwe.

– Co ty powiesz? – Dorman wrócił do Gordiejewa. – Ciekawe. Przyjechałeś podyskutować ze mną na tematy filozoficzno-etyczne?

– Wiąże mi pan ręce – powiedział Gordiejew twardym i pewnym tonem, widząc, że może tym zainteresować Dormana, który był chorobliwie drażliwy na punkcie honoru. – Dobrze pan wie, że chłopak, którego pan uratował, nigdy nic przeciwko panu nie

znajdzie. Jest jeszcze młody, nie ma takiej wprawy. Ale ja mogę znaleźć, jeśli zechcę. Tylko jak mógłbym to zrobić, zawdzięczając panu życie chłopaka? Plan zatrzymania przygotowywałem ja, ja też kierowałem akcją, to, że o mały włos nie zginął, to moja wina, moje niedopatrzenie. Gdyby coś mu się stało, do końca życia bym sobie nie wybaczył. Pan mnie przed tym ocalił, pomógł mi pan, czuję się pańskim dłużnikiem. Nie chce pan ze mną rozmawiać? To znaczy, że nigdy nie będę mógł przyjść tu z workiem oskarżeń. Sumienie mi na to nie pozwoli. Może mam wypaczone sumienie, ale nic na to nie poradzę. I co się okazuje? Przedtem walczyliśmy czysto: pańska fachowość przeciwko mojej. A teraz? Pański spryt przeciwko mojemu sumieniu?

Monolog brzmiał przekonująco, Jewsiej Iljicz trochę zmiękł. Pstryknął palcami, żeby uspokoić psa, którego Gordiejew nie widział i nie słyszał, zrobił zapraszający gest i poprowadził gościa do domu obok wspaniałych klombów z kwiatami. Dorman nie przepadał za pracą fizyczną, nie uznawał „grzebania się w ziemi”, miał wystarczająco dużo pieniędzy, by kupować sobie owoce i warzywa na bazarze, i na dacy, gdzie mieszkał przez okrągły rok, hodował tylko kwiaty, które zawsze kochał. Wprawdzie pielęgnowała je miejscowa kobieta, bo Dorman był na to zbyt leniwy, ale kochał piękno i był gotów za nie zapłacić.

Siadając na wielkim tarasie przy stole, Dorman sucho rzucił:

– Nie zapraszałem cię w gości, więc nie proponuję herbaty. Mów, czego chcesz.

– W nocy z dwunastego na trzynasty zamordowano w Moskwie kobietę, oficera milicji, inscenizując nieszczęśliwy wypadek, śmierć w wyniku porażenia prądem. Ale zabójca zrobił to bardzo

nieumiejętnie, topornie, co rzuca się w oczy. Zostawił po sobie dużo śladów. Mało tego, zapomniał o ostrożności i są świadkowie, którzy go widzieli. Ale najgorsze jest to, że zrobił się gadatliwy. Starzeje się, nerwy go zawodzą. Znamy już jego ksywkę – Gal. Mieszka w Leningradzie, to znaczy w Sankt Petersburgu. Nie wiem, komu ta informacja może się przydać, i nie chcę wiedzieć. Ale jestem pewien, że znajdą się tacy, którzy będą panu wdzięczni, że ich pan uprzedził: Gal jest zmęczony, traci swoje umiejętności i robi się nieostrożny. Po raz pierwszy w jego karierze zawodowej zostało wszczęte postępowanie w sprawie dokonanego przez niego zabójstwa, dlatego będą go ścigać, póki nie złapią, i będą sprawdzać wszystkie pozostawione przez niego w miejscu przestępstwa ślady. Widzę tu dwa wyjścia. Albo umożliwić nam zamknięcie śledztwa i ujęcie zabójcy, ratując w ten sposób Gala, albo wydać nam Gala, jak najmniej przy tym tracąc. To wszystko.

Jewsiej Iljicz milczał tak długo, że Gordiejew już się przestraszył. Wreszcie Dorman rozłączył palce, na których opierał podbródek, postukał nimi o stół, zagryzł dolną wargę. Spojrzenie jego wilgotnych wyłupiastych oczu zatrzymało się najpierw na twarzy Gordiejewa, potem na jego okrągłej, tęgiej sylwetce. Usta, które nawet na starość nie straciły wyraźnego kształtu, drgnęły w uśmiechu.

– Dobrze, Gordiejew, zapracowałeś sobie na herbatę. Zaczekaj, zaraz wracam.

Zostawszy sam, Wiktor Aleksiejewicz poczuł, że się rozluźnia. Nie miał nawet pojęcia, jaki był spięty. Przy herbacie rozmowa potoczyła się łatwiej.

– Szkoda mi ciebie, Gordiejew – mówił Jewsiej Iljicz, mieszając łyżeczką konfitury na kryształowym spodeczku. – Takim jak ty system wykręca ręce i odcina tlen, żądając przy tym pracy, wyników, sukcesów. Nigdy się nie zastanawiałeś nad tym, jaka to sprytna swołocz wymyśliła cały ten wasz milicyjny system? Chyba musieli wyłożyć milionowe łapówki na tę swołocz, żeby stworzyła reguły, zgodnie z którymi teraz działacie. Przecież wy o każdym swoim kroku musicie meldować. Żeby móc śledzić mnie, znanego w kraju przestępcę Jewsieja Dormana, musisz z kilogram papierów zużyć na raporty i różne tam zaświadczenia. Zanim je sporządzisz, a potem zanim dojdą do adresata, zdążę już dawno zwiać do Australii. Jaki dureń wymyślił, że musicie być krótko ostrzyżeni i porządnie ubrani? Jeśli milicjant jest krawężnikiem, zgoda, niech się ostrzyże. Ale jeśli śledczym, detektywem, przecież to dla niego jak metka z ogromnymi literami – uważajcie, obywatele, jestem szpiclem. Kto ustalił takie pensje dla milicjantów, że nie mogą kupić sobie ani mieszkania, ani samochodu? Nie wiesz? A ja wiem. Zrobiono to specjalnie, żeby zapewnić sobie przecieki informacji. Żeby być na bieżąco, kto czym się zajmuje, kto gdzie pojechał, kto kogo śledzi. Żeby was wszystkich trzymać pod kontrolą i w porę zatykać wam usta, jeśli będziecie się mieszać, w co nie trzeba. Żebyś nie mógł sobie kupić mieszkania, tylko był zależny od dobrego wujka. Żebyś nie mógł rozbijać się po ulicach własnym wozem i łapać przestępców, tylko prosił o służbowy, wtedy będą wiedzieli, dokąd i po co jeździłeś. A przy okazji trochę cię upokorzą, kiedy będziesz prosił o samochód, żebyś wiedział, gdzie twoje miejsce. A teraz w ogóle czeka cię okropne życie.

– Czemuż to? Gorzej chyba już być nie może.

– Uuu, kochany, może, jeszcze jak może. Zamiast tej sprytniej swołoczy przyszła nowa, chce budować państwo prawa i wolny rynek. Przecież to absurd, a wy to połykacie i siedzicie cicho. Jak teraz będziesz pracować, Gordiejew? Przy tym wolnym rynku, komercji i wielkich pieniądzech twoi detektywi pouciekają, kto będzie harował za nędzną milicyjną pensyjkę? Kto zostanie? Ci najgłupszy, powolni, leniwi, jednym słowem – balast. Zostaną też ci, co pracują dla nas, albo nauczyli się brać łapówki, czyli tacy, którym jest u was dobrze i niczego nie brakuje. No i młode pokolenie po studiach, które nic nie potrafi, a jak tylko się nauczy – albo przeniesie się do pierwszej grupy, do biznesu, albo do trzeciej – do łapówkarzy. A jak się nie nauczy – zostanie w drugiej, z dwójkowiczami i drugorocznymi. Taki oto dobór naturalny was czeka, Gordiejew. I w obliczu tej radosnej perspektywy bierzecie się do budowania państwa prawa. Prokuratorzy nadzorują, dbają, nie pozwalają wsadzać podejrzanych do aresztu. Adwokaci bronią podejrzanych od chwili zatrzymania. Sędziowie nie odsyłają spraw do ponownego śledztwa, tylko uniewinniają. Życie jak w raju! Dla nas. A dla was – prawdziwa męczarnia. Żeby wejść do tego rajskiego ogrodu, trzeba umieć pracować. A kto u was będzie umiał, biorąc pod uwagę opisany wyżej proces dyslokacji sił? Gdyby ktoś chciał wywołać w naszym kraju kryminalną katastrofę, lepiej by tego nie wymyślił. Dlatego żal mi cię. Porządny z ciebie chłop, Pączek, mądry i uczciwy. To rzadko idzie w parze. Zjedzą cię. Ile ci zostało do emerytury?

– Już się dosłużyłem. Mogę odejść.

– I nie odchodzisz? No cóż, szanuję cię za to. Chociaż, jak sam rozumiesz, byłoby mi na rękę, gdybyś odszedł. Chcesz znać prawdę,

Gordiejew? Boję się ciebie. Ze wszystkich glin, jakie spotkałem w życiu, tylko ty jesteś równym mi przeciwnikiem. Jak odejdiesz – odetchnę z ulgą. Może zdążę jeszcze na starość popełnić przestępstwo stulecia, głośne, piękne, finezyjne. Z czego się śmiesz? – Dorman uśmiechnął się kpiąco i dołożył sobie konfitur.

– Myślisz, że stary Jewsiej całkiem zbzikował? A może ja łaknę sławy. Żeby wszyscy mówili: gdzie nam do starego Dormana. Dobra, żartuję. Będę siedział cicho do końca życia.

– Byłbym bardzo zobowiązany – powiedział żartobliwie Wiktor Aleksiejewicz.

Wracając do Moskwy brudną, ciemną kolejką podmiejską z wybitymi oknami i zniszczonymi siedzeniami, Gordiejew rozmyślał nad tym, co powiedział mu Dorman. Że Gordiejew może złapać tylko tego przestępcę, którego pozwolą mu złapać. A czyż to nie jest prawda? Brzmi okropnie, ale z drugiej strony nie ma jak obalić tego twierdzenia. Przykładów na to jest całe mnóstwo. Myślał też o tym, że dobrze zrobił wtedy, w 1987 roku, gdy zaczął wypracowywać własny styl kierowania wydziałem. Kiedy dopiero zaczynano mówić o państwie prawa, wiedział już, do czego to doprowadzi. Idee jeszcze nie zdążą się zagnieździć w umysłach, a już będzie się dopasowywać do tych idei praktykę. Nie było czasu na to, by wychować profesjonalistów. W tym celu należało wykształcić minimum jedno pokolenie nauczycieli i dać im czas na spokojne wychowanie uczniów, a to by zajęło co najmniej dwadzieścia lat. Postanowił więc, że jeśli nie może mieć piętnastu doświadczonych detektywów, niech będzie piętnastu zdolnych ludzi, ale o różnych talentach. Żeby wyszedł w sumie jeden dobry profesjonalista.

Pułkownik Gordiejew nie znosił słowa „wszechstronny”. Uważał, że tak zwana wszechstronność to jedno wielkie oszustwo. Z drugiej strony, był święcie przekonany, że dobry przełożony to nie taki, u którego wszyscy pracują jednakowo dobrze, ale taki, u którego każdy zajmuje się tym, co mu najlepiej wychodzi, ku ogólnej korzyści. Za te poglądy zdrowo go w swoim czasie besztano i prześladowano, ale Gordiejew, jak gumowa piłeczka, mocno uderzywszy o ziemię, podskakiwał tym wyżej, im mocniej w niego uderzano. Wszyscy jego ludzie, których dobierał osobiście, byli po dobrych szkołach i wyróżniali się dodatkowo jakimiś zdolnościami, które służyły całemu wydziałowi. Kola Siełujanow, na przykład, miał niesamowitą pamięć wzrokową, zapamiętywał twarze i trasy natychmiast i na wiele lat. W dzieciństwie chciał zostać urbanistą (właśnie urbanistą, a nie architektem), znał Moskwę jak własną kieszeń – każdy zaułek, każde podwórko. Misza Docenko, jak wszyscy twierdzili, był niezastąpiony w przesłuchiowaniu świadków, zwłaszcza kiedy trzeba było pomóc człowiekowi, by przypomnieć sobie szczegóły albo oddzielił to, co było, od tego, co mu się zdawało. Wołodia Łarcew był z wykształcenia psychologiem, i to bardzo dobrym, a wiedzę milicyjną zdobywał już pracując w wydziale.

Dzięki takiemu niecodziennemu podejściu do doboru kadr Gordiejew mógł się uczyć „żyć w warunkach państwa prawa”, jak mawiał, czyli szukać przestępców i zdobywać dowody bez uciekania się do starych wypróbowanych metod, takich jak przemoc fizyczna, przetrzymywanie w areszcie i wiele innych. Bez stosowania takich metod pracowało się bardzo ciężko, za to chłopcy Gordiejewa świetnie sobie radzili ze śledczymi i prokuratorami, którzy nie mieli

do czego się przyczepić. Gordiejew wiedział, że wielu się z niego śmieje, że jego wysiłki wywołują u ludzi tylko irytację i zdziwienie. Rozumiał, że jest dziś czarną owcą, i nie ruszają go tylko dlatego, że jakimś cudem osiąga jednak dobre wyniki i wykrywa przestępstwa. Czuł się tym upokorzony i nierzadko przeżywał chwile głębokiej goryczy i rozpacz. Ale był przekonany, że nadejdzie dzień, w którym jego koncepcja zostanie uznana za słuszną. I choćby to miało nastąpić za trzy lata, pięć, a nawet dziesięć lat, jego chłopcy, jego pracownicy, których dobierał tak starannie, będą się dobrze spisywać w warunkach, kiedy każdy podejrzany otrzyma adwokata. Tylko żeby wytrzymali, tylko żeby nie pouciekali, jak zapowiada Dorman. Jeszcze rok–dwa – i będzie mógł zostawić wydział swemu zastępcy; są dwie kandydatury na jego stanowisko. Tylko żeby starczyło im cierpliwości, by przeczekać obecny okres rozpacz i beznadziei. Powinni się jeszcze trochę poduczyć...

\*\*\*

Ten tydzień był męczący również dla Jury Korotkowa, który bez powodzenia próbował okiełznać swoje emocje i nadać im realny wymiar. Na razie szło mu to nie najlepiej. Do dziesiątego lipca było coraz bliżej, a pożar uczuć w jego sercu szalał na całego. Jura był po uszy zakochany i nic nie mógł na to poradzić. Należy tu wspomnieć, że Ludmiła Siemionowa nie była bynajmniej pierwszą miłością Korotkowa, odkąd się ożenił, ale do tej pory wszystko przebiegało bez tego zamętu w głowie i większych zaburzeń w jego życiu. Z filmów i książek wyniósł przekonanie, że nie wolno mylić miłości z

zauroczeniem, że zauroczenie po jakimś czasie mija, trzeba tylko cierpliwie poczekać i postarać się nie narobić głupstw. Ale walka z zauroczeniem nie była wcale łatwa. I że też musiało się to stać akurat w czasie pracy nad tak trudną sprawą! Wszystko leciało Jurze z rąk. Żeby jeszcze Ludmiła zachowywała się inaczej – prowokowała kłótnie czy drobne sprzeczki, demonstrowała niezadowolenie! Nic z tych rzeczy. Była akurat taką kobietą, o jakiej potajemnie marzy każdy detektyw. – Nie zawsze byłam taka – mówiła do Korotkowa. – Kiedy pracowałam jako śledcza, dobrze mi się dostawało od męża. Potem zrozumiałam, że małżeństwo z gliniarzem to zawód, któremu nie każdy może podołać. Wasza praca jest brudna, tak, brudna, oparta na nieufności, przebiegłości i ciągłych kompromisach. Inaczej być nie może – kto pójdzie do walki z przestępcami z podniesioną przyłbicą? Ale i żon potrzebujecie niezwykłych, które by wam pomogły nie kłaść się do łóżka z całym tym brudem.

Po decydującej rozmowie Nasti z Pawłowem w restauracji Gordiejew i Zacharow połączyli wysiłki i prowadzili teraz stałą obserwację mieszkania, w którym przebywała Lebediewa-Kamieńska, oraz głównego eksperta z MSW. Nastia dotrzymała słowa, codziennie dzwoniła do ministerstwa i, udając Lebediewą, uprzejmie pytała, czy Aleksander Jewgienjewicz przyjął już jej propozycję. Pawłow jeszcze się nie zdecydował, ale któregoś wieczoru spotkał się ze smagłym niewysokim osobnikiem w okularach. Kiedy Korotkowowi pokazano zdjęcie, zrobione w czasie tego spotkania, Jura przypomniał sobie, że widział go na pogrzebie Fiłatowej. Ustalić tożsamość nieznanego w okularach nie było trudno, bo ten wcale się nie ukrywał.

Obok domu, w którym przebywała Nastia, nie zaobserwowano żadnych podejrzanych osób. Kiedy do końca ustalonego tygodnia zostały dwa dni, wszyscy upadli na duchu. Wyglądało na to, że pułapka nie zadziałała. Pawłow nie miał możliwości ustalenia adresu Lebediewej, jeśli po spotkaniu w restauracji nie „odprowadził” jej któryś z jego ludzi. Odpowiedzialny za odcinek „restauracja – mieszkanie” Siehujanow gotów był przysiąc, że wtedy nikt Lebediewej nie śledził, a w takich sprawach można mu było zaufać. Jeśli Pawłow będzie działał według przewidzianego przez Gordiejewa schematu, musi wskazać zabójcy szantażystkę. Inaczej ten jej nie znajdzie. Te „ogłędziny” powinny być według Pączka sygnałem, że Gala jest w Moskwie. Dalej to już była sprawa czysto techniczna: namierzyć Gala wśród osób, znajdujących się w pobliżu miejsca „ogłędzin” oraz w pobliżu domu Lebediewej, i zatrzymać go. Było proste tylko na pierwszy rzut oka. Żaden z detektywów nie miał pojęcia, jak funkcjonuje system kontaktowy i odbywa się „zamawianie” płatnego zabójcy. Żaden nie mógł zagwarantować, że ustaleniem tożsamości i adresu przyszłej ofiary zajmie się sam wykonawca, a nie specjaliści pomocnicy, wykonujący za „mistrza” całą wstępną robotę. Gdyby detektywi się pospieszyli i przez pomyłkę zatrzymali niewłaściwego człowieka, prawdziwy zabójca ucieknie, rozplynie się w powietrzu. I drugi raz już się go nie da wywabić.

Jeden z pomysłów Gordiejewa dotyczył właśnie tego momentu, czego domyślała się również Nastia. Podsuwając Pawłowowi adres Łarisy, milicja bardzo uprościłaby mu zadanie. A Gordiejew chciał zobaczyć, jak będą wyglądać poszukiwania rudej dziennikarki. Był ciekaw, czy jest w tym chytrym systemie podział prac i kto, oraz

jak, te prace wykonuje. Nawet jeśli nie zdołają zatrzymać zabójcy teraz, operacja nie pójdzie na marne, bo zdobędą nowe informacje o środowisku kryminalnym, z którym nie mieli do tej pory do czynienia. A to się może przydać w przyszłości. Oczywiście Gordiejew nie mówił tego na głos, żeby nie zniechęcać chłopców i nie wystawiać się na pośmiewisko niezycliwych. No, no, co za naukowe podejście! Koń by się uśmieł! W głębi serca jednak był przekonany, że wiedza jest tu nie mniej ważna, niż złapanie Gala. Przed ogłoszeniem wojny trzeba poznać przeciwnika, wielu zapomina o tej ważnej zasadzie. Tylko jedna osoba rozumiała Gordiejewa. Tylko ona, Stasiénka, wolałaby informację dotyczącą działania systemu elitarnych płatnych zabójców, nawet gdyby mieli nie ująć zabójcy Fiłatowej. Tylko ona potrafi patrzeć tak daleko w przyszłość, jak sam pułkownik Gordiejew. Szósteo dnia Pawłow wciąż jeszcze „nie dojrzał”.

– Jutro dzwonię po raz ostatni, Aleksandrze Jewgienje wiczu, proszę to wziąć pod uwagę. Nie lubię ludzi zastraszonych, ale jeszcze bardziej – niezdecydowanych. Zmarnowałam przez pana tydzień, który mogłabym spędzić bardziej owocnie. Pawłow się wahał.

– Może w ramach rekompensaty za stracony czas zgodzi się pani zjeść ze mną jutro obiad? Bez względu na to, co postanowię.

– Nic z tego. – Łarisa uśmiechnęła się chłodno do słuchawki. – Obiad wchodzi w grę wyłącznie, jeśli pan się zdecyduje. I tak straciłam na pana zbyt dużo czasu. – Dobrze – rzucił nagle twardo Pawłow. – Powiedzmy, że się zgadzam. Czekam na panią jutro o trzeciej obok Jelisiejewskiego\*.

– O piątej – zamruczała zadowolona Łarisa. – Na drugą jestem umówiona u fryzjera, nie zdążę na trzecią. – Dobrze, o piątej. Do jutra.

Nastia ostrożnie odłożyła słuchawkę i popatrzyła w zamyśleniu na telefon. Czyżby zabójca był już na miejscu?

# ROZDZIAŁ 10

Zabójca rzeczywiście był już w Moskwie. I od razu wyczuł, że coś jest nie tak. Wszystko układało się źle. Nie było uzgodnionego spotkania z przekazaniem zaliczki i precyzyjnie sformułowanego zadania. Tylko numer telefonu, pod który miał zadzwonić w ustalonym dniu i godzinie. Gal zadzwonił. Mężczyzna, z którym rozmawiał, rozkazująco cedził słowa. Nie znał adresu ani nazwiska, mógł tylko wskazać osobę. Gal próbował zaprotestować: on nie pracuje na takich warunkach. Jest sam, bez pomocników, a zajmować się wszystkim samemu – to niebezpiecznie. Wtedy wyniosły zleceniodawca zaczął się wydzierać, że Gal w ogóle nie potrafi pracować, po ostatniej jego robocie wszczęto śledztwo, milicja ma już jego rysopis, a on tu udaje wielkiego mistrza. Niech lepiej robi, co mu każą, w końcu dostaje za to pieniądze. Trzeba wyśledzić i usunąć tę dziwkę. I koniecznie zabrać jej czwarty egzemplarz. Tak, kochany, ten sam egzemplarz, którego nie potrafiłeś znaleźć ostatnim razem. Widocznie źle szukałeś. A może jednak znalazłeś? Co? I teraz razem z tą dziewczyną chcesz wyciągnąć ode mnie pieniądze? Nikomu jeszcze o tym nie mówiłem, ale mocno cię podejrzewam. Jak będziesz mi dyktował warunki, poinformuję, kogo trzeba, że czujesz się zbyt pewny siebie i zagrażasz reszcie. Do tego pozostawiasz po sobie ślady. Więc nie podskakuj, tylko bierz się do naprawiania własnych błędów.

Takiego obrotu sprawy Gal się nie spodziewał.

– To jakieś nieporozumienie – powiedział spokojnie. – Więc tak – spuścił z tonu rozmówca – jutro od siódmej trzydzieści do ósmej będę spacerował z psem na skwerze obok metra Krasnyje Worota. Przyjrzyj mi się. O piątej spotykam się z tą kobietą obok Jelisiejewskiego, zabiorę ją do restauracji. Dalej – to już twoje zmartwienie. Kiedy będziesz gotów, zadzwoń pod ten numer, omówimy zadatek. To wszystko.

Gal dosłownie dusił się ze wściekłości. Nigdy nikomu nie pozwalał krzyczeć na siebie, przemawiać takim chamskim tonem. Wszystko się wali, nawet na samej górze siedzą takie bydlaki. Dawniej zleceniodawcy byli pewni siebie, opanowani, małomówni, nie to co ten histeryk. Ale jak się odrzuci emocje, co pozostaje? Zarzuty, że jest nieprofesjonalny. Z tym Gal absolutnie nie mógł się zgodzić. Zrozumiał, że ma do czynienia z człowiekiem, który przez całe życie był szefem. Podobne naciski na podwładnych były mu dobrze znane. Nie, Gal wierzył w siebie. Dobrze pamiętał, że ostatnim razem wszystko dokładnie obmyślił. Wyszedł z mieszkania w noc z piątku na sobotę. Fiłatowa powinna była pojawić się w pracy w poniedziałek, ale w poniedziałek by jej nie szukali, pomyśleliby, że po prostu nie przyszła, co było w instytucie normalne. Mogli zacząć jej szukać dopiero we wtorek, a do tego czasu nie powinno już było zostać żadnych śladów po zapachach. Pamiętał, że pootwierał na oścież wszystkie lufciki. Kochanek pewnie też nie zajrzał, myśląc, że jak nie odbiera telefonu – to jeszcze nie wróciła. Dlaczego wszczęto śledztwo? Musi być jakiś inny powód, nie ma w tym winy jego, Gala. Może chodzi o zleceniodawcę? Szukają haków na niego? Może milicja go podejrzewa, bo zamordowana była z nim związana? Na to wygląda.

Ale jeśli tak, po co zleca kolejną robotę w niecały miesiąc później? Zwariował czy co? Wzywać wykonawcę do miasta, gdzie toczy się śledztwo w sprawie poprzedniego zabójstwa – to niedopuszczalne. Co więcej, nowe zlecenie wyraźnie jest związane z poprzednim, skoro znów chodzi o te egzemplarze. Może ręczyć za to, że w mieszkaniu ich nie było. I kart, które miał znaleźć, też. Za to było co innego...

Rano Gal pojawił się koło stacji Krasnyje Worota i bez trudu wypatrzył na skwerze mężczyznę z bulterierem, ale zamiast od razu odejść, został dłużej. Trzymając się w bezpiecznej odległości, śledził go do samego domu, a potem odprowadził do pracy. I chociaż poprzednim razem zamówienie składał kto inny, Gal nie miał wątpliwości: prawdziwym zleceniodawcą w obu przypadkach był ten sam zadbany, dobrze ubrany mężczyzna, który energicznie wbiegł po schodach i po okazaniu przepustki wszedł do ministerstwa. Galowi się to nie spodobało. Ale czekało go coś o wiele gorszego. Po namyśle postanowił skorzystać z kontaktu od nagłych przypadków. Nie miał prawa rzucić wszystkiego i wyjechać z Moskwy, dyscyplina w organizacji była twarda. Ale to, że nie powinien wykonywać tego zlecenia, było dla niego jasne jak słońce.

Kontakt w nagłych przypadkach był skomplikowany, ale działał szybko i już po półtorej godziny Gal rozmawiał z człowiekiem, który mógł pozwolić mu wyjechać. Wszystko potoczyło się jednak inaczej, niż się spodziewał.

– Musisz wykonać zlecenie – usłyszał suchą odpowiedź. – Popełniłeś mnóstwo błędów, więc musisz to naprawić. Póki tego nie zrobisz – nie wolno ci ruszyć się z Moskwy. Za spartaczoną robotę trzeba płacić. I trzymaj język za zębami. Jak ci się uda – będziesz

miał spokój. Jak nie – sam wiesz, co cię czeka. Ale to już twój problem.

Jego problem... Znalazł się między młotem i kowadłem. Z jednej strony robota z góry skazana na niepowodzenie. Z drugiej organizacja, która odmówiła mu pomocy i obrony. Dlaczego? Nie jest już potrzebny? Nonsens, tacy jak on zawsze są potrzebni. Takich jak on jest zbyt mało, żeby można było ich lekceważyć. Więc o co chodzi? Myślą, że nie jest już dobry, zaczyna popełniać błędy, a teraz szukają go gliny. Skąd im to przyszło do głowy? Przecież to niemożliwe, by słuchali tego histerycznego zleceniodawcy i tańczyli, jak on im zagra. A jeśli jednak tak... Pracuje w MSW, ma dokładne informacje. Więc to może być prawda. Wygląda na to, że ta kanalia najpierw korzysta z usług Gala, a potem go oczernia, zamiast pomóc. Co za drań!

A oni? Prawie dwadzieścia lat dla nich pracuje, ani jednej wpadki, doskonała reputacja. Twardo przestrzegał wszystkich postawionych przez nich warunków: nie zakładać rodziny, nie mieć stałej kochanki ani przyjaciół. Nie utrzymywać kontaktów z krewnymi. Pracować tylko tam, gdzie wskażą i gdzie szef jest ich człowiekiem, żeby można było, kiedy trzeba, bez problemu wyjeżdżać w delegacje. I wiele innych ograniczeń, których nigdy nie złamał. Ładnie mu się za to wszystko odwdzięczyli – wynocha, ratuj się sam. Pewnie, że nie wyda ich glinom – wtedy mu siałby się przyznać, a za samo zabójstwo Fiłatowej grozi mu kara śmierci, przecież była oficerem milicji. Poza tym niczego nie udowodni, nic na nich nie ma, wszystko było ustalone na gębę.

No cóż, pomyślał Gal, zaczniemy naprawiać swoje błędy.

\*\*\*

Od natrętnej muzyki i ciężkiej duchoty Nastia była bliska omdlenia. Dziwne – pomyślała – w ogóle nie czuję, że jestem śledzona. A tyle słyszałam zawsze o przeszywających spojrzeniach, które czujesz całą skórą, które aż cię palą. Chyba po prostu brak mi jeszcze doświadczenia – uznała – albo mam grubą skórę. Kiedy poczuła, że jest jej mdło, wzięła torebkę, przeprosiła i poszła go toalety. Pawłow na początku się wystraszył, że Łarisa ucieknie, ale potem zreflektował się, że to już nie jego zmartwienie. Przekazał szantażystkę Galowi, a jemu na pewno nie ucieknie.

W toalecie Nastia wyjęła z torebki fiolkę z amoniakiem, otworzyła ją nerwowo i mocno zwilżywszy chusteczkę do nosa przycisnęła ją go skroni i czoła. Po pomieszczeniu rozszedł się ostry zapach.

Usiadła na miękkiej ławeczce i zamknęła oczy. Przekłęte krążenie. Jak można być detektywem, nie mając zdrowia? Powinna siedzieć w domu, zarabiać korepetycjami, podciągając małych leni z matematyki czy języków obcych. Opłacałoby się i spokojnie.

– Wszystko w porządku? – rozległ się nad jej uchem cichy głos.

Nastia otworzyła oczy i zobaczyła obok siebie ładną brunetkę w mieniącej się sukience i siatkowych rajstopach – ostatni krzyk mody!

– Jak się pani czuje? – z naciskiem powtórzyła brunetka.

– Zakreśliło mi się trochę w głowie – wymamrotała Nastia.

– Potrzebuje pani pomocy?

– Nie, dziękuję. Amoniak dobrze mi robi. Odpocznę chwilę i pójdę.

Brunetka uśmiechnęła się życzliwie.

– Jeśli chcesz, mogę ci zrobić zastrzyk – glukoza ze stymulatorem. Mam w torebce całą aptekę.

– Innym razem.

Nastia próbowała się uśmiechnąć, ale wargi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Hej, koleżanko – zaniepokoiła się kobieta – jesteś blada jak śmierć. Tak nie można. Dawaj rękę. Nastia pokornie wyciągnęła rękę. Pomyślała, że gdyby Gal chciał pozbyć się jej już teraz, ma do tego najodpowiedniejszy moment. Bąbelek powietrza łatwo przewędruje ze strzykawki do żyły, a stamtąd – do serca, i koniec. Znajdą ją w damskiej toalecie, obok strzykawki ze stymulatorem. Zwykła nieuwaga – każdemu się zdarza.

Kobieta tymczasem szybko otworzyła opakowanie z jednorazową strzykawką i napełniła ją zawartością dwóch ampułek. Trzymając strzykawkę w jednej ręce, drugą zaciągnęła zacisk i zręcznie zdezynfekowała miejsce zastrzyku. Nastia zamknęła oczy. Czuła się tak źle, że nie miała już siły się bać. Co się dziś ze mną dzieje? – zdziwiła się apatycznie. Taki silny atak miała dotąd tylko raz, kiedy pogotowie zabrało ją z ulicy. Zanim igła trafiła w żyłę, pomyślała jeszcze: To nie może być Gal. On potrzebuje ostatniego egzemplarza, nie wie, gdzie mieszkam. A może jednak wie? Tłok w strzykawce płynnie ruszył w dół. Kobieta schyliła się nad Nastią, jej twarz była całkiem blisko.

– Wytrzymaj, kochana – wyszeptała – za chwilę będziesz jak nowa.

Wyciągnęła igłę z żyły, starannie wsunęła strzykawkę do otwartego opakowania, wrzuciła tam też puste ampułki i włożyła to wszystko do torebki Nasti. – Słyszysz mnie, ruda? Włożyłam ci to wszystko do torebki. Jeśli twój facet zauważy ślad po zastrzyku, będziesz się mogła wytłumaczyć. Tyle czasu przecież siedzisz w tej toalecie, że pewnie zaczął się denerwować.

– Dziękuję pani.

Nastia poczuła wyraźny przypływ sił. Chyba może już wstać.

– Miałam szczęście, że pani tu była. Gdyby nie pani, zemdlałbym – powiedziała z wdzięcznością.

– Nie mnie dziękuj, tylko swojemu szefowi. Zrozumiałaś, ruda? – uśmiechnęła się brunetka. – No, idę. Stojący na ulicy Gal zauważył przez oszklone drzwi, jak kobieta, która była ze zleceniodawcą, wyszła z sali restauracyjnej i skierowała się do damskiej toalety. Po paru minutach weszła tam również atrakcyjna brunetka, która dotąd paliła papierosa w towarzystwie postawnego faceta. Zdaniem Gala facet mordę miał bandycką, toteż i kobietę w błyszczącej sukience wziął za tanią dziwkę z restauracji.

Brunetka wyszła z toalety pierwsza i biorąc „bandycką mordę” pod rękę, skierowała się do wyjścia. Para zatrzymała się niedaleko Gala. Facet wulgarnym gestem przycisnął do siebie kobietę.

– I co?

– Nic. To nie to.

– To czemu siedzi tam tak długo?

– Miała atak serca. Błada jak śmierć – strach patrzeć. Nie szkodzi, pora jeszcze wczesna. Bliżej nocy nasi klienci zaczną walić tłumnie. Nawiasem mówiąc, zrobiłam głupstwo. Mogłam od razu się domyślić, że ona nie weźmie.

– Dlaczego?

– Ten typ, z którym przyszła, to pułkownik Pawłow z MSW. Arif mi go pokazywał.

– Aleś ty głupia – rozzłościł się facet. – Po jaką cholere łazłaś za nią? Trzeba trochę myśleć.

– A co, według ciebie pułkownik milicji z kurwami się nie zadaje?  
– odgryzła się brunetka. – Też mi ideał radzieckiej moralności się znalazł.

Więc nazywa się Pawłow. I jest nawet pułkownikiem. Zapamiętamy – pomyślał Gal. – I jeszcze jakiś Arif. To też weźmiemy pod uwagę. Ciekawe, co ta dziewczucha jej proponowała? Narkotyki? Wątpliwe, dealerzy starają się mieć do czynienia ze sprawdzoną klientelą. Chyba jakiś środek antykoncepcyjny, prezerwatywy albo tabletki.

\*\*\*

Nastia nie zdążyła jeszcze wejść do mieszkania, gdy rozdzwonił się telefon. Był to Gordiejew, bardzo zdenerwowany.

– I co, dziecinko? Doszłaś już do siebie?

– Mniej więcej.

Nastia wzięła telefon i poszła z nim do kuchni, zamykając za sobą szczelnie drzwi. Bała się, że ktoś ciekawski może podsłuchiwać na klatce schodowej.

– Zdziałało. Śledzono cię. Trudno na razie powiedzieć, kto – on sam czy pomocnik. Ale odprowadził cię aż do bramy. Więc z tym w porządku, wszystko idzie zgodnie z planem.

– Dzięki Bogu, nie męczyłam się na próżno.

– Teraz tak, Anastazjo. Samej cię na noc nie zostawię. Tylko tego brakuje, żeby cię zabrało pogotowie. Żadnych sprzeciwów nie przejmuję, ale możesz wybrać. Kogo do ciebie wysłać?

– Nikogo nie potrzebuję, Wiktorze Aleksiejewiczu. Dam sobie radę.

– Głucha jesteś, Anastazjo? Powiedziałem, masz prawo wybierać, a nie decydować. Decyduję ja. Więc kogo?

– A tej z restauracji nie można? Dobrze trafia w żyłę.

– Tej nie można. Widzieli ją. Może Zacharowa?

– Tylko nie jego! – pospiesznie, nawet zbyt pospiesznie, zawołała Nastia.

– Korotkow cię urządza?

– Urządza. Tylko szkoda mi go niepokoić. Ma namiętny, ale ograniczony w czasie romans.

Pączek chyba się zdenerwował.

– Wiesz co, moja droga, przestań już z tą swoją dobroczynnością. Romanse naszego Tristana mam wiesz gdzie. Jak to się mówi, całej forsy nie zarobisz, wszystkich kobiet nie przelecisz. Więc nie wygłupiaj się. Korotkow przyjechał smutny, jego masywna postać

jakby się skurczyła, szerokie, zwykle wyprostowane plecy były zgarbione.

– Aż tak cię wzięło? – współczująco zapytała Nastia.

– Bardzo. Nie wiem po prostu, co mam z tym robić. To jak choroba.

Dla kochliwego Jury Nastia zawsze była powierniczką, ramieniem, w które można było się wypłakać, i jednocześnie kołem ratunkowym. Jeśli romans kończył się nieszczęśliwie, Nastia dosłownie za uszy wyciągała Korotkowa z depresji, w której się zwykle pogrążał. Było wyraźnie widać, że przypadek z Siemionową jest szczególny. Zazwyczaj Jura w rozkwicie każdego romansu bywał zawsze radośnie podniecony, oczy mu błyszczały, robota paliła się w rękach, wręcz wyrastały mu skrzydła. Tym razem był jednak przygnębiony i rozbity, jakby dźwigał straszny ciężar. Nastia nie mogła określić, jakie uczucie brało w niej górę – współczucie czy zawiść. Obce jej były miłosne uniesienia, zarówno dodające skrzydeł, jak i dołujące. Potrafiła się zdobyć najwyżej na czułe przywiązanie. Może kiedyś, myślała, ją też to spotka. Przeżyła przecież coś takiego w młodości, ale tylko raz, ponad dziesięć lat temu. I więcej się nie powtórzyło. Widocznie chodzący komputer nie jest w stanie przeżywać mocnych uczuć. Taki już widać jej los.

– A jak się czuje nasz drogi przyjaciel Aleksander Jewgienjewicz?

– Przeciąga grę. Ani tak, ani nie – ciężka sprawa. Niby oficjalnie się zgodził, ale poprosił o jeszcze kilka dni, żeby zbierać pieniądze.

– Sądząc po jego ruchach, nawet nie próbuje ich zebrać. A nie może przecież załatwiać takich spraw przez służbowy telefon.

Chyba że dzwoni z domu. Ale prawdopodobnie po prostu komuś to zlecił. Przyzwyczał się rozkazywać.

– I dobrze, to znaczy, że schemat na razie działa. Będziemy czekać, aż Gal zjawi się po mnie i po czwarty egzemplarz.

– Nie boisz się?

– Boję. Bardzo się boję. Zwłaszcza po dzisiejszym zastrzyku. Skąd wytrzasnęliście taką pielęgniarkę?

– Pączek się postarał. Wie o twoich dolegliwościach.

– Trudno się gra w ciemno. Same domysły. Dziwne, że w ogóle nam się udaje trafić do tarczy. Oj, żeby nie zapeszyć. – Szybko postukała w drewniany taboret.

– Asiu, mogę ci zadać niedyskretne pytanie?

– Wal.

– Kiedy Zacharow tu nocował...

– No?

– Coś między wami zaszło?

– Czemu cię to interesuje?

– Pączek powiedział, że prosiłaś na dzisiejszą noc każdego, tylko nie Zacharowa.

– Pączek to stary plotkarz i gaduła. Nastaw czajnik, dobrze?

– No więc było coś czy nie? – Jura zapalił gaz.

– Czego się przyczepiłeś? Było. I nie było.

– To znaczy?

– Nie zrozumiesz, masz za miękkie serce. A ja – kamienne. Pukasz i pukasz, a tu same głuche dźwięki. Tak, spaliśmy ze sobą. I to

wszystko.

– Ale numer! Nie ma to dla ciebie żadnego znaczenia?

– Przestań, Korotkow. Chyba nie myślisz, że powinnam zakochiwać się w każdym, kto się ze mną prześpi dla sportu?

– Ale przecież to nie tak, że tylko on się z tobą przespał, ty z nim też. Też dla sportu?

– To dla ciebie takie ważne? Mnie zrób bez cukru.

– Ważne. Próbuję zrozumieć samego siebie. Nie gniewaj się, Asiu. Porozmawiaj ze mną o tym, proszę.

– Rozmawiajmy więc o tobie.

Ale porozmawiać im się nie udało. Znow zadzwonił Gordiejew.

– Anastazjo, czy ktoś cię uprzedził, że mieszkanie jest na podsłuchu?

– Nie, a po co?

– A po to, żeby nie lecieć na złamanie karku za każdym razem, jak ktoś przekroczy próg mieszkania. Jasne?

– Tak.

Nastia niespiesznie dopiła herbatę, odstawiła filiżankę na spodek i powiedziała głośno i wyraźnie:

– Dziękuję za szlachetność, koledzy. Obiecuję, że więcej nie będę was wprowadzać w zakłopotanie.

– Co ci jest? – zdziwił się Korotkow. – Zwariowałaś?

Nastia wybuchnęła śmiechem.

– Oni nas podsłuchują. Wyobrażasz sobie? Już donieśli Pączkowi o naszych łóżkowych rozmowach. A ja go nazwałam starym gadułą

i plotkarzem! Szkoda, że nas uprzedził. Teraz będziemy pilnować każdego słowa.

– Bzdura. Ma rację, tak będzie lepiej dla sprawy.

– Dla jakiej sprawy? Jeśli Gal zjawi się tu, by mnie zabić, nie będzie tego komentował na głos. Zrobi swoje bez słowa i pójdzie.

– Milczenie to też sygnał. Nie myśl, że inni są głupsi.

– Nie myślę. – Nastia nagle chlipnęła. – Boję się, Jurka, śmiertelnie się boję. Jezu, żebyś wiedział, jak ja się boję.

Spędzili bezsenną noc, nasłuchując każdego dźwięku na schodach i wzdrygając się przy każdym ruchu windy. Rano Korotkow wyszedł. W ciągu dnia nikt do mieszkania nie dzwonił, nikt nie próbował dowiedzieć się od sąsiadów, gdzie mieszka Łarisa Lebediewa. Nastia skoczyła do sklepu, kupiła mleko i chleb i szybko wróciła do domu. Gordiejew kategorycznie zabronił jej wychodzić bez potrzeby – kto wie, jaki nieszczęśliwy wypadek może spowodować zabójca. Mieszkanie było dobrze pilnowane, ale nie byli w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa poza nim. Kiedy Nastia wróciła ze sklepu, Gordiejew poinformował ją, że „ogona” nie było. Nikt się nie pojawił ani tego dnia, ani następnego. Gal w ogóle nie interesował się szantażystką. Wyglądało na to, że operacja zakończy się niepowodzeniem. Chyba nie udało im się trafić do tarczy.

\*\*\*

Gal był wystarczająco inteligentny, żeby zrozumieć, że numer, pod który dzwonił do zleceniodawcy, nie był ani domowy, ani służbowy. Wszedł do paru sklepów obok domu Pawłowa i przekonał

się, że rejon należy do zupełnie innej centrali telefonicznej. Od jakich cyfr zaczynały się telefony w MSW, wiedział i bez tego. Zadzwoił pod podany numer, wysłuchał automatycznej sekretarki, powiedział krótko:

– Zadzwoię o dwudziestej drugiej piętnaście – i odwiesił słuchawkę.

Dalej to już była sprawa czysto techniczna – śledzić zleceniodawcę od ministerstwa do miejsca, gdzie znajduje się telefon. Z tym Gal poradził sobie bez problemu. Pawłow zadzwonił do drzwi, a nie otworzył ich własnym kluczem, co przekonało zabójcę, że jest na dobrym tropie. Dokładnie o 22.15 zadzwonił z najbliższej budki telefonicznej, informując, że wszystko jest przygotowane, dogadał się w sprawie przekazania zaliczki i poczekał, aż Pawłow wyjdzie. Uważnie rozejrzał się dookoła. Dom, do którego miał zamiar wejść, znajdował się przy samym Sadowym Kolcu, obok Dworca Kurskiego. Hałaśliwe miejsce i w mieszkaniu na pewno też jest głośno. No cóż, tym lepiej.

Wszedł bezszelestnie po schodach, nigdy w decydujących momentach nie korzystał z windy: a nuż utknie i cały jego plan szlag trafi. Stał pod drzwiami, chwilę się zastanowił i zdecydowanie nacisnął dzwonek.

– Kto tam? – odezwał się prawie natychmiast głos zza drzwi. Widocznie gospodarz jeszcze się nie położył.

– Ja od pułkownika Pawłowa.

– Czego pan chce?

Gospodarz mówił z lekkim kaukaskim akcentem. Widocznie to ten Arif – domyślił się Gal.

– Proszę otworzyć. Nagrałem się panu na sekretarkę, może pan sprawdzić. Rozmawiałem z pułkownikiem o dwudziestej drugiej piętnaście. Dał mi pański adres i prosił, żebyśmy omówili pewne szczegóły.

– Chwileczkę.

Słysząc było oddalające się kroki gospodarza. Po jakimś czasie szcęknął zamek. Gał błyskawicznym ruchem odepchnął Arifa w głąb przedpokoju i zatrzasnął drzwi. Zanim gospodarz się opamiętał, jedna ręka gościa zacisnęła się na jego gardle, a druga chwyciła go z tyłu za włosy.

– Jesteś Arif?

– Tak – wykrztusił z trudem napadnięty.

– Wiesz, kim jestem?

– Tak.

– Tym lepiej. Gadaj, ale szybko.

– Co mam gadać? – wychrypiał Arif.

– W co pogrywa twój pułkownik? Na razie cię tak potrzynam, ale mogę i mocniej. Chcesz, żeby zabolalo?

– Niech mnie pan puści, duszę się...

– Wytrzymasz. Gadaj!

– Nic nie wiem. Niech pan mnie puści.

– Posłuchaj mnie uważnie, Arif. Wiesz, kim jestem. Dlatego mamy dwa wyjścia. Albo umrzesz zaraz, albo pomogę ci pozbyć się pułkownika, a ty za to pomożesz mi zniknąć. Wyjedziemy gdzieś, gdzie jest wojna, na pewno masz tam przyjaciół albo krewnych. Nikt nas nie znajdzie. Będziesz gadał?

– Będę, tylko niech pan mnie puści.

– Nie, mów.

Arif Murtazow chciał żyć. I musiał wybierać – zostać w spokojnej Moskwie, ale w pobliżu Pawłowa, czy przenieść się do ogarniętego wojną Karabachu, z dala od niego. Pawłow stawał się dla Arifa coraz większym i coraz bardziej niebezpiecznym ciężarem, żądał coraz więcej pieniędzy, a teraz planował już drugie zabójstwo i Arifowi wcale się to nie podobało. Dużo o tym myślał przez ostatnie dwa dni. Zajmował się biznesem, dawniej nielegalnym, a teraz całkiem uczciwym, właśnie biznesem, a nie „mokrą robotą”. Nie chciał mieć nic wspólnego z zabójstwami.

Pazerność to wielki grzech, myślał sobie często. Pawłow pożalował kiedyś pieniędzy, oszukał dziewczynę – i oto jakie ma teraz przez to nieprzyjemności. Czy nieszczęsne dziesięć tysięcy są tego warte? I on, Arif, też uległ temu niewybaczalnemu grzechowi, ucieszył się, kiedy Pawłow mu powiedział, że za umorzenie sprawy przeciwko niemu nie musi płacić mu pieniędzmi, może się odwdzięczyć wierną służbą, oddaniem i pomocą, a pieniądze – no cóż, to tylko pieniądze, jeśli będzie trzeba – zapłaci mu później. Ile Pawłow już z niego wysłał? Starczyłoby na umorzenie dziesięciu spraw, a nie jednej. Jest jego chłopcem na posyłki.

Arif właściwie podjął już decyzję, wystarczyło zrobić ostatni krok. Nie wątpił, że gość spełni swoją groźbę, ale wtedy nie dobierze się do Pawłowa, nawet jeśli Arif mu wszystko opowie. Śmierć Arifa, nawet przypadkowa, będzie sygnałem, że coś jest nie tak, i Pawłow od razu zacznie działać. Wygląda na to, że jest szansa ocalenia życia, przynajmniej na razie.

I Arif opowiedział o wszystkim: o pracy doktorskiej, Fiłatowej, Ensku i kartach.

- Dlaczego on chce zabić dziennikarkę?
- Ona coś wie. Szantażuje go ostatnim egzemplarzem.
- Egzemplarz to nie jest żaden powód do zabijania. Co konkretnie ona wie? Dlaczego twój pułkownik jej się boi?
- Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Myśli, że ona wie o wszystkim.
- A co ty sądzisz? Na ile jest niebezpieczna?
- Przysięgam, że nic więcej nie wiem! On mi nic nie mówi. Daje polecenia – więc wykonuję. Jestem jego dłużnikiem.
- Wszyscy jesteśmy komuś coś dłużni. Uratował cię przed jedną odsiadką, a naraził na drugą. Za współudział w zabójstwie dostaniesz więcej niż za swoje cholerne złoto. Zgodzisz się ze mną?
- Tak. Puść mnie.
- Zaraz. Nie wszystko mi jeszcze powiedziałaś. Co ci kazał robić po zabójstwie Fiłatowej?
- Iść na pogrzeb, posłuchać, co mówią.
- Co jeszcze?
- Zebrać informacje o Fiłatowej.
- Przed zabójstwem?
- I przed, i po, kiedy zaczęli śledztwo.
- Po co?
- Chciał udawać jej byłego kochanka.
- Udało mu się?
- Tak.

- Co jeszcze?
- Śledzić babę z kryminalnego. Na wszelki wypadek.
- Co to za baba?
- Anastazja Pawłowna Kamieńska. Mówią o niej, że jest bystra, dobrze główkuje. Pawłow jej się bał, chciał znaleźć na nią jakiegoś haka.
- Znalazł?
- Wyjechała na urlop.
- Więc nic nie wykryła. Jakby miała jakieś podejrzenia, toby nie wyjeżdżała.
- Też doszliśmy do takiego wniosku.
- Ale kiedyś wróci. Zdąży akurat na drugie zabójstwo. Pomyśleliście o tym?
- Nie. Wtedy tej szantażystki nie było. Sądziliśmy, że to zwykła dziennikarka.
- Dobra. Jaka jest ta Kamieńska?
- Nic szczególnego. Zwyczajna, niepozorna. Szara myszka. Z facetami się nie zadaje. A kto by taką chciał.
- Zameżna?
- Nie i nie była. Dzieci nie ma. Mieszka sama.
- Dobra partia – prychnął Gal. – Powtórz jeszcze raz, dlaczego Pawłow jej się bał.
- Ma na Pietrowce swoich ludzi, opowiadali, że jest wyjątkowa, rozwiązuje najbardziej zawiłe sprawy.
- To czemu tej sprawy nie rozwiązała, jeśli taka wyjątkowa?

– Pawłow jej wodę z mózgu zrobił. Sam osobiście do niej chodził.

Gal czuł, że coś się tu nie zgadza. Jeśli Kamieńska jest taka mądra, to Pawłow nigdy by jej wody z mózgu nie zrobił. Do tego musiałby być mądrzejszy od niej. A jest przecież głupcem, bardzo sprytnym i pewnym siebie, ale głupcem, Gal już się o tym przekonał. Może więc nie ma żadnej fenomenalnej Kamieńskiej i to wszystko bujda, chociaż nie wiadomo, w jakim celu. Wygląda na to, że Pawłow coś ukrywa przed swoim kolegą Arifem. Ciekawe, kto kogo oszukał? Pawłow – Arifa? Czy ta sprytna Kamieńska – Pawłowa? W każdym razie sprawa zabójstwa Fiłatowej musi zostać zamknięta. Za wszelką cenę. Nie można dopuścić, żeby on, Gal, był poszukiwany. A jeśli pułkownik Pawłow jest na tyle głupi, że dał się nabrać jakiejś babie z kryminalnego, to niech za to płaci. Wielki naczelnik się znalazł, szlag by go trafił!

Trochę poluzował chwyt, żeby Arif mógł ruszać głową.

– Nie będę cię ostrzegał, sam wszystko rozumiesz. Ale zapamiętaj sobie: nic mi z pułkownikiem nie zrobicie, ale ja wam – owszem. Wiesz, że nie żartuję. On ma broń?

– Chyba tak.

– „Chyba” mi nie wystarczy. Sprawdź to. Jutro zadzwonię.

Gal wyszedł z bramy i niespiesznie ruszył w stronę metra. Miał już w głowie plan. Teraz musi się zająć tą rudą.

\*\*\*

Gordiejew spędzał w pracy drugą noc z rzędu. Martwił się o Nastię, zwłaszcza po rozmowie z Korotkowem. Jak ta biedulka musi się bać! To nie jest praca dla kobiety. Ale z drugiej strony, tak pięknie, tak zręcznie weszła w rolę, jak żaden mężczyzna by nie potrafił. Gordiejew pochwalił w myślach Wołodę Łarcewa, który, sporządzając portret psychologiczny Pawłowa, radził nie naciskać na niego i nie poganiać. Kiedy działasz wobec kogoś bezwzględnie i dajesz mu na zastanowienie się zaledwie parę godzin, zawsze jest niebezpieczeństwo, że ten nie potraktuje cię poważnie. Naciskasz, grozisz, spieszysz się – co świadczy, że znajdujesz się na słabych pozycjach i boisz się, że twoja ofiara dojdzie po namyśle do wniosku, iż tak naprawdę nic na nią nie masz i nie jesteś aż taki groźny. Jest to typowy sposób nacisku stosowany przez wielu przełożonych: krzyk, przymus, poniżanie – i podwładny już czuje się winien i za czyna się usprawiedliwiać, chociaż wcale tak strasznie nie zawinił. Pawłow jako zawodowy szef powinien o tym wiedzieć. I wiedział. Jeśli człowiek zachowuje się spokojnie i pewnie, daje czas do namysłu, oznacza to, że ma w rękach poważne dowody.

Gordiejew prowadził własną grę, subtelną i skomplikowaną, praktycznie w ciemno, na wyczucie. Kiedy go poinformowano, że obiekt „spotkał” Pawłowa koło ministerstwa, śledził go do domu, gdzie mieszka Arif Murtazow, odwiedził Arifa i ruszył w stronę Prospektu Mira, gdzie mieszka Lebiediewa, pułkownik odetchnął z ulgą. Nareszcie, po dwóch dniach zastoju, schemat znów zadziałał. Żeby jeszcze wiedzieć, kim jest ów obiekt. Wszystko wskazuje na to, że zabójcą. A jeśli nie? Albo jest zabójcą, ale nie tym?

Wpół do pierwszej. Nastia chyba znów nie śpi. Biedna dziewczyna! Ileż musi jeszcze czekać, aż Gal postanowi ją

odwiedzić? Nerwy ma już chyba w strzępach. Gordiejew połączył się z ludźmi śledzącymi obiekt.

- Siedzi na parapecie na klatce naprzeciw naszego domu.
- Zamierza tam nocować czy co?
- Nie wiem, wasza wielmożność. Pójść i zapytać?
- Idź mu pomóc. Niech się trochę prześpi. Trzeba dać chłopcom chwilę odpoczynku.

\*\*\*

Gal siedział na parapecie okna na klatce schodowej naprzeciw bramy, do której dwa dni temu weszła Lebediewa, i zastanawiał się nad tym, jakby się tu dowiedzieć, pod jakim numerem mieszka. Nigdy przedtem nie musiał się czymś takim zajmować, bo otrzymywał kompletne dane. Zresztą nic dziwnego: nikt i nic nie mogło go łączyć z ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Nie powinni widzieć ich razem, a tym bardziej nie może się wystawiać, zbierając o niej informacje. Takie obowiązywały zasady.

Ale tym razem był zmuszony działać inaczej. Co prawda, sytuacja też była dla niego zupełnie nowa. Jeśli wszystko pójdzie tak, jak to sobie zaplanował, to niech go sobie widzą, i tak później nie znajdą.

Usłyszał warkot silnika. Na podwórko wjechał samochód i zatrzymał się koło klatki, w której mieszkała ruda. Z samochodu wysiadł mężczyzna, zrobił kilka niepewnych kroków w stronę wejścia, złapał się ściany i stanął. Widać było, że jest zdrowo pijany. Samochód odjechał, ale pasażer, postanowiwszy chyba na razie nie

iść do domu, dotoczył się do ławki i usiadł, obejmując głowę rękami.

Gał lekko zeskoczył z parapetu i szybko zbiegł na dół. – Co, koleś, niedobrze ci?

Starał się mówić możliwie ciepłym i współczującym głosem. Pijany kiwnął głową.

– Może cię odprowadzić?

– Nie trzeba. Nie pójde tam. Znów ta suka będzie się na mnie wydzierać, cały dom obudzi.

– Będiesz tak siedział do rana?

– Dlaczego do rana? Trochę wytrzeźwieję, żeby mną nie rzucało, i pójde. Ona na zapach nie reaguje, ale jak tylko zobaczy, że się zataczam – szału dostaje.

– Żona?

– Żona. Suka ruda. Nienawidzę baby!

– Poczekaj, twoja żona – to ta ładna, ruda, z długimi nogami? To ona na ciebie wrzeszczy?

– Nie, z nogami – to Łariska spod czterdziestki ósemki. A moja to stara raszpla. Co ty, chłopie – pijak podejrzliwie łypnął na Gała – Łariski nie znasz? Nietutejszy czy co?

– Nie, mieszkam niedaleko. W tamtej klatce. Niedawno się wprowadziłem.

– I Łariski nie znasz? – dalej się dziwił pijaczek. – Ją wszyscy faceci stąd znają. Miała ekstrabrykę, zachodnią. Myła ją co tydzień tu, na podwórku, własnymi rączkami, z manikiurem. Wyobrażasz sobie? Baba – i wóz myje. Marzenie, nie baba.

– A mąż co? Nie pomagał? – zapytał Gal możliwie obojętnym tonem.

– Eee tam, dawno się z nim rozwiodła. Wóz po rozwodzie sobie kupiła. A wiosną – fik! – i nie ma wozu. Teraz już nie myje.

– Ukradli?

– Rozbiła. Baba – co tu się dziwić? Teraz ani męża, ani wozu. Popatrz na mnie – przejdę się trochę. Mężczyzna wstał i ruszył niepewnym krokiem do klatki schodowej.

– I jak?

– Nie bardzo.

– Dobra, posiedzę jeszcze. A ty czego tu łazisz?

– Znajomą odprowadzałem do metra, wracałem – i zobaczyłem ciebie. Chyba już pójdę, dobranoc.

– Na razie. – Pijany zachwiał się, robiąc pożegnalny gest.

Gal wrócił na swój parapet. Światło na klatce schodowej się nie paliło, więc dobrze widział mężczyznę na ławce, który po jakichś dwudziestu minutach podniósł się, przespacerował wzdłuż budynku i przekonawszy się, że ma pewny krok, zniknął w bramie. Po dziesięciu minutach Gal wyszedł z ukrycia i ruszył pieszo w stronę Dworca Ryskiego, skąd, złapawszy prywaciarza, pojechał do pustego mieszkania, w którym się zatrzymał – klucze do niego odebrał w skrytce bagażowej na Dworcu Leningradzkim.

Oficerom operacyjnym, pilnującym mieszkania, w którym znajdowała się Nastia, pozwolono na zmianę i odpoczynek.

\*\*\*

Gordiejew rozluźnił mięśnie pleców i usiadł wygodnie w fotelu. Przyjemnie jest w nocy, nie ma upału. Żeby tak można było w ciągu dnia spać, a pracować w nocy! Zadzwoił do Nasti.

– Prześpij się, dziecinko. Twój zalotnik też poszedł spać.

– Nie mogę. Cała się trzęsę.

– Ależ, Stasienko, nie można tak. Chłopcy siedzą w mieszkaniu obok, nie przegapią go.

– A jeśli przegapią?

Oto nasza choroba, pomyślał Wiktor Aleksiejewicz – niczego nie być tak do końca pewnym i nikomu nie ufać. Kim jednak jest ten obiekt? Zabójcą czy nie? Kto przyjdzie, by policzyć się z szantażystką Lebediewą?

\*\*\*

Nastia położyła się. Długie bezsenne noce dawały się jej we znaki, szybko więc zapadła w ciężką niespokojną drzemkę. Śniło jej się, że stoi na wysokiej, całkowicie gładkiej skale, z której nie można zejść. Ogarnęło ją potworne przerażenie. Rozbiję się, rozbiję – myślała – nie ma stąd żadnego zejścia, ściany są gładkie i urwiste, nie ma za co się uchwycić. Zginę, to koniec. Kiedy strach i rozpacz sięgnęły szczytu i zrobiły się nie do wytrzymania, przyszła jej nagle do głowy zbawienna myśl: jakoś przecież tu weszłam, więc musi być zejście, trzeba je tylko znaleźć. Radość i ulga były tak silne, że Nastia

ocknęła się i popatrzyła na zegarek – spała osiem minut. I znów zamknęła oczy.

...W dużym pokoju przy biurku siedział Gordiejew i coś w skupieniu pisał. Był nie wiadomo czemu w mundurze, z pagonami pułkownika na ramionach. W mieszkaniu ulokowała się grupa operacyjna – Nastia nie mogła się doliczyć, ilu ich było. Pod oknami zatrzymała się ciężarówka, z szoferki wyszła jasnowłosa kobieta w niebieskim palcie. Przecież to kobieta, pomyślała Nastia, to nie może być Gal. Blondynka podniosła głowę i ich spojrzenia się spotkały. Miała niemłodą sympatyczną twarz o drobnych rysach. Boże, przecież to jest moja śmierć, mignęło w głowie Nasti, zaraz wejdzie do mieszkania – i umrę. Kobieta weszła do bramy. Nasti wydawało się, że wyraźnie słyszy jej kroki na schodach. „Wiktorze Aleksiejewiczu! – zawołała. – Przecież ja zaraz umrę! Niech pan coś zrobi, niech pan mnie ratuje!” Ale Gordiejew nawet nie podniósł głowy znad papierów. Kobieta w niebieskim palcie weszła do mieszkania. Nastia uczepiła się rękawa pułkownika. „Niech pan mi pomoże! Niech pan jej tu nie wpuszcza!” Ale Gordiejew z niechęcią i jakby obrzydzeniem wyszarpnął rękę i od sunął się. Chłopcy z grupy rozstąpili się w milczeniu, przepuszczając blondynkę. Ta popatrzyła surowo na Nastię. „Witaj, moja piękna” – powiedziała cicho. „To pomyłka – chciała krzyknąć Nastia – nie po mnie pani przyszła, ja nie jestem wcale piękna, to każdy wie. To pomyłka!” Poczowała, że leci gdzieś do tyłu, w ciemność. Umarłam – pomyślała i z tą myślą się obudziła. Nastia traktowała swoje sny poważnie. Uważała, że sen to produkt pracy umysłu, że tak po prostu nic się nie śni. Śmierć w snach świadczy albo o niewydolności serca, albo o lekkim ataku serca w czasie snu. Trzeba się napić mocnej, gorącej,

dobrze osłodzonej herbaty. Wstała z łóżka i powlokła się do kuchni. Palce miała sztywne, czuła mrowienie w poduszczykach – wyraźny objaw ataku serca. Śmierć – no dobrze, ale co znaczy reszta? Czyżby rzeczywiście nie ufała swoim kolegom? Czyżby do takiego stopnia nie była ich pewna? Wygląda na to, że w głębi serca uważa, iż Pączek w trudnym momencie potrafiłby ją porzucić na pastwę losu. Chyba to dlatego, że znalazłam się w takiej sytuacji po raz pierwszy – pocieszała się Nastia. – Po prostu nie odczułam jeszcze nigdy na własnej skórze, jak niezawodne i solidnie zaplanowane są podobne akcje. Ale do głowy uporczywie przychodziły jej zupełnie inne wytłumaczenia. W ostatnich latach tyle razy analizowała różne operacje – te przeprowadzone pomyślnie, jak również te nieudane – tyle razy musiała szukać ich słabych stron i niedociągnięć, że dobrze, a nawet zbyt dobrze wiedziała, jak często spalają na panewce, jak często ktoś nawala i zawodzi innych. Doprawdy, im więcej wiesz, tym bardziej się martwisz – pomyślała.

\*\*\*

Wołodia Łarcew z satysfakcją pomyślał, że ten Gal czy też kimkolwiek jest, krótko mówiąc – obiekt praktycznie wykonał za nich całą brudną robotę.

– Do niczego pana nie zmuszam – powiedział spokojnie. – Może pan wybierać. Nawet jeśli nie jest pan po naszej stronie, nic panu nie grozi. Proszę się zastanowić. Jego rozmówca zabębnił ze zdenerwowaniem palcami w kolano.

– Wydaje mi się, że pan mnie okłamuje. Nie mogą mnie oskarżyć o współudział?

– Oczywiście, że mogą. Kiedy mówiłem, że nic panu nie grozi, miałem na myśli, że pańska odmowa współpracy z nami nie zaważy na wysokości wyroku.

– A zgoda zaważy?

– Oczywiście.

– Co mam zrobić?

– Nic. Proszę nic nie robić, to wystarczy.

– Chce pan powiedzieć, że mam milczeć o tym, co się dziś stało?

– Dobrze pan mnie zrozumiał. Niech się pan zachowuje tak, jakby nic się nie stało. Znalazł się pan pod potrójnym ostrzałem. Z jednej strony – organizacja, z drugiej – pański kolega, z trzeciej – my. Jedyne sposoby, żeby nie zostać trafionym – nie ruszać się.

– Ma pan rację. A jeśli mnie o coś poproszą?

– Niech pan obieca pomóc. Ale proszę nic nie robić, póki pan do mnie nie zadzwoni. Dobrze? To nie potrwa długo, najwyżej trzy dni. Wytrzyma pan trzy dni?

– Spróbuję – westchnął rozmówca. – To nic przyjemnego – siedzieć i czekać, kiedy cię oskarżą, i w dodatku na podstawie takiego artykułu.

– Ale przyzna pan, że to jednak lepsze niż czekać, aż ktoś pana zabije – zaproponował rozsądnie Łarcew.

# ROZDZIAŁ 11

Rano schemat znów zaczął zawodzić. Tak przynajmniej pomyśleli Korotkow i Siełujanow, kiedy dowiedzieli się o posunięciach śledzonego obiektu. Gordiejew wysłuchał ich i odesłał, rzuciwszy na pożegnanie: – Zastanowię się. Siedźcie na miejscu i nie oddalajcie się za bardzo.

O pierwszej po południu ludzie śledzący obiekt poinformowali, że go zgubili. Grupa pilnująca mieszkania na Prospekcie Mira została natychmiast postawiona w stan gotowości. Napięcie rosło. Obiekt jednak nie pojawił się w okolicach domu.

Gordiejew siedział czerwony i zły. Widział, że sytuacja wymyka mu się spod kontroli.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy podsłuchiwać rozmów telefonicznych w mieszkaniu Murtazowa – oburzał się zastępca Gordiejewa podpułkownik Żerechow. – Jestem pewien, że prokurator dałby na to zgodę.

– Za późno, Pasza. Poza tym niebezpiecznie. Czy życie cię niczego nie nauczyło? Im wyżej zorganizowana grupa przestępcza, tym większy przeciek informacji. Ryzyko jest zbyt duże.

– Ale w ten sposób do niczego nie dojdziemy. Tego nie wolno, tamto niebezpieczne, czy zdajesz sobie sprawę, do czego to doprowadzi? Wystawiłeś zabójcy niedoświadczoną dziewczynę, licząc na to, że złapiesz go gołymi rękami. Co się z tobą dzieje,

Wiktorze? O czym ty myślisz? Rozpracowywać Pawłowa powinno Ministerstwo Bezpieczeństwa, a nie my dwaj.

– Mam gdzieś tego Pawłowa! – wybuchnął Gordiejew. – Szukam zabójcy. A Pawłow nic mnie nie obchodzi. Guziki naciskać każdy głupi potrafi.

– Jakie guziki? – nie zrozumiał Żerechow.

Gordiejew się zerwał i zaczął miotać się po gabinecie, roztrącając z irytacją stojące na drodze krzesła.

– Zrozum, Pasza, mamy do czynienia ze skomplikowanym i świetnie zorganizowanym systemem, o którym nic nie wiemy. Wyobraź go sobie jako komputer, mający sieć abonentów-użytkowników. Pawłow, Rudnik, IwanowPietrow-Sidorow – każdy z nich, jeśli jest abonentem, może nacisnąć guzik. Maszyna zabrzączy, popstryka i na ekranie pojawi się słowo. Nie interesują mnie ci użytkownicy, i tak wszystko o nich wiem. Interesuje mnie, co się dzieje z maszyną, kiedy tak brzączy i pstryka. Masz rację, dziewczyna nie ma dużego doświadczenia, ale potrafi myśleć, umie również coś, czego ty i ja nie potrafimy. Ona tę maszynę może rozebrać na części.

– Jeśli przeżyje – cicho wtrącił Żerechow, nie patrząc na pułkownika.

– Przestań! – wrzasnął Gordiejew. – Boję się o nią nie mniej niż ty. Najwyżej pozwolimy zabójcy uciec. Do diabła z nim, i tak mamy za mało dowodów.

Żerechow pracował z Gordiejewem nie pierwszy rok, razem tworzyli swoisty system bezpieczeństwa i przeciwwagi. Gwałtowny i zuchwały Gordiejew, który nikogo i niczego się nie bał, leciał na

złamanie karku w jemu tylko znanym kierunku. Dokładny i konserwatywny Paweł Wasiljewicz Żerechow, choć młodszy od Gordiejewa, grał przy nim rolę mądrego dziadka, starannie dbającego, żeby zbyt żywy wnuczek nie wpadł do stawu, nie przełaził przez płoty i nie bawił się zapałkami. W kwestiach zasadniczych byli jednomyślni, ale różnili się metodami działania.

– Po co w takim razie to wszystko? – nie ustępował Żerechow. – Pawłow cię nie interesuje, zabójcę gotów jesteś wypuścić. Tyle wysiłku, tyle nerwów – i wszystko dla informacji, którą nie wiadomo, czy zdobędziesz. Nie poznaję cię, Wiktorze.

– A ja nie poznaję ciebie – odparł już spokojnie Gordiejew. – Wiesz nie gorzej ode mnie, dokąd zmierzamy. Świat przestępczy, do jakiego jesteśmy przyzwyczajeni, już nie istnieje. Miał własne prawa i reguły gry, które dzisiaj nie obowiązują. Zmienia się kraj, zmienia się polityka i gospodarka, a razem z nimi przestępczość. To już zupełnie inni przestępcy i nie potrafimy ich szukać i łapać. I oto pojawia się szansa, by czegoś się nauczyć. Postaraj się myśleć inaczej, zdobądź się na przyznanie, że w naszej pracy zdarzają się sytuacje, kiedy proces poznania jest ważniejszy od wyniku. Może przyniesie to szkodę dziś, ale przyda się jutro. Powiedzmy, że nie rozwikłamy dziś jednego zabójstwa. Mało to mamy niewyjaśnionych morderstw? Ale za to w przyszłości będziemy dobrze przygotowani do zabójstw na zlecenie.

– Zdrowo oberwiesz za takie pomysły, Wiktorze. Kto to słyszał – świadomie godzić się na niewykrycie zabójstwa, w dodatku zabójstwa oficera milicji.

– No to oberwę. – Gordiejew machnął ręką. – Mam trzydzieści jeden lat wysługi, odejdę na emeryturę. I tak za dzisiejszą pensję

mogę kupić żonie zaledwie dwie pary butów. Nie będę się kurczowo trzymał swego stołka. A wy będziecie jeszcze przez wiele lat mi dziękowali, jeśli się uda to, co zaplanowałem.

– Generał oczywiście nic nie wie o twoich napoleońskich planach?

– Oczywiście, że nie. Pawłow ma do niego jakieś dojście.

– Czemu tak sądzisz?

– Próbował dowiedzieć się przez generała, czy Anastazja nie znalazła czegoś w sprawie Fiłatowej.

– Ale dlaczego? Dlaczego właśnie Kamieńska?

Gordiejew uśmiechnął się zadowolony. Oto, Paszeńka, dowód na to, że nie popełniłem błędu, biorąc do siebie nikomu nieznaną dziewczynę z komisariatu dzielnicowego. Jak tyś się wtedy temu sprzeciwiał!

– Dlatego – powiedział wyraźnie i dobitnie po chwili milczenia. – Ty też mi nie wierzyłeś, kiedy mówiłem, że będą z niej ludzie. I pomyliłeś się. A ja miałem rację. Tak, ona wielu rzeczy nie potrafi. Tak, nie ma dużego doświadczenia. Ale reputacja – to też broń, i nie mniejszego kalibru. Wiesz co, Pasza – dodał Gordiejew, zatrzymując się za plecami swego zastępcy – szczerze mówiąc, sam o tym nie wiedziałem. Dopiero kiedy generał wezwał mnie do siebie i zaczął wrzeszczyć, że Nastia jest moją kochanką, zrozumiałem, że ten, kto go na mnie napuścił, interesuje się głównie Kamieńską. Co znaczy, że ktoś mu powiedział, iż to właśnie ona może stwarzać realne niebezpieczeństwo. Oczywiście w pierwszej chwili byłem dotknięty. Jak to, więc my w ogóle się nie liczymy? Pracuję w kryminalnym trzydzieści lat i mnie przestępca się nie boi, a ona – zaledwie sześć, i

już jest taka znana. Wtedy właśnie, Paszeńka, zrozumiałem, że teraz mamy do czynienia z innym rodzajem przestępców. Oni nie boją się tych ze starej szkoły, wiedzą, że ci kierują się inną logiką, inaczej myślą. Mają inne nawyki. A Anastazja jest wyjątkowa. Myśli zupełnie inaczej. Więc to ja mam rację.

– No dobra, niech będzie, że masz rację – zgodził się Paweł Wasiljewicz. – I niech będzie, że jesteś taki odważny, że niczego się nie boisz. Ale wytłumacz mi, na Boga, czy nie ma innego sposobu, by się dowiedzieć, czy ten, wokół którego chodzimy, rzeczywiście jest zabójcą Fiłatowej? Czy musimy czekać, aż przyjdzie zabić Nastię? Tfu – dodał z gniewem – nawet przez gardło mi to nie przechodzi.

Gordiejew westchnął, usiadł przy biurku, potarł dłonią łysinę i czoło.

– Nie wiem, Pasza. Nic nie potrafię wymyślić. To znaczy sposobów na to jest wiele, ale boję się go spłoszyć. Jestem przekonany na sto procent, że nie nosi przy sobie broni i dokumenty ma w idealnym porządku. Więc zatrzymywać go nie ma sensu. Nie mam wystarczających dowodów. Znasz moje zasady i nie będę dla tego płatnego zabójcy ich łamać. A jeśli okaże się w dodatku, że to wcale nie zabójca, tylko ktoś inny, kto tylko przygotowuje mu grunt, wtedy cały nasz plan na nic. Mamy poszlaki, na podstawie których można sądzić, czy to ten właśnie człowiek był w mieszkaniu Fiłatowej. I co z tego? Kiedy tam był? Jak udowodnić, że akurat w chwili zabójstwa, a nie godzinę czy dzień przed nim? Mamy powód, by go przesłuchać, ale nic więcej. A podstaw do zatrzymania i zamknięcia w areszcie – zero.

– Do czego zmierzasz? Czekasz, aż zacznie zabijać Nastię, a wtedy złapiesz go na gorącym uczynku? Oszalałeś?

– Czekam, Pasza, aż on dostarczy mi dowodów. Aż mi je przeniesie na tacy.

– A jeśli nie przyniesie?

– Wtedy przyznam, że to ty miałeś rację, a nie ja. Przekażę wydział w twoje ręce i odejdę w atmosferze skandalu.

\*\*\*

Tego samego dnia rano Łarcew odebrał telefon.

– Chce, żebym z nim pojechał.

– Kiedy?

– Spotykamy się za godzinę.

– Wyjaśnił po co? Dał mu pan przecież adres.

– Chce, żebym ich sobie przedstawił. Że niby swój człowiek, a nie ktoś z ulicy.

– Dobrze, niech pan jedzie. Tylko proszę uważać. I nie przeszkadzać mu, niech robi, co będzie uważał za słuszne. Może mu pan nawet pomóc.

Kiedy się okazało, że śledzący zgubili obiekt, Łarcew na polecenie śledczego przesłuchiwał właśnie w areszcie czterech podejrzanych. Sprawa znajdowała się w gestii Konstantina Michajłowicza Olszańskiego, który szczegółowo Wołodię poinstruował. Dobrze im się razem pracowało, Łarcew był chyba jedynym z pracowników Gordiejewa, którego Olszański darzył nie tylko sympatią, ale i

ogromnym zaufaniem, jeśli chodzi o sprawy zawodowe. Nieustępliwy, skrupulatny, niezwykle wymagający Konstantin Michajłowicz słynął jako człowiek doskonale znający się na swojej pracy, ale większość oficerów, a zwłaszcza biegłych, go nie lubiła. Ciągłe mu się wydawało, że coś przeoczą, zapomną przy oględzinach miejsca zdarzenia, był nieznośny, poganiał wszystkich i rządził się jak we własnym folwarku. I chociaż wszyscy wiedzieli, że ma rację, wielu się obrażało, kiedy zwracał się do nich swoim ostrym kategoriycznym tonem, czasem wręcz po chamsku. I jedynie z Łarcewem rozmawiał nie tylko uprzejmie, ale nawet serdecznie, przyznając, że Wołodia potrafi przesłuchiwać o wiele lepiej i skuteczniej, niż on sam.

Spędziwszy, tak samo jak Gordiejew, noc na Pietrowce, i wychodząc ze swego gabinetu o ósmej rano, Łarcew chciał zameldować pułkownikowi o rozmowie telefonicznej, ale uchyliwszy drzwi jego gabinetu zobaczył, że Pączek śpi, rozwalony na fotelu, z rozpiętym kołnierzem koszuli i przesuniętym w bok, poluzowanym krawatem. Szkoda mu było go budzić, postanowił więc, że zadzwoni później, już z Butyrki.

W czasie krótkich przerw między przesłuchaniami nie udało mu się jednak dodzwonić do Gordiejewa: dwa razy było zajęte, raz nikt nie odebrał. Właściwie nie było to nic pilnego. Wołodia wiedział, że obiekt jest cały czas obserwowany i żadnych nowych wiadomości do przekazania Pączkowi nie ma. Oprócz chyba jednej. Ale to może poczekać, z tym nie ma pośpiechu. Najważniejsze, że on sam zrobił wszystko, co uważał w tej sytuacji za konieczne i słuszne. Już wychodząc z pokoju przesłuchań, spróbował dodzwonić się do

Gordiejewa jeszcze raz, ale bezskutecznie. Zadzwoił do domu. Odebrała dziesięcioletnia Nadiusza.

– Tatusiu! – Zanosila się płaczem. – Przyjeżdżaj szybciej. Mamę zabrali do szpitala.

– Jak to zabrali? – osłupiał. – Przecież jeszcze za wcześnie.

Żona Łarcewa była w dziewiątym miesiącu ciąży.

– Zabrali! – łkała córka. – Źle się poczuła.

Łarcew pognał do domu na złamanie karku. Parę razy mało nie wpadł pod samochód, wyskoczywszy na jezdnię w nadziei złapania taksówki. Bardzo pragnęli z Nataszą drugiego dziecka. Była to już trzecia ciąża żony po urodzeniu Nadiuszy. Pierwszy raz zaraziła się odrą, na którą nie chorowała w dzieciństwie, i poroniła. Za drugim razem dziecko urodziło się martwe. Łarcew, z troski o żonę, przekonywał ją, a przy okazji i siebie, by porzucić dalsze starania, ale Natasza była nieugięta. Przejdę tę drogę do końca – mówiła. Tym razem też nie obeszło się bez komplikacji, ale nadzieja pozostawała, bo był już przecież dziewiąty miesiąc. I nagle... Biedna Nadiusza, została sama w mieszkaniu, jest wystraszona, płacze.

Wołodzia wpadł do domu, chwycił na ręce opuchniętą od łez córkę i pomknął do szpitala.

– Nie będę panu robić niepotrzebnych nadziei – powiedział lekarz. – Sytuacja jest bardzo poważna. Nie wykluczam, że trzeba będzie zdecydować – matka albo dziecko.

Mocno tuląc do siebie córkę, Wołodzia Łarcew tkwił przytłoczony nieszczęściem na ławce w poczekalni. O telefonie do Gordiejewa już nie pamiętał.

\*\*\*

Około dziesiątej wieczorem zgubiony na cały dzień obiekt pojawił się na Prospekcie Mira.

– Wyszedł – poinformowano Gordiejewa.

Ten pobłogosławił w duchu Nastię i szybko pobiegł długim korytarzem budynku na Pietrowce na dół, do samochodu.

\*\*\*

Nastię przywrócił do rzeczywistości dzwonek do drzwi. Wewnętrzne dreszcze ustały, dłonie z lodowatych błyskawicznie zrobiły się gorące. Podeszła zdecydowanym krokiem do drzwi i zapytała:

– Kto tam?

– Łarisa? – usłyszała przyjemny baryton. – Proszę otworzyć. Jestem od Aleksandra Jewgienjewicza. Nastia przekreśliła zamek i wpuściła gościa do środka. Zobaczyła przed sobą mężczyznę trochę wyższego od siebie, z nieśmiałym wyrazem twarzy i czarującym uśmiechem. Przypominał solidnego księgowego. Na jego ramieniu wisiała ciemnogrnatowa męska torba na długim pasku.

– Nie spodziewam się nikogo od Aleksandra Jewgienjewicza – powiedziała niezadowolonym tonem. – Umawialiśmy się, że zadzwonię do niego jutro. Po co ten pośpiech?

– Gdzie mogę umyć ręce? – zapytał Gal, nie zwracając uwagi na jej słowa. – W tym domu są bardzo brudne poręcze.

– Proszę – sucho odparła Nastia, prowadząc go do łazienki.

W łazience Gal szybkim ruchem odkręcił na cały regulator ciepłą i zimną wodę, obrócił się zwinnie, chwycił Nastię za nadgarstki i w oka mgnieniu przycisnął ją plecami do umywalki. Po prawej stronie miała wannę, po lewej – pralkę, przed sobą – zabójcę.

Trzymając ją jedną ręką za przegub, a drugą za ramiona, zbliżył usta do jej ucha i wyszeptał:

– Witam cię, moja piękna.

Jak w sennym koszmarze – pomyślała Nastia. – I żadnej nadziei na przebudzenie.

– Dlaczego pan szepcze? – zapytała głośno.

Palce na przegubie zacisnęły się tak mocno, że z bólu łzy nabiegły jej do oczu.

– Bo nie wyglądasz mi na głupią – odpowiedział Gal, nie podnosząc głosu. – Jeśli pracujesz dla glin, musisz mieć w mieszkaniu podsłuch. A jeśli jesteś prawdziwą dziennikarką i szantażystką, zawsze masz pod ręką dyktafon, żeby nagrywać co ciekawsze kawałki. Dobrze rozumiuję?

– Dobrze. I co dalej? – wyzywająco spytała Nastia.

– Dlatego porozmawiamy sobie tutaj.

\*\*\*

Gordiejew wytarł o spodnie spocone ze zdenerwowania ręce.

– No, jak tam? – zapytał zniecierpliwiony.

– W łazience leje się woda. Słysząc dwa głosy, ale nic nie można zrozumieć.

– Chłopcy gotowi?

– Gotowi.

– Bez mojego rozkazu nie zaczynać.

\*\*\*

– No cóż, porozmawiajmy. Rzeczywiście przysłał cię Pawłow? – Swobodnie przeszła na „ty”.

– A ktoś by inny?

– Skąd mam wiedzieć? Może jesteś z milicji. Może nasz dzielny pułkownik nie jest w nic zamieszany i doniósł na mnie.

– A w co takiego jest zamieszany? Opowiedz mi.

– A idź ty, wiesz gdzie? – wyszeptała wyraźnie Nastia i dodała już głośniejsz:

– Wszyscy byście chcieli informacji za friko. Zapamiętaj sobie, cwaniaczku, ja gadam tylko za pieniądze. Mów szybciej, po co przychodzisz, bo mam dosyć stania. Ale najpierw mi udowodnij, że nie jesteś z milicji. Wtedy porozmawiamy.

– A jak jestem z milicji, to co?

– Nic. Ale wtedy nie mamy o czym rozmawiać. A jutro doniosę na ciebie, że udając milicjanta, wszedłeś do mojego mieszkania i chciałeś mnie zgwałcić. Albo obrabować. Jeszcze nie wiem. Zanim się wytłumaczysz – osiwiejesz.

- Szantażujesz mnie?
- No pewnie. Inaczej nie potrafię.
- Dobra, przestań się wygłupiać. Pawłow przygotował pieniądze, ale ci nie ufa. Dlatego pojedziemy jutro się z nim spotkać. Ty jemu – czwarty egzemplarz pracy i informację, a on tobie – sto czterdzieści kawałków i do widzenia.
- A ty do czego jesteś potrzebny? Do przeliczania pieniędzy? Kasjer społecznik się znalazł! – fuknęła Nastia.
- Śmieję się, śmieję – pogroził Gal i znów ścisnął jej przegub. – Żebyś nie musiała później płakać. Posiedzę tu do rana. Muszę się do tego czasu przekonać, czy można ci wierzyć.
- Kłamiesz – odparła niespodziewanie głośno. – Nie można się o tym przekonać.
- Cicho!
- Nie można się o tym przekonać – powtórzyła, ścisząc głos, Nastia. – Trzeba być skończonym idiotą, żeby po to tu przychodzić. Mów, czego chcesz?
- Zabić cię.

\*\*\*

- Głosów nie słyhać – rozległ się z nadajnika zdenerwowany okrzyk lejtnanta Szestaka. – Tylko szum wody.
- Przygotować się – rozkazał Gordiejew. Był gotów zerwać się z miejsca i biec przed samochodem. W mieszkaniu czterdzieści

dziewięć bezgłośnie otworzyły się drzwi. Kolejne dwie osoby pojawiły się na klatce schodowej.

\*\*\*

Ciało kobiety ciężko zwiśło w uchwycie Gała. Na jej twarzy malował się prawdziwy strach.

– Za co? – wyszeptwała ledwie słyszalnym głosem.

– Wiesz za co. Wdepnąłeś nie tam, gdzie trzeba. Wynajęto mnie, bym cię zabił. Osobiście nic do ciebie nie mam. Jak będziesz grzeczna – to przeżyjesz. Jasne?

– Niedobrze mi – wystękała, z trudem poruszając zbie łałymi ustami. – Pozwól mi usiąść.

Gal odsunął się i posadził ją na brzegu wanny, nadal trzymając obiema rękami.

– A teraz posłuchaj – powiedział. – Mam z Pawłowem sprawę do załatwienia. Muszę mieć ten egzemplarz, ale nie mogę za niego teraz zapłacić, nie mam pieniędzy. Pójdiesz jutro ze mną, dostanę zapłatę za zabicie ciebie i zapłacę ci z tych pieniędzy. Jak będziesz grzeczna – wszystko będzie w porządku.

Nastia bez słowa skinęła głową.

– Zaraz stąd wyjdziemy i będziemy się zachowywać jak kulturalni ludzie. Trzymaj język za zębami. Jedno nieostrożne słowo – a pomyślę, że mieszkanie jest na podsłuchu glin. Niestety, jestem bardzo podejrzliwy i nie mam poczucia humoru. Umrzesz o wiele

szybciej, nim zdążą dotrzeć tu twoi kumple, nawet jeśli siedzą w sąsiednim mieszkaniu. Przyznaj się, jest tam zasadzka?

\*\*\*

– Słysząc głos – poinformował Szestak. – Ale tylko jeden, męski. Są jeszcze w łazience.

– Nie ma innych odgłosów? Odgłosów walki?

– Nie, nie słysząc.

– Czekamy jeszcze trzydzieści sekund. Jeśli po trzydziestu sekundach nie usłyszymy jej głosu – wchodzimy.

Dowodzący akcją spojrział na zegarek.

\*\*\*

Nastia miała wrażenie, że mechanizm analizujący w jej głowie pracuje zbyt głośno. Musi natychmiast coś powiedzieć, wszystko jedno co, jakieś głupstwo, tylko żeby ją usłyszeli. W przeciwnym wypadku wedrą się do mieszkania i wszystko popsują. Gala absolutnie nie wolno zatrzymywać teraz, póki ona nie odgadnie, co on zamierza. Jakaś chytra gra z tym Pawłowem... O co on pytał? Czy w sąsiednim mieszkaniu jest zasadzka? – No pewnie. W dwóch mieszkaniach po dziesięć osób i jeszcze ze stu ludzi na klatce schodowej. I w każdej szafie też. No, dalej, szukaj.

– Nie bądź taka dowcipna – wycedził przez zęby Gal, zakręcając wodę. – Idziemy stąd, jeszcze mi tu zemrzesz. Jesteś mi potrzebna

żywa.

\*\*\*

Dowodzący akcją zerknął na zegarek. Minęło dwadzieścia pięć sekund. Machnął ręką i trzech ludzi natychmiast stanęło pod drzwiami mieszkania czterdzieści osiem. Jeden trzymał w rękach klucz.

W samochodzie, w którym jechali Gordiejew, Korotkow i Docenko, rozległ się głos Szestaka: – Słyszę głos kobiety. Woda zakręcona.

Gordiejew rzucił spojrzenie na wskazówkę. Dwadzieścia dziewięć sekund.

– Odwołuję akcję! – rozkazał.

\*\*\*

Gal, nadal trzymając Nastię za rękę, wyprowadził ją do kuchni i wskazał głową na stojącą w kącie niewielką kanapę.

– Siadaj tam. Niech ci będzie, trochę ci ponadskakuje. Jadłaś już kolację?

– Jeszcze nie. Chciałam, ale mi przeszkodziłeś. – No to zjedzmy coś.

Otworzył pewnym ruchem lodówkę i kucnął przed nią. Wyciągnął jajka, mleko, dwie puszki konserw bez etykiety.

– Co to jest? – zapytał, kręcąc puszeki w rękach.

– Jakaś ryba, chyba kilki w tomacie. Szybko się zadomowiłeś – powiedziała złośliwie Nastia.

– Posłuchaj – obrócił się do niej Gal – przed nami cała noc. Lepiej więc będzie, jak się zaprzyjaźnimy. Chcesz omlet? Siedź spokojnie, sam zrobię.

– Zostaw, nie przesadzaj.

Nastia chciała podnieść się z kanapy. Jakoś nie mogła uwierzyć, że śmierć jest tak blisko.

– Powiedziałem, siedź spokojnie – rzucił Gal twardo. – I ręce połóż tak, żebym widział. Trzeci raz nie będę powtarzał.

– W porządku – westchnęła Nastia, zwijając się w kłębek na kanapie. – Po raz pierwszy w życiu facet robi mi kolację – coś takiego! No to do roboty, szefie! Gal nie mógł się nadziwić jej opanowaniu. Widać, rzeczywiście jest zawodową szantażystką. I nie jest głupia, co to, to nie.

\*\*\*

Na sąsiednim podwórku zatrzymał się samochód. Wskoczyło z niego trzech mężczyzn i biegiem ruszyło do stojącego obok bramy mikrobusu.

– Jak tam? – zapytał zdyszany Gordiejew.

– Szykują kolację. On ją podejrzewa. Posadził w kącie na kanapie i nie pozwala wstać. Chce tam sterczeć do rana.

– Jasna cholera – burknął w zamyśleniu Wiktor Aleksiejewicz. – Ciekawe, co wymyślił? A gdzie Łarcew? – obrócił się do Korotkowa.

– Od rana był w Butyrce. – Jura wzruszył ramionami. – Więcej się nie odezwał.

– Poszukaj go. Może on coś wie.

Korotkow usiadł przy radiotelefonie.

\*\*\*

Wołodia Łarcew siedział na szpitalnym korytarzu, bojąc się ruszyć, żeby nie obudzić śpiącej na jego kolanach córki. Czuł się strasznie. Natasza leżała na intensywnej terapii i sądząc po twarzach wychodzących stamtąd lekarzy, sprawy wyglądały bardzo źle.

\*\*\*

Nastia szybko pochłaniała omlet, chociaż wcale nie czuła głodu. To było zupełnie nowe doświadczenie. Zjeść kolację przygotowaną przez zabójcę – to dopiero coś.

– Smaczne! – pochwaliła całkiem szczerze. – Pewnie nie jesteś żonaty?

– A ty pewnie jesteś bardzo ciekawska – odparł takim samym tonem Gal.

– Naturalnie – roześmiała się. – Gdybym nie była ciekawska, nie miałabym forsy.

– Niedużo masz tej forsy, skoro do tej pory nie kupiłaś sobie nowego wozu. Co ty na to? – dociął jej Gal.

Świetne trafienie! – pomyślała Nastia. Odłożyła powoli widelec i zmrużyła oczy.

– Jednak jesteś gliną. Wydało się.

– Dlaczego? – zdziwił się szczerze Gal.

– Pawłow nic nie wie o sprawie z wozem. A milicja wie. Z adresem też dziwna historia. Jak mnie znalazłeś, skoro Pawłow nie dał ci mojego adresu, co?

– A skąd wiesz, że nie dał? Pracuje w MSW, dla niego dowiedzieć się, gdzie mieszkasz – to żaden problem.

– Nie wciskaj mi kitu. – Skrzywiła pogardliwie usta. – Nie jestem tu zameldowana. To jest mieszkanie mojego byłego, a on ma inne nazwisko. Do końca życia będę się przechwalać, że kapitan milicji nakarmił mnie własnoręcznie przygotowaną jajecznicą. A może jesteś już majorem? Pokaż legitymację, chcę zobaczyć, jak wyglądasz w mundurze.

– A ty rzeczywiście masz na imię Łarisa? – odparował Gal. – Pokaż dowód.

– Przecież nie pozwalasz mi wstać – rzekła z uśmiechem. – Przynieś mi torebkę z przedpokoju.

Nie spuszczał z niej oczu, Gal powoli ruszył do przedpokoju i szybko wrócił z torebką. Nastia wyciągnęła rękę, ale on sam rozsunął zamek błyskawiczny i wysypał na kuchenny stół zawartość torebki.

– Co za bezczelność – oburzyła się.

Nie zwracając na nią uwagi, otworzył dowód. Nastia była spokojna, wiedziała, że Jura Korotkow wszystko zrobił, jak trzeba. A zawartość torebki sprawdzała kilka razy dziennie, nie było tam nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

– Przekonałeś się, kontrolerze? – zapytała ironicznie. – A teraz pozmywaj i zaparz kawę. A przy okazji pokaż mi swoje dokumenty, żeby było sprawiedliwie.

– Obejdiesz się bez tego – burknął Gal, zbierając powoli do torebki rozsypane po stole damskie drobiazgi.

– Ale masz przecież jakieś imię? Muszę jakoś się do ciebie zwracać przez całą noc.

– Jakieś mam. Sama wybierz. Choćby Wasia czy Pietia.

– Podoba mi się imię Emanuel. Mogę cię tak nazywać?

– A nazywaj, jak chcesz. Która gąbka jest do zmywania?

Gal włożył talerze i widelce do zmywaka, zdjął z wieszaka fartuch i naturalnym gestem zawiązał go w pasie.

– Nie, mój ty gospodarzy, Emanuel do ciebie nie pasuje. To musi być coś zwyczajnego. Już wiem! Będziesz miał na imię Michriutka. Okej?

\*\*\*

– Co ona robi? – wystraszył się Korotkow. – Po co go drażni? Wyprowadzi go z równowagi. Wścieknie się i ją wykończy. Żeby stroić sobie żarty z płatnego zabójcy! Wariatka.

– Najgorsze jest to, że do tej pory nie wiemy, czy to zabójca, czy nie. Miejmy nadzieję, że ona da nam jakiś znak. Znalazłeś Łarcewa?

- Nigdzie go nie ma – ani w domu, ani w pracy.
- Do rodziców dzwoniłeś?
- Dzwoniłem. Nic nie wiedzą.
- A rodzice żony?
- Ona jest z Kujbyszewa. Rodzice mieszkają tam.
- Nieodpowiedzialny dupek!

\*\*\*

Gal rozlał gorącą kawę do filiżanek. Pomyślał, że gdyby tak na chwilę o wszystkim zapomnieć, to życie mogłoby być niezwykle przyjemne. Czysta, przytulna kuchnia, ładna kobieta w eleganckim peniuarze, mocna, gorąca kawa, leniwa pogawędka – prawdziwa rodzinna idylla. Dlaczego w jego życiu nie ma na to miejsca?

- Wystarczy cukru? – zapytał, kiedy Nastia pociągnęła pierwszy łyk.

- W sam raz, dziękuję. Podaj mi, proszę, papierosy.

Gal podał jej paczkę i zapalniczkę, podsunął popielniczkę. Mimo woli zapatrzył się na jej długie palce z nieskazitelnym manikiurem, kiedy wyciągała papierosa.

- Nie palisz? – spytała, zaciągając się głęboko.

- Nie. I nigdy nie paliłem. A ty po co się trujesz, skoro masz słabe serce?

- Odczep się.

Nastia pokręciła w palcach papierosa i nakreśliła nim w powietrzu jakiś zawiły znak.

– Moje zdrowie nikogo nie obchodzi. Nikomu nie jestem potrzebna. Męża nie mam, dzieci też. Rodzice daleko, chyba już o mnie zapomnieli. Co mnie czeka? Samotna starość w domu starców. Wesoła perspektywa. Lepiej nie doczekać takiej starości.

Gal zrozumiał, że kobieta mówi teraz całkiem poważnie. Miała w oczach prawdziwy ból.

– Możesz jeszcze wyjść za męża. Jesteś mądra, piękna, bogata. Czemu tak od razu siebie skreślasz?

– Za męża? – Strąciła popiół z papierosa. – Nigdy. Przyzwyczyłam się być sama. Kiedy liczysz tylko na siebie, jakoś pewniej się czujesz. W tym pieprzonym życiu nikomu nie można ufać, tylko sobie. Mam rację?

– Chyba tak – zgodził się Gal.

– No widzisz – powiedziała z satysfakcją. – Ty też jesteś takim samotnym wilkiem. Bo wiesz, że nikomu nie można ufać.

Gal nic nie odpowiedział. Po napięciu ostatnich dni miał ochotę rozluźnić się choćby na chwilę. Zwyczajnie posiedzieć w przytulnej kuchni, porozmawiać z tą rudą Łarisą o czymkolwiek, spokojnie, otwarcie, ciepło.

\*\*\*

– To zabójca – zdecydowanie rzucił Gordiejew. – Co proponujecie w związku z tym?

– Myślę, że trzeba go zatrzymać, póki nie jest za późno – odezwał się Docenko.

– A ja myślę, że niech jeszcze pogadają – zaproponował Korotkow. – Anastazja panuje nad sytuacją. Może dowiemy się czegoś ciekawego.

– Ale ona tam jest sam na sam z zabójcą! – nie wytrzymał Misza.  
– Jak możecie być tak spokojni?

– A on sam na sam z Anastazją. Nic ci to nie mówi? Zaczekamy – podsumował pułkownik.

\*\*\*

Wypili jeszcze po filiżance kawy. Nastia zmieniła pozę i zaczęła rozcierać zdrętwiałą od długiego siedzenia nogę. Już od godziny prowadzili spokojną przyjacielską rozmowę o niczym, omawiając zalety i wady różnych marek samochodów, gatunków koniaku, kurortów nadmorskich. Nastia wpatrywała się w twarz swego rozmówcy i dziwiła się, że jest taki zwyczajny i na swój sposób sympatyczny. Kto to mówił o pustych i zimnych oczach zabójcy? To wszystko bzdury, pomyślała. Normalny facet, z normalnymi oczami i miłym uśmiechem. Spokojny, poważny, jakby był w pracy. No, bo właściwie rzeczywiście jest w pracy. Już czas, zdecydowała. Pora zmienić marchewkę na kij. Zdążył już chyba odpocząć.

– Słuchaj, Michriutka, śmierdzisz jak cap. Czy ty się w ogóle nie myjesz?

Przejęcie od przyjaznego tonu do sarkazmu było tak nagłe, że Gal się wzdrygnął i oblał rumieńcem.

– Szoruj pod prysznic – ciągnęła Nastia.

– A ty co w tym czasie będziesz robiła? Zadzwonisz na milicję? Czy zaczniesz grzebać w mojej torbie? Nie ma głupich – odparł ze złością.

– Jak chcesz, mogę pójść z tobą. Dopilnuję, żebyś nie utonął. Czego się tak gapisz? Myślisz, że nie widziałam gołego faceta? – Podniosła się z kanapy. – No, chodź do łazienki. Od razu lepiej się poczujesz.

Nastia miała dwa cele. Po pierwsze, upokorzyć go i zmusić, by zaczął się usprawiedliwiać. Po drugie, porozmawiać o tym, o czym w kuchni nie mogła się nawet zająknąć, by nie wzbudzić w Galu podejrzeń. Gal niechętnie się podniósł i przepuściwszy przodem gospodynię, ruszył za nią do łazienki. Rozebrał się do slipów, starannie złożył dzinsy i koszulę na pralce i zatrzymał się niezdecydowanie.

– Odwróć się.

– Jeszcze czego! Żebyś mnie z tyłu zdzielił po głowie? Mądrała.

– Mówiłem już, że jesteś potrzebna mi żywa.

– No to co, że mówiłeś? Ty mi nie ufasz, to czemu ja mam ufać tobie?

Odkręciła wodę. No, szybciej, szybciej – poganiała go w duchu. – Goły facet jest niegroźny, traci całą swoją godność.

– Właż szybko do wanny – powiedziała z rozdrażnieniem. – Nie udawaj dziewicy. Zaciągniesz zasłonę – i już.

\*\*\*

– Po co ona go zawlokła do łazienki? – zapytał z niezadowolaniem Korotkow. – Nic nie będzie słychać.

– Po to go właśnie zawlokła – odpowiedział tajemniczo Gordiejew, który odgadł zamiar Kamieńskiej. – Kiedy stamtąd wyjdą, wszyscy dobrze uważajcie. Nastia może próbować przekazać nam jakąś informację. Sądząc ze wszystkiego, Gal nie wyklucza, że jest podsłuchiwany. Nie powiedział nic, co by świadczyło przeciwko niemu, jest bardzo ostrożny.

\*\*\*

Gal z przyjemnością nadstawił ciało pod ciepłe, mocne strugi wody. Dobra z niej kobita, myślał, szkoda, że musi ją zabić. Dwoje samotnych wilków. Mogłoby im się udać...

– No i jak, Michriutka? – rozległ się jej głos zza plastikowej zasłony, przez którą nic nie było widać. – Przyjemnie, prawda?

– Bardzo – odpowiedział, nie kryjąc zadowolenia.

– A tak się opierałeś. – Zaśmiała się cicho. – Słuchaj, chciałam cię o coś zapytać.

Gal zaniepokoił się i na wszelki wypadek odkręcił bardziej kurek, żeby szum wody był głośniejszy. Ale Łarisa widać dobrze zapamiętała nauczkę, bo odsunęła zasłonę i nachyliła się do niego blisko.

– A Irkę... też ty? Gal udał, że nie zrozumiał.

– Jaką Irkę?

– Fiłatową. Była moją koleżanką. To właśnie ją zabito przez ten maszynopis.

– Pierwsze słyszę.

– Jak nie ty, to kto?

– Powiedziałem: pierwsze słyszę. Nie znam żadnej Fiłatowej.

– Nie kłamiesz?

– Skąd ci przyszło do głowy, że ją znam?

– Ten egzemplarz dała mi Irka.

– Spryciara z ciebie! Chcesz zedrzeć z Pawłowa czterdzieści kawałków tylko za to, że mu o tym powiesz? Za taką informację nawet rubla bym nie dał.

– Pawłow – to co innego. On gotów dać nawet więcej. A tobie po co ten egzemplarz?

– Chcę porozmawiać z Aleksandrem Jewgienjewiczem po męsku. Facet mi się nie podoba. Może to on zabił twoją koleżankę.

– Skąd wiesz?

– Wiem. Dosyć, odsuń się, rozmowa skończona.

Nastia posłusznie odeszła do drzwi. Gal zakręcił kurek i sięgnął po ręcznik. Po prysznicu poczuł się o wiele lepiej. Mógł się oczywiście przyznać, że to on zabił Fiłatową. I tak tę Łarisę zabije. Jutro o tej porze już jej nie będzie. Za to teraz zaczęłyby się naprawdę bać i nie dokuczałyby mu swoimi złośliwymi uwagami. Ale miał dziwną pewność, że nie wolno mu jej o tym mówić.

– Włóż szlafrok – zaproponowała Nastia, widząc, że Gal chce się ubrać. – Koszulę możesz wyprać, mój ty gospodarzy, do rana wyschnie.

– Obejdzie się – uciał z rozdrażnieniem. Tylko tego brakowało, żeby robił przy niej pranie. Musiałby wyciągać wszystko z kieszeni, a wtedy by zobaczyła... Chociaż może się nie domyśli.

Ale szlafrok włożył, nie chciał naciągać na czyste ciało prze poconej na upale koszuli.

– Idziemy do pokoju, dość tego siedzenia w kuchni – rozkazał.

– Ile będziemy jeszcze tak siedzieć? – zapytała Nastia.

– Chce ci się spać? Kładź się, obudzę cię, jak przyjdzie pora.

– Akurat! Nie jestem głupia żeby spać, kiedy w mieszkaniu pałęta się obcy chłop. Może nie jesteś żadnym gliną, tylko zwyczajnym złodziejaszkiem?

– Nie jestem gliną, ile razy mam ci powtarzać! – wybuchnął Gal.

– Udowodnij – zażądała niewzruszenie.

– Jak?! Nie wiem, jak mógłbym ci to udowodnić! Zaproponuj coś, na wszystko się zgodzę.

\*\*\*

– Ależ go przycisnęła – skomentował z zadowoleniem Gordiejew.  
– Zobaczymy, jak będzie się teraz wykręcał.

– Wiktorze Aleksiejewiczu, czy pan rozumie, co ona wyprawia? – zapytał zatroskanym głosem Docenko.

– To, co ona wyprawia, nazywa się „metodą naukowego podejścia” – uśmiechnął się Korotkow. – Próbuje różnych wariantów, improwizuje, stara się zrozumieć, czemu jej nie zabija.

– Cholera, gdzie ten Łarcew? – wybuchnął Pączek. – Jest mi teraz potrzebny jak nigdy. Michaił, zacznij dzwonić po szpitalach. Może coś się stało?

\*\*\*

– Proszę się z nią pożegnać – wyszeptał lekarz, żeby nie obudzić Nadiuszy.

Łarcew ostrożnie położył dziewczynkę na ławce i wszedł na sztywnych nogach na salę. Bez wielkiego brzucha, do którego zdążył już się przyzwyczaić, Natasza była szczupła jak dziewczynka. Jak ma się z nią żegnać? Wołodia nie mógł zrozumieć, czego od niego chcą. Pocałować? Nigdy jeszcze nie żegnał się z bliskimi w szpitalu. Bezradnie wziął żonę za rękę, pogłaskał palce. Jak to możliwe, myślał, przecież jest tu, leży, widzę ją, dotykam, wydaje się, że mnie nawet słyszy. A jednocześnie jej nie ma. Jest jeszcze ciepła. A jednocześnie martwa. Jego umysł nie potrafił tego pojąć.

Ocknął się na ławce obok śpiącej córeczki. Niech śpi, pomyślał. Jeszcze zdąży się dowiedzieć i napłakać. Oparł się plecami o chłodną ścianę, pomalowaną olejną farbą, i zamknął oczy. Później, wszystko później.

\*\*\*

To, co wyprawiała sam na sam z Galem Nastia Kamieńska, nazywało się „kołysaniem wahadła”. Lekkie kpiny, potem spokojna,

nieobowiązująca rozmowa o niczym, później kpiny bardziej dotkliwe, aroganckie, po czym długa serdeczna rozmowa, i tak w kółko, w narastającym tempie. Miała właśnie zakończyć etap drwin obraźliwym brutalnym atakiem i od razu przejść do poważniejszego tematu. Była maksymalnie skoncentrowana.

– Jest jeden sposób, by udowodnić, że nie jesteś gliną. Upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu, przekonasz się, że moje mieszkanie nie jest na podsłuchu. Jak ci się podoba taki wariant?

– Może być. Mów.

Nastia zrobiła krok w jego stronę, zatrzymała się, jakby zbierając myśli, po czym szybkim ruchem rozchyliła poły szlafroka zabójcy. Powoli, lubieżnie obejrzała jego wysportowane muskularne ciało, czyste, bez tatuaży. Dowiedziała się, czego chciała.

– No to jak, gospodarzy? Kuchnię i pranie masz opanowane, a co z resztą? Wam glinom, nie wolno przelecieć podejrzanej, to grozi degradacją. Więc udowodnij, że to Pawłow cię tu przysłał, a nie ktoś z Pietrowki – powiedziała powoli.

– Czy ja jestem robot, czy co? – oburzył się Gal. – Może nie mam teraz na to ochoty. Może mi się nie podobasz? Jestem w końcu zmęczony.

– Wygląda na to, że nie tylko glina, ale do tego impotent. – Nastia w zamyśleniu pokiwała głową, jakby oglądała pod mikroskopem jakiś dziwny okaz. – No tak, macie przecież ciężką pracę, nerwową. A szkoda. Moglibyśmy od razu wyjaśnić wszystkie nieporozumienia. A tak muszę wymyślić co innego, bo nie nauczyłeś się wykorzystywać swoich możliwości seksualnych ku chwale ojczyzny i wspólnego dobra.

Usiadła na parapecie, bokiem do Gala, zapaliła papierosa, wypuściła dym przez lufcik i zamilkła, licząc w myślach do stu.

– Czy ty się boisz śmierci? – zapytała cicho.

\*\*\*

– Łarcewa nie ma w żadnym szpitalu – zameldował Docenko. – Ale jest Łarcewa Natalia Konstantinowna, trzydzieści sześć lat, przywieziona o czternastej karetką z ulicy Olchowskiej.

– To jego żona. – Gordiejew podniósł głowę. – Co z nią?

– Zmarła pół godziny temu. I dziecko też.

– Mój Boże! – jęknął Wiktor Aleksiejewicz. – Co za nieszczęście! Co za nieszczęście... Widocznie siedział cały czas w szpitalu, kiedyśmy go szukali.

Myśli Gordiejewa rozbiegały się między Wołodią Łarcewem, który nagle stracił żonę i nienarodzone dziecko i któremu trzeba było pomóc, i Galem, płatnym zabójcą, który znajdował się jakieś dwieście metrów od niego i z którym trzeba było coś zrobić.

# ROZDZIAŁ 12

Gal nie bał się śmierci. Wiele razy widział ją z bliska, sam uśmiercał ludzi. Śmierć w jego wykonaniu nie była ani straszna, ani bolesna. Chciał wierzyć, że i jego własna będzie lekka i szybka. Tak w ogóle bać się trzeba tego, co nie każdemu się przydarza. A jeśli to jest nieuniknione, jeśli człowiek musi koniecznie umrzeć, to jaki sens się tego bać? Czy się boisz, czy nie – i tak koniec ten sam. Nie miał w życiu aż tyle radości, żeby żałować ich utraty.

Kiedy, będąc niedouczonego studentem medycyny, spotkał się ze swym ojcem chrzestnym, był na tyle zielony, iż wydawało mu się, że życie w organizacji przestępczej – to nieustające święto. Ogromne pieniądze, które dostawał za parę zleceń rocznie, pozwalały mu na prowadzenie całkiem dostatniego życia: mógł jeździć latem nad morze, kupować najdroższe kurwy, pić dobry koniak. Ale z czasem okazało się, że jeśli chce dostać kolejne zlecenie, musi zachowywać się skromnie, ostrożnie i nie ściągać na siebie uwagi. Ceną za wielkie pieniądze była samotność. Gal wiedział, że kiedy umrze, nikt nie będzie po nim płakał. Nikt nawet nie zauważy, że go już nie ma. Czy warto żałować takiego życia? Więzienia też się nie bał. Zawsze miał pod ręką cudowną tabletkę, która mogła go uratować przed śledztwem i sądem. Pytanie Nasti jednak go zaskoczyło. Dlaczego musi dyskutować o tym z zupełnie obcą osobą? Chociaż cieszył się, że porzuciła w końcu niebezpieczny

i nieprzyjemny temat i przestała mu dokuczać. Nie, nie chciał zbliżenia z nią, w każdym razie nie teraz.

Świtało. Gal siedział w fotelu, Nastia – na podłodze obok. Zabójca i jego przyszła ofiara zgodnie rozmawiali o śmierci.

– Umieranie nie jest straszne, jeśli nie boli – mówiła, jakby podsłuchiwała jego myśli. – A jeśli to, co piszą w książkach, to prawda? Życie po śmierci musi być lepsze niż to tutaj. Jak sądzisz?

– Nie wiem. Ja tych książek nie czytałem.

– Ciekawe, czy Pawłow boi się śmierci?

– Tacy jak on zawsze się boją. W przeciwnym razie dawno by się już zastrzelił, zamiast brać się do czegoś takiego. Wciąż przeciąga sprawę, liczy na coś. No i dograł się.

– Akurat! – Nastia potrząsnęła lekceważąco głową. – Zapłaci sto czterdzieści tysięcy i będzie miał problem z głowy. Po co ma się zabijać? To ostatni egzemplarz, więcej nie ma, na pewno. Nikt go już nie ruszy.

– Co ty tam wiesz...

– A ty wiesz więcej ode mnie? – przeciągnęła niedowierzająco.

Gal nie odpowiedział, karcąc się w duchu za gadatliwość. Jak mógł aż tak stracić czujność? Dobrze, że chyba nic nie zauważyła. Spróbował zmienić niebezpieczny temat.

– Ile czasu potrzebujesz, żeby się przygotować?

– A co, już pora? – zaniepokoiła się Nastia.

– Jeszcze nie, uspokój się. Muszę się zastanowić, ile czasu potrzebujemy.

– Daleko jedziemy?

– Nie twoja sprawa. Zadałem ci pytanie – chłodno uciął Gal.

– No to ci odpowiadam. To zależy, dokąd jedziemy. Muszę przecież wiedzieć, jak się ubrać. Jeśli spodnie i adidasy – to szybko, a jeśli jedziemy w jakieś porządne miejsce – zajmie to więcej czasu. Plus prysznic, makijaż, to, tamto, dziewiąte–piętnaste. Sam rozumiesz.

– Idziemy na spotkanie z Pawłowem. Tym się kieruj. Gala niełatwo było zaskoczyć.

– No to jakieś czterdzieści pięć – pięćdziesiąt minut.

– No, no, co za precyzja – zakpił. – Według mnie żadna kobieta nie ma poczucia czasu, bo wszystkie się spóźniają.

– Ho, ho, Michriutka, widzę, że jesteś specjalistą od kobiet. Tak myślałam. Impotenci przecież lepiej się na tym znają.

Dureń ze mnie! Sam się o to prosiłem. Ależ wyszczekana. Jedno nieostrożne słowo – i kubeł pomyj na człowieka wylewa – pomyślał Gal.

\*\*\*

– Jak ona powiedziała? – ożywił się Gordiejew.

– Makijaż, to – tamto, a co dalej?

– Piąte–dziesiąte – podpowiedział Szestak. – Nie, jakoś inaczej. Coś dziwnego.

– Dziewiąte–piętnaste – odezwał się Misza Docenko.

– Co to może znaczyć? – zastanawiał się Gordiejew. – Ona tak nigdy nie mówi. To musi coś znaczyć. Myśleć, wszyscy, myśleć!

\*\*\*

To nie ma sensu – zamartwiała się Nastia. – Nie rozumieją. Ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Gal jest zbyt przebiegły, żebym mogła przekazać informację jakoś inaczej. Teraz cała nadzieja w nich. Żebym przynajmniej wiedziała, kto z naszych w tej chwili podsłuchuje. Wtedy łatwiej by się było zorientować.

– Jestem głodna – powiedziała kapryśnie. – Chodźmy do kuchni. Ale gotować będziesz ty. Tobie lepiej to wychodzi, Michriutka.

\*\*\*

– Dziewiąte–piętnaste, dziewiąte–piętnaste – tępo powtarzał Korotkow, siedząc na tylnym siedzeniu mikrobusu.

– Adres: dom dziewięć, mieszkania piętnaście. Albo odwrotnie: dom piętnaście, mieszkania dziewięć. Numer samochodu: zero dziewięć piętnaście. Albo piętnaście zero dziewięć. Co jeszcze?

– Może to czas odjazdu kolejki podmiejskiej z jakiegoś dworca? – podsunął Docenko.

– Dzwon, dowiedz się – polecił pułkownik.

– Może być też numer telefonu, który zaczyna się na dziewięćset piętnaście albo sto pięćdziesiąt dziewięć – odpowiedział Korotkow.

– Sto pięćdziesiąt dziewięć – to prospekt Leningradzki. A dziewięćset piętnaście? Co to za centrala telefoniczna?

– Zaraz sprawdzę – rzucił Jura.

Ale żadne z tych przypuszczeń nie pasowało do tego, co chciano im przekazać.

\*\*\*

– Mogę usmażyć kotlety, co ty na to? – uprzejmie zaproponował Gal, wyciągając z zamrażalnika kawałek wieprzowiny. – W mikrofalówce szybko się rozmrozi. Postanowił przez resztę czasu nie reagować na jej zaczepki, zachowywać się uprzejmie i nie dać się wyprowadzić z równowagi. Nawet jeśli będzie bardzo arogancka i wyzywająca, on nie da sobą manipulować. Ale Łarisie zabawa wyraźnie się znudziła. Siedziała cicho, jakby przeczuwając bliską śmierć. I Gal znów poczuł coś na kształt litości.

– Dobrze, proszę – odpowiedziała dziwnie łagodnie. – Przynajmniej się najem na ostatek.

Dopiero po kilku minutach dotarło do Galla, że znów popełnił błąd, ale za późno już było na to, by go naprawiać. Czyżby rzeczywiście nie nadawał się już do tej roboty? Dwie wpadki w krótkim czasie. Najpierw w rozmowie o Pawłowie i teraz, kiedy powiedziała „na ostatek”. A on, kretyn, nie zareagował, nie zdziwił się, że niby dlaczego na ostatek? Nie zaprzeczył, bo miała rację. Musi się postarać, żeby o tym nie myślała.

– Słuchaj, masz jakieś hobby? – zapytał, włączając mikrofalówkę.

– Mam. Udowodnić twierdzenie Fermata – powiedziała poważnie.

- Ciągłe dowcipkujesz – skrzywił się z niezadowoleniem Gal.
- Dlaczego, wcale nie. Ten, kto udowodni twierdzenie Fermata, dostanie Nagrodę Nobla. Międzynarodowa sława i wieczny szacunek. Wtedy i umierać nie strach.
- Co ty cały czas o śmierci! Popatrz: słońce wstaje, bezchmurne niebo, ptaszki śpiewają. Życie jest piękne, madame! Dostanie madame pieniądze, uzbiera na nowy samochód i pojedzie na urlop.
- A ty? – popatrzyła uważnie na Gala. – Co ty będziesz robił po otrzymaniu pieniędzy?

\*\*\*

- Co to ma wspólnego z twierdzeniem Fermata? – zapytał ze zdziwieniem Misza Docenko. Gordiejew uderzył pięścią w kolano.
  - Idioci! Wszyscy jesteśmy idiotami! Kto ma telefon Czistiakowa?
  - Wiktorze Aleksiejewiczu, jest piąta rano.
  - Nie szkodzi! Dzwonź szybciej! Dzwonź, mówię!
- Widząc, że Docenko się waha, Gordiejew pobiegł do telefonu.
- Dawaj numer, sam zadzwonię.

\*\*\*

- Jak mięso? Dobrze wysmażone?
- Owszem. Świetny by był z ciebie kucharz, Michriutka. Może zostaniesz ze mną, co? Będę ci płaciła za prowadzenie domu.

Niedużo, ale regularnie. Najważniejsze, że wszystko będzie zgodnie z prawem.

– Dojadaj i będziemy się zbierać – oschle uciął Gal. Nastia zauważyła, że przestał zwracać uwagę na jej żarty. Co to może znaczyć? Skupia się przed decydującym skokiem? Czy się czegoś domyśla? Trzeba natychmiast zmienić taktykę. Z twierdzeniem Fermata trochę przesadziła. Ale musiała. Czyżby i tym razem się nie domyślili?

\*\*\*

– Proszę nigdzie nie wychodzić – poprosił Gordiejew – mogę jeszcze pana potrzebować.

Korotkow i Docenko patrzyli bez słowa na szefa.

– Mówi, że te liczby mogą oznaczać coś takiego: jest to zupełnie inny ciąg, który ma własny wzór.

– Ale dlaczego? – zawołali chórem.

– Długo by wyjaśniać. Krótko mówiąc, jeśli dobrze zrozumieliśmy, chce nam powiedzieć, że Gal działa według innego schematu. Chce ją zabić nie w mieszkaniu, jak sądziliśmy, ale w innym miejscu. Gdzie zabije również Pawłowa i upozoruje samobójstwo. Na miejscu zbrodni zostaną dowody na powiązanie Pawłowa z oboma zabójstwami. Jak tam w mieszkaniu?

– Zbierają się do wyjścia.

– Spryciarz z niego! Ulice są teraz puste, prospekt prosty jak strzała, wszystko widać. Zgubimy ich! Cholera, dokąd on chce ją

zabrać? Najbardziej prawdopodobne są dwie możliwości: mieszkanie Murtazowa i dacha Pawłowa. Macie jakieś pomysły?

\*\*\*

Wysiadając w towarzystwie Gala z podmiejskiej kolejki na peron, Nastia nie zauważyła nikogo ze swoich. Zgubili nas – pomyślała z rezygnacją. – Nie zrozumieli mnie. Przepadło.

Przy kasie kłócili się zażarcie dwaj mężczyźni.

– Bilet do Moskwy i z powrotem zawsze kosztował dwa osiemdziesiąt! Dziesięć lat jeżdżę! – gorączkował się starszy.

– Od pierwszego lipca podnieśli ceny! Dwa i siedem dziesiątych raza. Tu wisi ogłoszenie, nie widzi pan? – przekonywał go chłopak w krótkich spodenkach i podkoszulku.

– No, zgadza się, dwa i siedem dziesiątych. To czemu kazała mi zapłacić siedem pięćdziesiąt sześć? – nie dawał za wygraną pierwszy mężczyzna.

Nastia machinalnie podzieliła nową cenę przez starą. Wyszło jej dokładnie dwa i siedem dziesiątych. Facet wyważył otwarte drzwi, pomyślała, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– Nie mogą się przyzwyczaić do wzrostu cen – powiedziała i nagle zamilkła. Poczowała się lepiej. Teraz już wiedziała, co ma robić.

Długo szli drogą obok brzozowego zagajnika, minęli osiedle i wreszcie dotarli do domków letniskowych. Gal pewnie poprowadził ją do furtki i podszedł do solidnego drewnianego piętrowego domu.

Działka była duża, oprócz domu stał na niej garaż i obita blachą szopa z metalowymi drzwiami.

Od strony sąsiedniej działki natychmiast ruszył w ich stronę wyglądający na pijaka chłop z wielkim owczarkiem niemieckim. Szedł, powłócząc z lekka nogą. Na jego zmęczonej, obrzmiałej twarzy wydać było dwudniowy zarost. Pies nie wyglądał lepiej – zaniedbany, brudny, z wydartym na boku kłakiem sierści.

– Dzień dobry – grzecznie przywitał się Gal.

– Dobry – burknął chłop. – Z laską przyjechałeś? Czy to dla gospodarza? – Mrugnął oblesnie i zaniósł się ochrypłym kaszlem.

– Aleksander Jewgienjewicz kazał przyjechać jak najwcześniej. Otwórz, zaczekamy na niego – polecił pewnym tonem Gal.

– Otworzę, oczywiście, że otworzę, jak pan kazał. – Chłop zgodnie kiwnął głową.

Pies zatrzymał się i zawarczał, szczerząc zęby.

– Spokój, spokój – uciszył go stróż. – Swoich nie poznajesz? Był tu przecież wczoraj.

Dziwny pies – pomyślała Nastia. – Wygląda na starego i chorego, a oczy i zęby jak u młodego. I rasowy, chociaż brudu na nim więcej niż sierści.

Obrzuciła działkę szybkim spojrzeniem – nie ma gdzie się schować, do sąsiednich dacz daleko, wszystkie wyjścia jak na dłoni. Gdzie oni są? Czyżby w domu? W takim razie jeśli poczuje, że coś jest nie tak, albo usłyszy jakiś podejrzanym dźwięk, Gal na pewno potraktuje ją jak zakładniczkę. Ani na chwilę nie spuści z niej oka.

Co powiedział ten zapijaczony stróż? Że Gal wczoraj tu był. Więc dobrze zgadła. Przyjeżdżał tu na zwiady, zaplanował cały dzisiejszy spektakl. Trup Pawłowa, trup szantażystki, a obok – dowody. Pawłow zabił szantażystkę i kiedy zrozumiał, co narobił, popełnił samobójstwo. A co ze stróżem? Przecież to świadek. Pewnie mnie zabije, uda, że wyjeżdża, pożegna się z nim i niepostrzeżenie wróci. Nie bez powodu przecież wczoraj tu się rozglądał, badał możliwości ucieczki. Gdzieś tu muszą być zamknięte drzwi. Tylko gdzie?

Stróż usiadł na ławce i zaczął przebierać klucze.

– Trzymaj – wyciągnął do Gala cały pęk. – Sam otwieraj. Nie wejdę po schodach ze swoją chorą nogą. – Idziemy. – Gal skinął głową do Nasti.

Nie powinnam wchodzić do domu. W żadnym wypadku. Jeśli tam jest zasadzka, mogę im przeszkodzić. Albo chwyci mnie i będzie trzymał jako zakładniczkę, albo znajdę się na linii ognia. Co robić? – gorączkowo zastanawiała się Nastia. – Jak nie wejść do domu, nie wzbudzając podejrzeń? I gdzie są te zamknięte drzwi? Gdzie?

Na lewo od Nasti rozległo się groźne warknięcie. Owczarek podszedł do niej bliżej; pysk miał dość nieprzyjazny. Nastia mimo woli popatrzyła w prawo, szukając drogi ucieczki przed wrogo nastawionym zwierzęciem. Nie bała się psów, zawsze potrafiła znaleźć z nimi wspólny język. Ale ten nie wzbudzał jej zaufania. Ostrożnie odsunęła się trochę w prawo i znowu się obejrzała. Jakieś dziesięć metrów dalej znajdowały się zielone metalowe drzwi szopy, zamknięte na okazałych rozmiarów kłódkę.

– Proszę zabrać psa – powiedziała niezadowolonym tonem.

– Nie bój się, nie gryzie, to dobry pies – odpowiedział stróż i jakoś dziwnie na nią popatrzył.

Pies warknął głośniej. Nastia bezradnie obejrzała się na Gala, który stał do niej plecami, otwierając drzwi. – Niech pan w końcu zabierze tego psa – powiedziała już bardziej nerwowo.

Gal obejrzał się z zaciekawieniem. Na jego twarzy malowała się nieukrywana złośliwa satysfakcja.

– Nie bój się, nie gryzie. Po prostu nie spodobałaś mu się, on takie zołzy jak ty wyczuwa na kilometr – zadrwił.

Właściciel psa obserwował ich obojętnie, zupełnie nie przejmując się Nastią.

Nastia zrobiła krok w prawo i pies natychmiast ruszył w tym kierunku.

– Wejść do domu – rozkazał Gal.

– Nie mogę, boję się go – załośnie powiedziała Nastia, nadal wycofując się w prawo, w stronę szopy. Pies, który nie odstępował jej ani na krok, nagle głośno i wściekle zaszczekał.

– Hej, ty – odezwał się nagle ze złością Gal. – Weź no zawołaj swego kundla. Dość już tych żartów. Do szopy zostawało kilka kroków. Nastia co sił w nogach rzuciła się do metalowych drzwi, z rozpędu uderzyła w nie ramieniem i zapadła się w całkowitą ciemność...

Dalej wszystko odbyło się szybko, cicho i zwyczajnie. Operacja, do której przygotowywano się od ponad dwóch tygodni, zakończyła się w kilka minut bez konieczności użycia broni.

Nastia ocknęła się, czując na twarzy czyjś gorący oddech. Wyciągnęła rękę i wymacała psi bok. Szorstki język oblizał jej policzek. Z trudem się podniosła. Strasznie bolało ją ramię, którym uderzyła o metalowe drzwi. Głupia, powiedziała do siebie, mogłaś się domyślić, że wystarczy lekko popchnąć. Padając, stłukła sobie kolano i w dodatku złamała obcas.

Wyjrzała ostrożnie na zewnątrz. Skutego Gala wsadzano do samochodu. Ile czasu przeleżała w tej szopie? Wyszła i usiadła wprost na ziemi, oglądając z rozpaczą zniszczony but i krwawiące kolano. Chyba uderzyła się też w głowę...

– Liczy pani straty bojowe? – usłyszała obok siebie kpiący głos.

Podniosła głowę i zobaczyła kulawego stróża. Uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Dobrego pan ma psa. Narozrabiał, ale przeprosił.

– Nic nie narozrabiał – odpowiedział jakoś bardzo poważnie stróż.

– Jest dobrze wytresowany. Świetnie się z nim rozumiemy. Nastia uniosła brwi.

– Chce pan powiedzieć... No tak, oczywiście, powinnam była się domyślić.

Z udawanym gniewem cisnęła butem o ziemię i próbowała się roześmiać, ale nagle głośno się rozplakała. Typowa reakcja histeryczna po długotrwałym napięciu, kiedy wystarczy najmniejszy emocjonalny impuls. Łzy ściekały jej po twarzy, ramiona dygotały od płaczu, łkając, objęła „stróża” za szyję i przytuliła twarz do jego piersi.

– Dobrze już, dobrze – uspokajał ją czule, głaszcząc po plecach. – Już po wszystkim, już w porządku. Świetnie się trzymałaś. No,

kochanie, dość już tych łez, popatrz, twój szef tu idzie. No, kochanie, wytrzymaj oczka.

– Mógłbyś dzieci w przedszkolu niańczyć – usłyszała Nastia zmęczony głos Pączka. – Gdzie się tak nauczyłeś pocieszać dziewczyny?

– Całe życie opiekuję się psami, Wiktorze Aleksiejewiczu. Czasem jak trzeba uspokoić psinę, człowiek wymyśla różne czułe słówka. Niekiedy trwa to nawet godzinę.

Nastia pociągnęła nosem i oderwała twarz od opiekuńczej szerokiej piersi „stróża”. Gordiejew aż gwizdnął.

– Ależ ty wyglądasz, Anastazjo! Masz lusterko? Gdzie twoja torebka?

– Chyba w szopie.

– Kirył, przynieś torebkę – powiedział cicho „stróż”.

Po chwili owczarek niespiesznie wyłonił się z szopy, ostrożnie trzymając w pysku torebkę.

– Dziwnie ten twój pies się wabi – zdziwił się pułkownik. – Chyba nie daje się psom ludzkich imion.

– Ma w rodowodzie takie imię, że w życiu go nie wymówisz – rzekł „stróż”, machając ręką.

– A tak przy okazji, Anastazjo, to Andriej Czernyszew z komendy dzielnicowej, bliski przyjaciel naszego Łarcewa.

– Bardzo mi miło – wymamrotała Nastia, otwierając puderniczkę i przeglądając się w lusterku. – Mój Boże, jak ja wyglądam!

Miała na twarzy artystyczną mieszaninę kurzu, brudu i rozmazanych kosmetyków, zwłaszcza w miejscu, gdzie lizał ją pies.

Przewięzała kolano chusteczką do nosa, zdjęła nieuszkodzony but i spróbowała wstać.

– Andriusza, zawieź ją do domu – polecił Gordiejew. – A pan?

– Zaczekam na Aleksandra Jewgienjewicza. No bo jak by to wyglądało: przyjeżdża człowiek z takimi pieniędzmi, a tu nikt na niego nie czeka. Nastia już całkiem doszła do siebie.

– A po co mu właściwie garaż? Ma samochód?

– Ma, jakżeby inaczej. Ale oszczędza na benzynie, dlatego rzadko z niego korzysta. W swoim Ensku jeździł na kradzionej, a w Moskwie widać ma jeszcze za mało znajomości.

– Dużo będzie miał tych pieniędzy? Ciekawe, ile kosztuje zabicie mnie?

– Niezdrowa ciekawość, Anastazjo. Powiedz mi lepiej, po co zmuszałaś Gala do kąpieli?

– Chciałam, żeby się rozebrał. Położył swoje rzeczy na pralce, a ja oparłam się na nich łokciami. Pański syn ma nieprzejrzystą zasłonę w łazience. Zdążyłam sprawdzić tylko kieszenie koszuli. Dobrze, że obok na pralce leży apteczka. Ale ręce mi się trzęsły, jakbym miała coś ukraść.

– Głupio postąpiłaś, niepotrzebne ryzyko, ale tym razem ci wybaczam.

– Znaleźliście przy nim broń?

– Znaleźliśmy chytre urządzenie. Paralizator wielkości latarki kieszonkowej. Człowiek traci przytomność na piętnaście – dwadzieścia minut, wystarczająco, by upozorować w tym czasie, co się chce.

– A więc to tym przywitał Fiłatową przy drzwiach – powiedziała w zamyśleniu Nastia. – I mnie też chyba chciał tym potraktować... A jednak, Wiktorze Aleksiejewiczu, ile kosztuje zabicie mnie?

– Zabicie człowieka kosztuje zwykle tyle, co dobry samochód. Policz więc sobie, biorąc pod uwagę inflację.

– Krajowy samochód czy zachodni?

– Oczywiście, że zachodni. Przecież to płatni zabójcy najwyższej klasy. Zwykłym killerom płacą mniej.

– Coś takiego – pokręciła głową – cały samochód. Za jedną kulawą kobietę. Proszę mnie wieść, Andrieju, jak bezcenny towar.

I opierając się o ramię nieogolonego „stróża”, pokuśtykała w stronę samochodu.

\*\*\*

Cierpliwości starczyło Nasti tylko do chwili, gdy Andriej wyjechał na szosę; tu już nie wytrzymała.

– Nic pan mi nie powie? – zapytała.

– Dziś pytanie, dziś odpowiedź – zażartował Andriej. – Ale mówmy sobie „ty”.

– Kiedy się tu pojawiłeś?

– Wczoraj rano, jak tylko Łarcew się dowiedział, że wybierają się na daczę.

– Kto?

– Zabójca i Murtazow.

– Skąd się dowiedział?

– Murtazow go poinformował. Gal go tak przycisnął, że Arif wpadł w łapy Łarcewa jeszcze ciepły, nie trzeba było go długo namawiać. Prawdziwego stróża poproszono, żeby się gdzieś schował. Gal wszystko obejrzał, pochodził po domu, sprawdził drzwi i okna. Przezorny facet, dowody zbrodni zostawił na daczynie już wczoraj. Nie wiedział przecież, jak potoczą się sprawy u ciebie w mieszkaniu, a nuż nie udałoby mu się przywieźć cię tu żywej. Później poinformowałby kogo trzeba, że Pawłow ukrywa coś na swojej daczynie. – A Gordiejew o tym wiedział?

– O to chodzi, że nie wiedział. Kiedy próbowałem znaleźć wczoraj Łarcewa, nigdzie go nie było. A ja miałem kontakt tylko z nim. Wiesz przecież, jak to u nas jest. Może Wołodia nie chciał, żeby szef o wszystkim wiedział? Przecież mnie nie uprzedził, że w razie czego mogę kontaktować się z Gordiejewem.

– I co takiego Gal schował na daczynie?

– Notes i dwie kartki. Widocznie zabrał je z mieszkania Fiłatowej – tak w każdym razie twierdzi Gordiejew. W notesie notatki z czerwcowej delegacji w Krasnodarze.

– A kartki? Co w nich było?

– Lista nazwisk. Na jednej – dziewięćdziesiąt cztery, na drugiej – dziewięćdziesiąt dwa.

– Wszystko jasne. I co było dalej?

– A dalej – o świcie przyjechali chłopcy, przepiłowali kłódkę na drzwiach szopy. Na pierwszy rzut oka zamknięcie wyglądało na

mocne, ale w rzeczywistości drzwi łatwo się otwierały. Ale zorientowałem się, że ty tego nie zauważysz.

– I miałeś rację. Wiedziałaś, że muszą być gdzieś zamknięte drzwi, ale sądziłam, że to będzie jakieś boczne wejście albo schowek. Coś w tym rodzaju, tylko w domu. Nie pomyślałam na początku o szopie, ta kłódka mnie zmyliła.

– Właśnie na to liczyliśmy, żeby zdezorientować Gala. Chcieliśmy cię od niego oddzielić. Chłopaki mówili, że w mieszkaniu na krok cię nie puszczają, więc wszyscy się bali, że na daczce będzie tak samo. Musiałem napuścić na ciebie Kiriuszę. Wystraszyłaś się?

– Ale nie Kiriuszy – roześmiała się Nastia. – Lubię psy, nigdy mnie jeszcze nie zaatakowały. Bałam się, że znudzi mu się straszenie mnie i nie będę miała pretekstu, żeby cofnąć się w stronę szopy. Nie wiedziałam przecież, że on to robi na rozkaz.

– Ale i tak bystra jesteś – pochwalił Andriej.

– Staram się.

– Kiriusza strasznie się na mnie obraził, kiedy wystrzygłem mu bok, a w dodatku kazałem wytarzać się w błocie i nie puściłem go do rzeczki, żeby się wykąpał. Nabzdyczył się, położył pod ławką i nie chciał nawet patrzeć w moją stronę. Ale kiedy mnie zobaczył przebranego za brudnego stróża, wybaczył. Mądry pies – dodał czule. – Słyszysz, Kirii, ciebie chwale. Z tylnego siedzenia rozległo się zadowolone pomrukiwanie.

– Zajmuję się tą sprawą od niedawna – powiedział Andriej. – Może ty mi teraz wytłumaczysz, o co chodzi z tymi dowodami?

– Chodzi o to, że Fiłatowa przyjechała z delegacji późno w nocy, a dwie godziny później znaleziono ją w jej mieszkaniu martwą, i

żadnego notesu przy niej nie było. Notes więc mógł zabrać tylko ktoś, kto się z nią widział w ciągu tych dwóch godzin, czyli zabójca. Kto ma notes – ten jest zabójcą. Widocznie Gal zawsze się tak zabezpieczał, brał coś z miejsca zbrodni, żeby w razie komplikacji podrzucić gdzieś dowody i skierować podejrzenia na kogoś innego. A z kartkami – to inna historia. Chodzi o to, że te nazwiska przepisano z kartotek w obwodowym centrum informacyjnym. To, że w jednym spisie brakuje dwóch nazwisk, świadczy o tym, że dane o nich zostały usunięte. Tego właśnie tak się bał Pawłow i przez to zginęła Fiłatowa. Chyba już znam jedno z tych nazwisk. Ale bardziej interesuje mnie drugie. Musi to być jakaś bardzo gruba ryba.

\*\*\*

Samochód podjechał do domu przy Szosie Szczołkowskiej i Nastia od razu dojrzała na ławeczce przy bramie znajomą rozczochraną czuprynę. Pożegnała się ciepło z Andriejem, przyjaźnie poklepała Kirilla po karku, włożyła buty na obcasach różnej wysokości i kuśtykając, podeszła do Loszy.

– Dziękuję, kochany – powiedziała cicho i uściskała go.

\*\*\*

Chciała tylko jednego – zmyć z siebie brud, pot, zmęczenie i napięcie, a przede wszystkim – pozbyć się podłej szantażystki Łarisy Lebediewej. Jak dobrze być nieciekawą, zwyczajną, leniwą Nastią

Kamieńską, nosić wygodne buty i ubrania, do których jest przyzwyczajona, i spędzać wolne dni u boku spokojnego, wiernego Loszy Czistiakowa – młodego profesora nauk matematyczno-fizycznych, który uratował jej życie.

Kiedy już dokładnie się wyszorowała i zmyła farbę ze swoich jasnych włosów, wyszła do kuchni, gdzie Losza, jak zwykle, starannie nakrywał do stołu.

– Siadaj, Nastiusza, wszystko gotowe. Ogłaszam dziś święto w związku z twoim chrztem bojowym – oznajmił uroczyście.

Nastia przywarła policzkiem do jego ramienia.

– Słoneczko ty moje – powiedziała czule, dziwiąc się samej sobie – kochany mój, jesteś najlepszy na świecie. Nie zamieniłabym cię na nikogo innego.

– A kto by cię chciał, taką leniwą i niegospodarną – zbył ją żartem Losza, ukrywając wzruszenie.

\*\*\*

Podczas gdy Nastia Kamieńska dochodziła w domu do siebie, pławiąc się w ciepłe troskliwości Loszy, na Pietrowce wrzała praca. Po zatrzymaniu Gala z dowodami rozpoczęły się intensywne przesłuchania Pawłowa, Rudnika i Murtazowa. Teraz można było wyjaśnić również sprawę nazwisk oraz ustalić, kto jeszcze, poza Antonem, sporządzał dwa miesiące później taką samą listę, będąc w Ensku w składzie grupy inspektorów przeprowadzających kontrolę. Sprawa nabierała zawrotnego tempa, brakowało ludzi, ale Gordiejew nie chciał niepokoić Nasti przynajmniej do jutra. Dwóch

ludzi wysłał do Wołodi Łarcewa, by pomogli mu zorganizować pogrzeb żony i stypę.

\*\*\*

Wiktor Aleksiejewicz przesłuchiwał Gala osobiście. Już przy zatrzymaniu zrozumiał, że ten człowiek potrafi przegrywać z klasą. Nie stawiał uporu, nie udawał oburzenia, uparcie trzymał się własnej wersji: znajomy zwrócił się do niego, by pomógł mu w bardzo delikatnej sprawie. Chodziło o to, że jakaś dziennikarka o podejrzanym przeszłości zaczęła wymuszać pieniądze od pewnego porządnego człowieka i ten człowiek chciał, by w czasie przekazywania pieniędzy był obecny ktoś zaufany. Poza tym poproszono go, by poznał tę dziennikarkę lepiej i dowiedział się, czy nie blefuje i czy można jej wierzyć. I to wszystko, nic niezgodnego z prawem. Nie włamywał się do jej mieszkania, sama otworzyła mu drzwi i go wpuściła, rano dobrowolnie pojechała z nim za miasto.

Fakt, że na dacy czekała na niego zasadzka, upewnił Gala, że mieszkanie, w którym spędził noc, było na podsłuchu. Ale wszystko, co tam mówił, potwierdzało jego wersję. Oprócz oczywiście tego, o czym rozmawiali w szumie lejącej się wody. Nie potrafił zrozumieć, jaką rolę odegrała w tym wszystkim Łarisa. Mógłby przysiąc, że go nie prowokowała, nie próbowała powiedzieć czegoś podejrzanego głośno, nie zadawała mu podstępnych pytań. Zachowywała się jak osoba, która łatwo dostosowuje się do sytuacji, chce dostać pieniądze i uniknąć nieprzyjemności. Ale, z drugiej strony, to niemożliwe, żeby mieszkanie było na podsłuchu bez jej wiedzy. Więc jest jednak związana z milicją.

Spokojnie i szczegółowo zeznający Gal twardo trzymał się swojej wersji. Dobrze pamiętał, że dotykał notesu i kartek z mieszkania Fiłatowej tylko w rękawiczkach, i nie powinno być na nich jego odcisków palców, jeśli nie popełnił jakiegoś błędu. Papiery znaleziono nie u niego, ale na daczcy Pawłowa. Więc miał szansę się wywinąć. Wprawdzie pobrano od niego próbki do analizy laboratoryjnej, ale póki nie było wyników badań, mógł jeszcze ich zwodzić.

Gal świetnie zdawał sobie sprawę, że bez względu na to, jakie złoży zeznania, dożyje najwyżej do końca śledztwa, a potem ONI i tak się do niego dobiorą. Nie miał jednak zamiaru żyć tak długo. W czasie przeszukania zabrano mu wszystko, co miał w kieszeniach, w tym zbawczą seledynową tabletkę. Ale znajdzie sposób, żeby ją odzyskać. To nie jest w końcu takie trudne. Torebka ze skonfiskowanymi w czasie przeszukania rzeczami osobistymi leżała tu, na biurku Gordiejewa.

Wiktor Aleksiejewicz też nie przyspieszał biegu wydarzeń. Szczegółowo wypytywał zatrzymanego o Pawłowa, czym ten był szantażowany, za co wymuszano od niego pieniądze. Wyglądało na to, że uwierzył w wersję Gala, w każdym razie zadawane przez niego pytania na to właśnie wskazywały.

Wreszcie Gal doszedł do wniosku, że już pora.

– Mam do pana prośbę, jeśli pan pozwoli – zwrócił się do pułkownika.

– Proszę – z gotowością odrzekł Gordiejew.

– W czasie przeszukania odebrano mi lek na żołądek, czy mógłbym go zażyć, bo mnie boli? Mogę?

– Oczywiście, oczywiście – zakrzętał się pułkownik, otwierając torebkę. – Ten?

Wyciągnął seledynową pigułkę, nalał do szklanki wody, podał Galowi.

– Może wezwać lekarza? – zapytał z troską.

Gal uśmiechnął się, pokręcił głową, wziął tabletkę do ust i popił ją wodą.

\*\*\*

Po zakończeniu pracy Jura Korotkow i Kola Siełujanow postanowili przed pójściem do domu napić się kawy.

– Podprowadź Aśce, ma w biurku całą puszkę – powiedział Korotkow, podając koledze klucze od gabinetu Kamieńskiej.

– Ona mnie zabije – Siełujanow z powątpiewaniem pokręcił głową.

– Przyznaj się jej, to cię nie zabije. No idź, idź – roześmiał się Korotkow.

Kiedy kawa była w połowie wypita, Siełujanow zapytał:

– Co to za numer z tymi liczbami? Nie zrozumiałem.

– Nikt by nie zrozumiał, gdyby nie powiedziała o twierdzeniu Fermata. Wtedy Pączek się domyślił, że trzeba dzwonić do Loszki Czistiakowa. Jak się okazało, kiedy chodzili razem do szkoły matematyczno-fizycznej, wymyślili sobie takie ćwiczenie – znaleźć wzór na liczby pierwsze. To coś jak trafić pięćset na pięćset. W zasadzie chyba jest to możliwe, ale nikomu na razie się nie udało. I Aśka wtedy zaproponowała: znajdziemy najpierw wzór na nieparzystą

liczbę niepierwszą, i idźmy od końca. Ty weź liczbę dziewięć, a ja – piętnaście. Siedzieli nad tym, siedzieli, rozwiązywali, rozwiązywali, a potem poszli do kina na jakiś francuski kryminał, a tam była bardzo podobna sytuacja: przestępca chce podrzucić komuś dowody winy i upozorować samobójstwo. I nagle Aśka mówi: wszystko jasne, dalej nie ma co nawet oglądać, idziemy stąd, lepiej poszukajmy wzoru na dziewięć i piętnaście. I to cała historia. A ja, jak głupi, próbowałem skojarzyć te liczby z adresami, numerami samochodów, z telefonami. Nawiasem mówiąc, to Loszka nam podpowiedział scenę przy kasie na peronie. No wiesz, kiedy ludzie przez tyle lat są razem, mają już wypracowany własny język, niezrozumiały dla obcych. Krótko mówiąc, te słowa przy kasie miały oznaczać: nie wyważaj otwartych drzwi. Aśka, mądra dziewczyna, dobrze je przełożyła na ludzki język: nie wchodź przez te drzwi, które są otwarte, szukaj zamkniętych.

– Niesamowite! – westchnął z zachwytem Kola. – Czasami aż strach bierze, jak sobie pomyślisz, na jak cienkim włosku wisi cała nasza robota. A jakby tego Czistiakowa nie było akurat w domu? Co wtedy?

– Powiedzmy, że mieliśmy szczęście. A pomyśl, ile razy szczęściło się do tej pory Galowi. Teraz też by mógł mieć szczęście. Gdyby nie zbieg okoliczności, śledztwo w sprawie Fiłatowej nie zostałoby wszczęte.

– No to niewielka w tym nasza zasługa.

\*\*\*

Gal siedział nieruchomo przed Gordiejewem, próbując zebrać myśli. Nie rozumiał, co się stało. Przecież powiedziano mu, że śmierć będzie natychmiastowa i bezbolesna. No i co?

Gordiejew też milczał, uważnie obserwując zatrzymanego zabójcę.

– Coś nie tak? – zapytał wreszcie. – Jeśli pan rzeczywiście ma problem z żołądkiem, lek powinien pomóc. To tempalgina, bardzo dobry środek przeciwbólowy.

– Tempalgina? – powtórzył zaskoczony Gal. – Dlaczego tempalgina?

– Przecież nie mogę pozwolić, by pan umarł w moim gabinecie, czy pan tego nie rozumie? – odparł ostro Gordiejew. Po jego troskliwości nie zostało ani śladu.

– Lek został podmieniony jeszcze w nocy. Myśli pan, że jesteśmy całkiem do niczego? Rozszyfrowaliśmy pańskie zamiary.

– Łarisa? – wyszeptał Gal.

– Jasne – Gordiejew skinął głową. – Przejrzała pana na wylot i znalazła sposób, by nas o tym powiadomić.

– Winszuję – uśmiechnął się krzywo Gal. – Profesjonalizm naszej milicji rośnie w oczach zachwyconej publiczności.

– Niech pan przestanie. Nie próbujmy się wzajemnie obrażać. Ja przecież panu nie mówię, jak dalece utracił pan profesjonalizm i ile błędów i głupstw pan narobił. A jeszcze więcej błędów popełniła pańska organizacja, ale to już z naszą pomocą. Zmusiliśmy pana do działania w warunkach, do których pan nie jest przyzwyczajony, do robienia tego, czego pan przedtem nigdy nie robił i robić nie

potrafi. Dlatego jest pan teraz tu, a nie w samolocie Moskwa – Baku.

– Murtazow?

– No pewnie. Nie nauczono pana, że biznesmenów nie wolno zastraszać takimi metodami? Odnoszą sukcesy w interesach dlatego, że mają normalną psychikę i trzeźwo myślą. Potrafią dobrze liczyć, i nie tylko pieniądze. A pan nie umie negocjować z ludźmi, to nie pańska specjalność. Pańska praca polega na tym, by pozbawiać życia tych, z którymi nie potrafili się dogadać inni pańscy koledzy, którzy wiedzą, jak to trzeba robić. Nie ma specjalistów od wszystkiego. Nawet profesor nauk technicznych niekiedy nie potrafi naprawić kranu w domu. A pan działał tak nieprofesjonalnie, że nawet kobieta sobie z panem poradziła.

Była to ostatnia kropla, po której Gal się złamał.

\*\*\*

– Wiesz, czego najbardziej się bałem? – powiedział do Nasti następnego dnia Gordiejew. – Bałem się, że się pomyliłaś co do pseudonimu i u Fiłatowej był kto inny, nie Gal. Wtedy cały plan zdałby się psu na budę. Nic by nie wyszło. Nie udałoby mi się oczernić zabójcy w oczach jego bossów, a na to najbardziej liczyłem. Przyznaj się, Anastazjo, trafiłaś na chybił trafił?

– Prawie – uśmiechnęła się Nastia. – Zgubiło go zamięrowanie do historii. Proszę popatrzeć.

Nastia położyła przed pułkownikiem zdjęcie półki z książkami i drobiazgami.

– Od początku nie spodobało mi się to zdjęcie, ale nie wiedziałam, o co tu chodzi. Patrzyłam na nie, patrzyłam, ale nic nie mogłam wymyślić. A kiedy pan zaskoczył mnie tymi ksywkami, w głowie zadziałał mi jakiś mechanizm. Te szklane figurki – to symbole lat według kalendarza wschodniego. Tygrys, małpa, kogut, owca i tak dalej. Nie byłam w mieszkaniu Fiłatowej, ale Zubow zrobił dużo zdjęć, na których dobrze widać, że wszystkie rzeczy i książki są starannie poukładane. Widać to zwłaszcza po dziełach zebranych. A w układzie figurek jest pewna... powiedzmy, nieprawidłowość. Niby wszystkie są ustawione zgodnie z kalendarzem. Wszystkie, prócz dwóch: żmii i barana. Stoją razem, trochę pod kątem do siebie, chociaż w kalendarzu nie idą jedno po drugim. Plemiona Galów miały pogańskie bóstwo: żmiję z głową barana. Zabójca spędził w mieszkaniu dużo czasu, pewnie się nudził, więc znalazł sobie zajęcie, postanowił zobaczyć, jak wygląda żmija z głową barana. Nie zwrócił uwagi na kolejność figurek, dlatego nie odstawił ich później na miejsce. A może zapomniał, albo coś odwróciło jego uwagę.

– No, no. – Wiktor Aleksiejewicz pokręcił głową. – I ty prawie z niczego wyciągnęłaś taki wniosek? Dobrze, że dopiero teraz się o tym dowiedziałem. Kiedy dzwoniłaś, miałaś taki pewny głos, że byłem przekonany, że masz niezbite dowody.

– Ale wniosek był dobry – odparła Nastia.

– Cóż – uśmiechnął się Gordiejew – zapytamy Gala, co sądzi na ten temat.

\*\*\*

Pułkownik przeszukiwał zatrzymanego przez całe popołudnie. Kiedy go zabrali, Wiktor Aleksiejewicz zajrzał do gabinetu Kamieńskiej.

– No, Anastazjo, jestem ci winien butelkę. Ale ja też zasługuję na nagrodę, też jestem tęga głowa! – oznajmił z szerokim uśmiechem na twarzy. – Że potrafiłem dostrzec w tobie, takiej smarkuli, genialnego detektywa!

– A co się stało?

Nastia już była zajęta nową sprawą i nie bardzo do niej docierało, o czym mówi jej szef.

– Jestem prostym facetem, Anastazjo, mówię, co myślę. Zapytałem tego Gala o figurki i o pogańskich bogów.

– I co on na to?

– Wyobraź sobie – potwierdził. Miałaś rację. Chociaż nawet teraz nie chce mi się w to wierzyć. A tak przy okazji, Lesnikow się nie pojawił? – zmienił nagle temat Gordiejew. – Ostatnio całkiem zaniedbałem sprawę Szumilina.

– Z tym jest wszystko w porządku, Wiktorze Aleksie jewiczu. Kowalow nie tylko przestał przeszkadzać, ale jeszcze powstrzymuje Winogradowa. Tak że Olszański z Lesnikowem pracują na pełnych obrotach.

– No to dzięki Bogu – odetchnął Gordiejew.

\*\*\*

Misza Docenko i Jura Korotkow byli pochłonięci papierkową robotą, sporządzali raport z zatrzymania. Jedno pytanie nie dawało Miszy spokoju, postanowił więc wreszcie je zadać.

– A co by było, gdyby Gal przyjął propozycję Nasti? – Jaka propozycję? – uniósł głowę Jura.

– No, żeby się z nią przespał na dowód, że nie jest z milicji. Czy musiałyby wtedy... – Misza urwał. Starszy lejtnant Docenko był jednak jeszcze bardzo młody. – Wiesz co, w naszej robocie zdarzają się miłe chwile. Ale żeby je przeżyć, musimy czasami wytarzać się w błocie – odparł wymijająco Korotkow i pomyślał z czułością o Ludzie Siemionowej. Do dziesiątego lipca zostało cztery dni.

Południowo-Zachodnia – rejon Moskwy, od nazwy stacji metra (wszystkie przypisy tłumaczki).

MUR (Moskowskoje Uprawlenije Rozyska) – Moskiewski Urząd Śledczy.

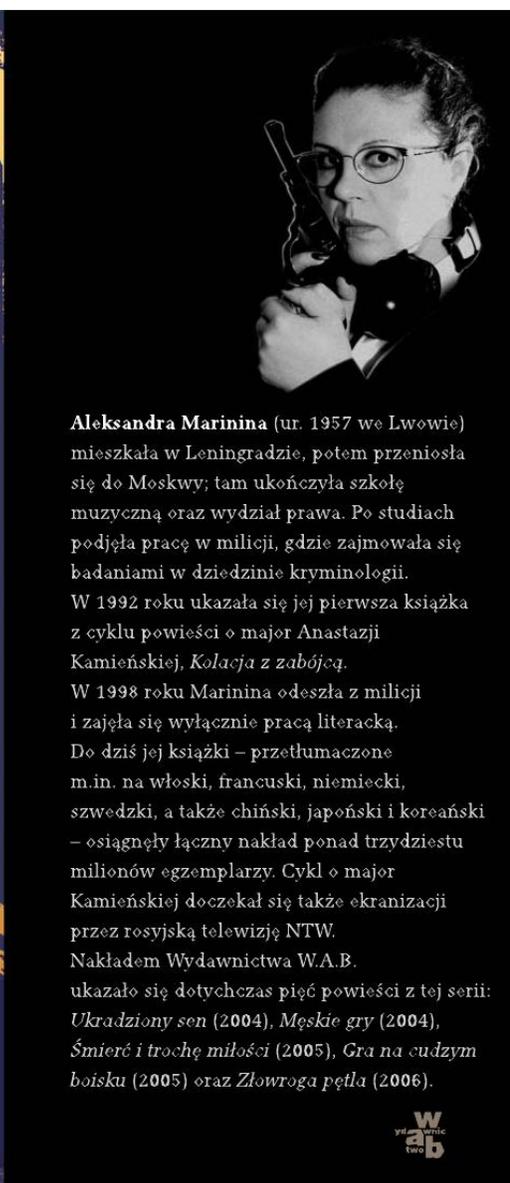
GUWD (Gławnoje Uprawlenije Wnutriennich Dieł) – Główny Urząd Spraw Wewnętrznych.

RUWD (Rajonnoje Uprawlenije Wnutriennich Dieł) – Rejonowy Oddział Spraw Wewnętrznych.

GIC (Gławnyj Informacyjonnyj Centr) – Główne Centrum Informacyjne.

Leninka – Biblioteka im. W.I. Lenina.

Świetnie zaopatrzony nawet w czasach niedoborów sklep spożywczy w centrum Moskwy, należący przed rewolucją do kupca Grigorija Jelisiejewa.



**Aleksandra Marinina** (ur. 1957 we Lwowie) mieszkała w Leningradzie, potem przeniósł się do Moskwy; tam ukończyła szkołę muzyczną oraz wydział prawa. Po studiach podjęła pracę w milicji, gdzie zajmowała się badaniami w dziedzinie kryminologii. W 1992 roku ukazała się jej pierwsza książka z cyklu powieści o major Anastazji Kamińskiej, *Kolacja z zabójcą*. W 1998 roku Marinina odeszła z milicji i zajęła się wyłącznie pracą literacką. Do dziś jej książki – przetłumaczone m.in. na włoski, francuski, niemiecki, szwedzki, a także chiński, japoński i koreański – osiągnęły łączny nakład ponad trzydziestu milionów egzemplarzy. Cykl o major Kamińskiej doczekał się także ekranizacji przez rosyjską telewizję NTW. Nakładem Wydawnictwa W.A.B. ukazało się dotychczas pięć powieści z tej serii: *Ukradziony sen* (2004), *Męskie gry* (2004), *Śmierć i trochę miłości* (2005), *Gra na cudzym boisku* (2005) oraz *Złowroga pętla* (2006).

Wydawnictwo  
W.A.B.